

MOJE SPOJRZENIE WSTECZ

Gedeon Lorenc

MOJE SPOJRZENIE WSTECZ

Gedeon Lorenc

Wspomnienia żołnierza z Janiszewic, który...
przemierzył szlaki wojenne

Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli
Zduńska Wola 2025

Skład, retusz i koloryzacja zdjęć, łamanie i projekt okładki

Remigiusz Neumann

Komitety redakcyjne

Daniel Buszyński

Jarosław Stulczewski

Renata Walocha

Korekta

Martyna Witczak

© Copyright by Authors, Zduńska Wola 2025

© Copyright for this edition by Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli,
Zduńska Wola 2025

Wydane przez Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli

Wydanie I

lipiec 2025

Sfinansowano ze środków budżetu Gminy Zduńska Wola

ISBN 978-83-972442-1-4

Druk i oprawa

Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL

Spółka z o.o. Spółka komandytowa

88-110 Inowrocław, ul. Cegielna 10/12

<https://www.pozkal.pl/>

SPIIS TREŚCI

Słowo o wydawnictwie	7
Gedeon Lorenc (1920–2000) – zarys biografii	9
Moje spojrzenie wstecz	49
Wstęp	51
I. Dzieciństwo i młodość	53
II. Wojna i okupacja	57
III. Ucieczka	68
IV. W Samodzielnej Brygadzie Karpackiej	79
V. W Polskim Lotnictwie	94
VI. Po wojnie	97
VII. Witaj Australio!	111
VIII. Sukcesy	120
IX. Dodatek	130
Ilustracje	137

SŁOWO O WYDAWNICTWIE

Historia pisana jest przez losy pojedynczych ludzi – tych, którzy w obliczu dziejowych burz stawali na pierwszej linii frontu, by walczyć o wolność. Gedeon Lorenc, urodzony w Janiszewicach pod Zduńską Wolą, był jednym z nich. Jego wspomnienia to nie tylko osobista opowieść, ale także ważny głos w dokumentowaniu udziału mieszkańców gminy Zduńska Wola w II wojnie światowej.

Gedeon Lorenc jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych i Polskich Sił Powietrznych, przeszedł szlak bojowy, który wiódł go przez różne fronty Europy i Afryki. Jego relacja to świadectwo odwagi, determinacji i tęsknoty za ojczyzną, którą zmuszony był opuścić. Dziś dzięki tej publikacji, jego głos – dotąd znany tylko najbliższym – trafia do szerszego grona czytelników, stając się częścią zbiorowej pamięci o tamtych czasach.

Wspomnienia spisane przez Gedeona Lorenca ukazują wojnę z perspektywy jednego człowieka. To historia pełna obaw i lęków, codziennych zmagania z losem, ale też nadziei na lepsze jutro. Jest to świadectwo szczególnie cenne, gdyż należy do tych, które mogły bezpowrotnie zaginąć w mrokach historii. Tak jednak się nie stało.

Składamy słowa wdzięczności Grzegorzowi Kędzierskiemu, który zainspirował nas historią (nie)zwykłego człowieka. To właśnie ta szlachetna inspiracja skłoniła Towarzystwo Przyjaciół Zduńskiej Woli do podjęcia się zaszczytnego, lecz wymagającego zadania – wydania wspomnień człowieka niemal całkowicie nieznanego społeczności gminy Zduńska Wola oraz całemu regionowi. A przecież pamięć o Gedeonie Lorencu wciąż trwa – przypomina o nim tablica umieszczona w kościele parafialnym w Janiszewicach, którego budowę zdołano ukończyć dzięki jego ofiarności. Jego imię nosi również najmniejszy z dzwonów zawieszonych na przykościelnej dzwonnicy, będący symbolicznym świadectwem jego dziedzictwa. Wydanie wspomnień, równo po 25 latach od czasu śmierci Lorenca, jest jednak czymś więcej, bo bezpośrednim głosem oddanym naszemu rodakowi.

Wspomnienia zawierające wstęp zostały podzielone na rozdziały: dzieciństwo i młodość, lata wojny i okupacja, ucieczka, w Samodzielnej Brygadzie Karpackiej, w polskim lotnictwie, po wojnie, witaj Australio!, sukcesy oraz dodatek. Zostały one poprzedzone obszerną notą biograficzną przygotowaną przez Daniela Buszyńskiego. Jest ona tym cenniejsza, iż została przygotowana w oparciu o nie tylko polskie archiwalia, ale zawiera również materiały przechowywane w Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

Książka ta nie powstałaby bez zaangażowania wielu osób. Szczególne podziękowania kierujemy w stronę Henryka Staniuchy, Wójta Gminy Zduńska Wola, za finansowe wsparcie projektu, które umożliwiło wydanie publikacji. Dziękujemy rodzinie Gedeona Lorenca za udostępnienie archiwaliów, fotografii i wspomnień, a bez których książka ta nie miałaby tak osobistego charakteru.

Wyrażamy głęboką nadzieję, iż publikacja, którą z szacunkiem oddajemy w Państwa ręce, stanie się nie tylko cennym źródłem wiedzy historycznej, lecz również inspiracją do dalszych poszukiwań i refleksji nad udziałem mieszkańców miasta Zduńska Wola i gminy Zduńska Wola w dramatycznych wydarzeniach II wojny światowej. Wojna to bowiem nie tylko daty i starcia zbrojne – to przede wszystkim poruszające losy konkretnych ludzi. Oto jeden z nich, przywrócony pamięci.

*dr Jarosław Stulczewski
prezes Towarzystwa Przyjaciół
Zduńskiej Woli*

GEDEON LORENC (1920-2000)

- ZARYS BIOGRAFII

WSTĘP

Tekst stanowi próbę zarysowania życiorysu ppor. Gedeona Lorenca, zasłużonego mieszkańca gminy Zduńska Wola oraz uczestnika bitwy o Tobruk i członka personelu Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii (dalej: PSP). Jego losy są ciekawym przykładem drogi polskiego żołnierza podczas II wojny światowej, powojennej niedoli i tułaczki, ale także uporu i ciężkiej pracy, która przyniosła życiowy sukces. Co ważne, Gedeon Lorenc pozostawił po sobie wspomnienia, które powstały na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Są one wartościowym przyczynkiem do badań nad jego życiorysem. Głównym celem tekstu jest wydobyć jak najwierniejszego obrazu bliżej nieznanego postaci, jaką był Lorenc. Do przygotowania biogramu, oprócz maszynopisu wspomnień, wykorzystano również liczne materiały archiwalne oraz literaturę przedmiotu. Zasoby te pomogły usystematyzować wiedzę na temat Gedeona Lorenca oraz zweryfikować jego przekaz. W tekście zrezygnowano z cytowania jego wspomnień, umieszczając przypisy do wybranych fragmentów. Przytoczono natomiast liczne fragmenty niepublikowanych dotąd materiałów źródłowych, dotyczących pracy bohatera. Z uwagi na ogromną ilość wątków poruszanych przez Lorenca, zarówno dotyczących życia osobistego, jak również służby wojskowej, rozwinęto tylko wybrane zagadnienia, przyjmując chronologiczny układ poszczególnych paragrafów.

RODZINA LORENCÓW – LOSY PRZED NARODZINAMI GEDEONA

Gedeon Lorenc przyszedł na świat o północy 11 października 1920 r. w Janiszewicach¹. Był ostatnim z trojga dzieci Stanisława (1874-1943) oraz Józefy z Maniewskich (1881-1921)². Został ochrzczony 17 października 1920 r. w kościele pw. św. Katarzyny w Korczewie, który był wówczas dla Janiszewic świątynią parafialną. Jego rodzicami chrzestnymi zostali: brat matki – Wacław Maniewski (1883-1943)³ oraz jej bratowa Apolonia Maniewska (1884-1966)⁴.

Ojciec Gedeona pochodził z Janiszewic. Trudnił się tkactwem oraz rolnictwem⁵, a głównym źródłem utrzymania rodziny było gospodarstwo. 13 stycznia 1901 r. zawarł związek małżeński z pochodzącą z Zamłynia Józefą Maniewską. 6 lutego 1902 r. urodziło się ich pierwsze dziecko – dziewczynka o imieniu Józefa, która zmarła miesiąc później (15 marca). 8 września 1907 r. para doczekała się drugiego potomka, chłopca nazwanego imieniem Bolesław⁶. Spokojne życie rodziny zostało przerwane

-
- 1 Większość z dostępnych źródeł, w tym księgi metrykalne korczewskiej parafii, jako miejsce urodzenia Gedeona podaje Janiszewice i tak zostało przyjęte w tekście. Informacja taka znajduje się również m.in. w wojennym sprawozdaniu Gedeona, które złożył w obozie szkoleniowym RAF w Kirkham 5 lipca 1943 r. Janiszewice, jako miejsce urodzenia, deklarował również w 1949 r., gdy otrzymał australijskie obywatelstwo. W karcie personalnej Gedeona, sporządzonej w 1946 r. podczas służby w PSP, jako miejsce urodzenia podano błędnie Sieradz. Zob. Archiwum Państwowe w Łodzi (dalej: APŁ), Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Katarzyny w Korczewie, sygn. 1526d, akta urodzenia 1920, nr 165; Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego (dalej: IPMS), Sprawozdanie Gedeona Lorenca z 5 lipca 1943 r., sygn. LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.; Tamże, Karta personalna Gedeona Lorenca z 1946 r., LOT.A.VII. 2/328, s. bp.; Advertising, „The Sydney Herald”, 26 września 1949 r., s. 9.
 - 2 Zgodnie z inskrypcją na tablicy nagrobnej z cmentarza przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli, urodziła się w 1884 r. Księgi metrykalne parafii pw. św. Katarzyny w Korczewie odnotowują jej narodziny w roku 1881. Zob. APŁ, Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Katarzyny w Korczewie, sygn. 1526d, akta urodzenia 1881, nr 16.
 - 3 Zgodnie z rodzinnym przekazem Wacław Maniewski był osadnikiem wojskowym na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej i zginął podczas II wojny światowej z rąk ukraińskich nacjonalistów. Dokładna data śmierci mężczyzny nie jest znana, lecz najbardziej prawdopodobny jest rok 1943. Informacja pozyskana na podstawie rozmowy z Marią Owczarek, wnuczką Apolonii oraz Józefa Maniewskich, która знаła osobiście G. Lorenca. Zob. relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).
 - 4 Apolonia z d. Majsy była żoną Józefa Maniewskiego (1871-1950), najstarszego brata matki Gedeona Lorenca.
 - 5 Zawody te są poświadczone zapisami w aktach urodzenia jego dzieci.
 - 6 W swoich wspomnieniach Gedeon Lorenc informuje, że Bolesław urodził się 14 września 1907 r. Księgi metrykalne parafii w Korczewie oraz Dziennik Personalny MSW stwierdzają zgodnie, że urodził się 8 września. Zob. APŁ, Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Katarzyny w Korczewie, sygn. 1526d, akta urodzenia 1907, nr 195; Dziennik Personalny Ministerstwa Spraw Wojskowych, nr 9/1932, s. 348.

w 1914 r. przez wybuch I wojny światowej⁷. Stanisław został wcielony do armii carskiej, a Józefa oraz Bolesław pozostali w domu sami. Wychowanie syna oraz utrzymanie gospodarstwa spadło na barki matki.

Informacje na temat udziału Stanisława Lorenca w walkach są skąpe. Wspomina o tym nieco w swoich wspomnieniach Gedeon Lorenc⁸. Zgodnie z jego przekazem, Stanisław był oficerem artylerii. W sierpniu 1915 r. brał udział w obronie Twierdzy Modlin, której rosyjska nazwa to Twierdza Nowogiejorgijewska. W trakcie walk został ciężko ranny, trafił do niewoli i znalazł się w szpitalu w Niemczech. Do Rosji powrócił na drodze wymiany rannych jeńców poprzez neutralną Szwecję. Trafił do szpitala w Petersburgu, gdzie niesprecyzowanym odznaczeniem udekorował go car Mikołaj II⁹. Tyle mówi przekaz Gedeona, a co wiadomo na pewno? W dostępnych spisach oficerów carskich z załogi Twierdzy przed i w trakcie wojny nie ma Stanisława Lorenca¹⁰. Trzymając się przekazu i szukając go w obrębie Twierdzy można odnaleźć jednego żołnierza, który zgodnie z dokumentami pochodził z Janiszewic pod Zduńską Wolą. Nazywał się Stanisław Matwieiejewicz¹¹ Lorenczak¹² i był szeregowym w 58 kompanii kwatermistrzowskiej. Według dokumentów rosyjskich został ranny i wzięty do niewoli w Twierdzy Nowogiejorgijewskiej. Żołnierz ten przebywał następnie w obozach jenieckich w Münster oraz Altdamm (Dąbie) na Pomorzu¹³.

-
- 7 W rodzinnej pamięci funkcjonuje przekaz o udziale Stanisława w wojnie rosyjsko-japońskiej (1905). Zob. relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).
 - 8 W tekście wykorzystano maszynopis wspomnień Gedeona Lorenca. Składa się on z dwóch podstawowych elementów: tekstu głównego, z numeracją stron od 1 do 128 oraz ze skrótu (nazwanego przez autora „odpisem”), z numeracją stron od 1 do 8. Niekiedy w jednym przypisie odwołuję się jednocześnie do tekstu głównego i skrótu. Aby rozróżnić strony i uniknąć pomyłek zastosowano specyficzne rozwiązanie. Obok numerów umieszczono nawiasy, w których podano, do której części składowej wspomnień się odnoszą, np. G. Lorenc, dz. cyt., s. 7 (odpis), s. 6 (tekst główny). Jeżeli przywoływane są strony z zakresu numerów 1-8 (tylko z tekstu głównego lub skrótu), wtedy dalej stosowane jest rozróżnienie, np. G. Lorenc, dz. cyt., s. 4 (odpis). Jeżeli podany jest fragment z tekstu głównego o numeracji powyżej 8, takiego rozróżnienia nie zastosowano.
 - 9 G. Lorenc, *Moje spojrzenie wstecz*, mps, Sydney 1991, s. 1-2 (odpis), s. 3 (tekst główny).
 - 10 W Twierdzy walczyła m. in. 31 kompania artylerii fortecznej, 1 i 3 warszawski batalion artylerii fortecznej oraz 5 i 8 libawska kompania artylerii fortecznej.
 - 11 Imię odojcowskie łączone z Mateuszem oraz Maciejem.
 - 12 Rosyjskie Państwowe Wojskowe Archiwum Historyczne, Akta Biura Ofiar I Wojny Światowej (oficerowie i żołnierze), sygn. 1940-L, s. bp.
 - 13 Tamże, Karty jeńców wojennych, sygn. 7279-L, s. bp.

Ze względu na braki w dokumentacji trudna jest weryfikacja informacji o wymianie jeńców, lecz istnieje wzmianka o przyjęciu go do szpitala w Rosji pod koniec 1916 r. z powodu ran. W tym samym czasie otrzymał także Order św. Jerzego IV Klasy o numerze 891894¹⁴. Zakładając, że jest to inna osoba niż Stanisław Lorenc powstaje pytanie, czy możliwy jest tak duży zbieg okoliczności, że w Twierdzy walczyło dwóch żołnierzy z Janiszewic, których życiorysy mają przynajmniej kilkanaście punktów stycznych? Obaj nazywali się Stanisław, prawdopodobnie to samo imię nosili ich ojcowie (Matwiej – Mateusz), zostali wzięci do niewoli w Twierdzy Modlin, byli ranni, wreszcie otrzymali odznaczenie. Pierwszym krokiem podczas próby weryfikacji tej kwestii było sprawdzenie akt metrykalnych parafii pw. św. Katarzyny w Korczewie oraz parafii sąsiednich. Nie ma w nich śladu Stanisława Lorenczaka. Funkcjonuje tam jedynie ojciec Gedeona Lorenca, Stanisław. Wątpliwości przy stawianiu tezy, że Lorenczak to w rzeczywistości Stanisław Lorenc, wzbudza różnica stopnia wojskowego. Gedeon wspomina, że jego ojciec był oficerem artylerii, zaś dokumenty mówią, że Stanisław Lorenczak był szeregowym. Wydaje się jednak, że gdyby Stanisław Lorenc był oficerem, to jego pozycja społeczna byłaby wyższa od tej, którą posiadał. Należy sądzić, że jako oficer zostawiłby także więcej śladów służby, odbytej edukacji itp. Biorąc pod uwagę wszystkie poruszone wątpliwości, należy z ogromnym prawdopodobieństwem stwierdzić, że szeregowy Stanisław Matwiejewicz Lorenczak to w rzeczywistości Stanisław Lorenc, ojciec Gedeona.

Również losy Stanisława Lorenca w początkowym okresie Polski niepodległej nie są znane. Brak informacji świadczących o jego służbie w odrodzonym Wojsku Polskim. Jedno można stwierdzić na pewno. Był on jednym z milionów okaleczonych żołnierzy „wielkiej wojny”, którym bardzo trudno było odnaleźć się w powojennej rzeczywistości. Wrócił do domu wyczerpany zdrowotnie, a odniesione rany wpłynęły negatywnie na jego funkcjonowanie. Utrudniły mu m.in. wykonywanie pracy oraz zdobywanie środków na utrzymanie najbliższych oraz gospodarstwa.

Wobec problemów zdrowotnych Stanisława, opiekę nad dziećmi w przeważającym stopniu sprawowała jego żona. Pomimo życiowych przeciwności za główny cel

14 Tamże, Wykaz żołnierzy odznaczonych Krzyżami i Medalami św. Jerzego podczas I wojny światowej, sygn. 215, s. bp.

postawiła sobie wychowanie oraz wykształcenie potomstwa. W edukowaniu Bolesława stawiała na systematyczną pracę oraz dyscyplinę. Gdy zauważała u syna opory w nauce, dawała mu alternatywę pracy fizycznej przy inwentarzu gospodarskim, co po pewnym czasie przynosiło spodziewany efekt i posłuszeństwo wobec woli matki. Aby zapewnić bliskim jak najlepszy byt, Józefa nie unikała pracy fizycznej, często ponad swoje siły. Brała m.in. udział w budowie rodzinnego domu zlokalizowanego w pobliżu strażnicy OSP w Janiszewicach¹⁵. Przy pomocy ręcznego wózka samodzielnie przewoziła do Janiszewic cegłę oraz inne materiały budowlane z oddległej o około 5 km cegielni w Mostkach¹⁶. Nie mogło to pozostać bez wpływu na jej zdrowie, które systematycznie traciła. Zmarła przedwcześnie w 1921 r. w wieku zaledwie 40 lat. Spoczęła na cmentarzu przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli. Śmierć matki była jednym z decydujących wydarzeń w życiu Gedeona. Jej osoby zabrakło na kluczowym etapie rozwoju, dzieciństwa i młodości naszego bohatera¹⁷.

DWUDZIESTOLECIE MIĘDZYWOJENNE W ŻYCIU GEDEONA I JEGO RODZINY

Po śmierci żony, Stanisław Lorenc z trudem wiązał koniec z końcem. W wychowaniu Gedeona pomagał mu starszy syn Bolesław. Chłopcy często przebywali w Suchoczasach u chrzestnej Gedeona, Apolonii Maniewskiej oraz jej męża Józefa. U nich zawsze odnajdywali wszelką pomoc. Apolonia okazywała Gedeonowi szczególną czułość i w pewnym stopniu stanowiła zastępstwo matki¹⁸.

Pomimo trudnych warunków rozwój Bolesława następował poprawnie. Gdy Józefa zmarła miał on 13 lat. Kobieta wpłynęła więc znacząco na jego kształtowanie. W latach dwudziestych ubiegłego wieku uczęszczał do Państwowego Koedukacyjnego Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli. Po jego ukończeniu marzył o studiach na Uniwersytecie Warszawskim. Niestety

15 Pierwotnie mieszkali prawdopodobnie w budynku drewnianym. Budynek murowany przetrwał do dzisiaj. Obecnie znajduje się w granicach wsi Ochraniew i posiada numer 53.

16 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

17 W swoich wspomnieniach Gedeon wyraźnie dowartościowywał wysiłek matki, jej starania i znaczenie dla jego życia. O silnym związku z Józefą świadczy to, że w dorosłym życiu niekiedy podpisywał się podwójnym nazwiskiem Lorenc-Maniewski.

18 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

ojciec nie był w stanie zapewnić synowi środków na rozpoczęcie nauki¹⁹. Był to ważny moment, który w przyszłości wpłynął także na losy samego Gedeona. Bolesław zdecydował się na skierowanie swoich kroków ku służbie wojskowej²⁰. Dawała ona m.in. możliwość awansu społecznego i ustabilizowania sytuacji życiowej. W 1930 r. rozpoczął naukę w Szkole Podchorążych Artylerii w Toruniu. 15 sierpnia 1932 r. otrzymał nominację na stopień podporucznika w ramach IX promocji²¹, uzyskując 95 lokatę pośród 113 promowanych. Przydzielono go do 2 Pułku Artylerii Ciężkiej Ziemi Chełmskiej im. Hetmana Jana Zamoyskiego (dalej: 2 PAC) w Chełmie Lubelskim²². Jego kariera wojskowa rozwijała się dobrze. Dowodził m.in. 7 baterią III dywizjonu 2 PAC²³. Otrzymał także awans do stopnia porucznika. Warto wspomnieć o dwóch ciekawostkach na temat jego służby. Latem 1938 r. jego podwładnym w 7 baterii był kpr. pchor. Marian Bernaciak (1917-1946). Był on później dowódcą oddziałów partyzanckich Armii Krajowej oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość na Mazowszu i Lubelszczyźnie oraz jednym z najbardziej zasłużonych żołnierzy polskiej konspiracji²⁴. Por. Bolesław Lorenc uczestniczył również w sportowym życiu Chełma Lubelskiego. Należał do sekcji kolarskiej Wojskowego Klubu Sportowego „Garnizon” Chełm²⁵.

19 Bronisława Chadrysiak w swoim opracowaniu *Państwowe Liceum Ogólnokształcące im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli 1921-1971* (1971) nie wymienia Bolesława wśród uczniów szkoły. Należy jednak zaznaczyć, że zawarta w książce lista absolwentów nie jest kompletna. Autorka korzystała, m.in. z kronik szkolnych oraz przekazów, ale nie dotarła do wszystkich nazwisk. O ukończeniu przez Bolesława wymienionej szkoły wspomina Gedeon: G. Lorenc, dz. cyt., s. 5 (tekst główny).

20 W dokumentach związanych ze służbą wojskową w okresie międzywojennym, ale również niewołą w latach 1939-1945, Bolesław Lorenc funkcjonuje pod nazwiskiem Lorentz oraz Lorenz. W tekście przyjęto wersję Lorenc.

21 M. Wieliczko-Wielicki, *Szkola Podchorążych Artylerji: ku uczczeniu dziesięciolecia 1923-1933*, Toruń 1933, s. 90.

22 Dziennik Personalny Ministerstwa Spraw Wojskowych, nr 9/1932, s. 356.

23 R. Rybka, K. Stepan, *Rocznik oficerski 1939. Stan na dzień 23 marca 1938 r.*, Kraków 2006, s. 749-750.

24 Mjr Marian Bernaciak ps. „Orlik”, „Dymek”, kawaler Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari V klasy. Podczas Akcji „Burza” latem 1944 r. dowodził oddziałem partyzanckim I/15 Pułku Piechoty „Wilków” AK. Od wiosny 1945 r. dowodził oddziałem partyzanckim Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie Zgrupowaniem Partyzanckim Inspektoratu Rejonowego „Puławy” Zrzeszenia WiN. Poległ 24 czerwca 1946 r. w okolicy wsi Piotrówek w powiecie garwolińskim. Obławę przeprowadzili saperzy z 1 Dywizji Piechoty oraz oddział KBW. Miejsce spoczynku majora pozostaje nieznanne. Zob. B. Kopcińska, *Lubelskie Wilki – Dzieje zgrupowań partyzanckich Lubelszczyzny*, Puławy 2021, s. 51-52.

25 Od sezonu 1937 r. jeździł na rowerze produkcji łódzkiej manufaktury Stanisława Rędzi. Zob. W. Kozłowski, *Chełmskie Towarzystwo Cyklistów 1922-1939*, Chełm 2013, s. 63-64; Archiwum Państwowe w Lublinie Oddział w Chełmie, Akta miasta Chełma, Akta rejestracji rowerów, sygn. 26/359, s. bp.

Niestety, w przypadku rozwoju Gedeona wystąpiły poważne problemy. Samotny i schorowany ojciec nie był w stanie w sposób należyty sprawować nad nim opieki oraz zapewnić mu odpowiednich warunków materialnych²⁶. Być może to właśnie problemy wynikające z samotnego funkcjonowania skłoniły mężczyznę do ponownego małżeństwa. 20 lipca 1931 r. wziął on ślub z pochodzącą z Nowych Chojen (ob. część Łodzi) Olgą Dickhof. Kobieta pochodziła z rodziny ewangelicko-augsburskiej. Urodziła się w 1901 r. i była młodsza od Stanisława o dwadzieścia pięć lat. Ślub został zawarty w kościele pw. św. Katarzyny w Korczewie. Na katolicyzm przeszła 17 lipca składając w korczewskiej świątyni wyznanie wiary²⁷. Stanisław oraz Olga doczekali się syna Eugeniusza, który przyszedł na świat 15 sierpnia 1936 r.²⁸ Następstwem ponownego ślubu ojca stały się kolejne istotne zmiany w życiu Gedeona. Podążając za jego wspomnieniami dowiadujemy się, że kobieta wykazywała wobec niego nieprzychylną postawę. Był to jeden z czynników negatywnie na niego oddziałujących. Kolejnym było nieodpowiednie otoczenie rówieśnicze, w którym się znalazł. Chłopiec zaczął sprawiać problemy wychowawcze. Wszystko to w konsekwencji przekładało się na problemy z nauką²⁹.

Kluczową postacią na tym etapie życia Gedeona stał się Bolesław Lorenc. Od sierpnia 1932 r. był oficerem WP. Posiadał odpowiednie warunki by zaopiekować się bratem, ale także odciążyć ojca w opiece nad synem. W 1936 r. Gedeon ukończył siódmą klasę szkoły powszechnej³⁰. Wówczas Bolesław zabrał go ze sobą do Chełma Lubelskiego. Tam nasz bohater rozpoczął naukę w Państwowej Szkole Rzemieślniczej. Uczył się tam przedmiotów technicznych, w tym z zakresu znajomości pojazdów, mechaniki, elektrotechniki, maszynoznawstwa a także maszynopisania i księgowości³¹. Zmiana środowiska miała dla niego niebagatelne znaczenie. Dzie-

26 G. Lorenc, dz. cyt., s. 2 (odpis).

27 Urząd Stanu Cywilnego w Zduńskiej Woli (dalej: USC), Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Katarzyny w Korczewie, akt ślubu 1931, nr 104.

28 Tamże, akt urodzenia 1936, nr 205.

29 Gedeon nie precyzuje dokładnej daty, ale wspomina o tym, że utracił rok nauki nie zdając do kolejnej klasy. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 6 (tekst główny).

30 Ze względu na braki w materiałach źródłowych nie ustalono gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej. Można przypuszczać, że w Janiszewicach. Zob. IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

31 G. Lorenc, dz. cyt., s. 2 (odpis), s. 44.

ki starszemu bratu poznawał innych wojskowych i obcował z wojskowym drylem. Był także zaangażowany w działalność Przysposobienia Wojskowego. Istotne było również zamieszkanie przez Gedeona w szkolnym internacie, w którym panowała dyscyplina. Dodatkowo Bolesław w całości sprawował kontrolę nad Gedeonem oraz nadzorował jego proces edukacyjny. Warto jeszcze zaznaczyć, że pozytywny wpływ na Gedeona miała także kadra pedagogiczna. Wszystko to wpłynęło na budowanie jego charakteru, pomogło wyzbyć się złych nawyków i opanować problemy wychowawcze jakich dostarczał. Wydobyło z niego najlepsze cechy, m.in. wytrwałość oraz determinację w dążeniu do założonych celów.

Do wybuchu II wojny światowej Gedeon Lorenc ukończył trzy klasy chełmskiej szkoły³². Wakacje w 1939 r. spędził w rodzinnym domu w Janiszewicach. 1 września wypadał w piątek, więc rozpoczęcie roku szkolnego miało się odbyć w poniedziałek 4 września. W przededniu wybuchu wojny, Gedeon był już młodym mężczyzną, miał swoje ambicje i plany. Niestety zawierucha wojenna wszystko to pokrzyżowała.

LOS Y BRACI LORENCÓW WE WRZEŚNIU 1939 R.

Omawiając losy braci w kontekście wybuchu II wojny światowej istnieje wyraźna dysproporcja danych. Zdecydowanie więcej informacji zachowało się na temat Bolesława Lorenca. Zaczniemy jednak od Gedeona. Wybuch wojny zastał go w Janiszewicach. 3 września był świadkiem bombardowania pobliskiej Zduńskiej Woli przez niemieckie bombowce Junkers Ju-87. Około 5 września opuścił rodzinne strony i udał się w kierunku Warszawy. Dotarł do Lutomska, gdzie uciekinierów dogonił front. Gedeon wrócił do domu, a prawdopodobnie po ustaniu walk, zdecydował się na podróż do Chełma Lubelskiego, lecz nie precyzuje momentu dotarcia tam. Okazało się, że jego internat przy ul. Hrubieszowskiej³³ jest zrujnowany, a rzeczy osobiste zostały rozkradzione³⁴. Do Janiszewic powrócił prawdopodobnie w październiku 1939 r.

32 W sprawozdaniu z 1943 r. podał informację o uzyskaniu małej matury. Zob. IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.; Tamże, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

33 Tamże, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

34 G. Lorenc, dz. cyt., s. 4 (odpis), s. 9.

Przed napaścią Niemiec na Polskę por. Bolesław Lorenc dowodził 3 baterią I dywizjonu 2 PAC³⁵. Mobilizacja I dywizjonu (dalej: I/2 PAC) rozpoczęła się 14 sierpnia. Bateria por. Lorenca została skierowana do wsi Staw pod Chełmem. 18 sierpnia oddział załadowano na wojskowy eszelon na stacji Chełm Lubelski. Stamtąd por. Lorenc trafił do Gniewkowa pod Bydgoszczą, gdzie nastąpił wyładunek. Miejscem postoju 3 baterii stała się pobliska miejscowość Wielowieś³⁶. Pierwsze wzmianki wojenne o 3 baterii odnotowują objęcie przez nią 5 września pozycji ogniowych na poligonie toruńskim. Następnie por. Lorenc przeszedł szlak na południe i wziął udział w bitwie nad Bzurą. Wieczorem 11 września w trakcie marszu na pozycje w miejscowości Sobota w powiecie łowickim, kolumna jego baterii została ostrzelana przez niemiecki samolot i poniosła straty³⁷. 16 września I/2 PAC znajdował się wraz z innymi oddziałami polskimi w ukryciu w miejscowości Różyca. Niestety, Polacy zostali wykryci oraz ostrzelani przez czołgi i artylerię. W ogólnej panice siły dywizjonu uległy rozproszeniu. Lorenc opanował sytuację w obrębie swojej baterii oraz zdołał wycofać się w sposób uporządkowany i bez strat. Nie mając łączności z dowództwem, skierował się bocznymi drogami w kierunku miejscowości Luszyn w powiecie gostynińskim, gdzie dotarł wieczorem 16 września. Tutaj rozkazał zorganizować obronę przeciwpancerną i ostrzelał niemieckie czołgi w pobliskiej Woli Stępowskiej, doprowadzając do ich wycofania. Wkrótce dotarł do niego goniec mjr Alojzego Dylli, dowódcy I/2 PAC. Lorenc otrzymał rozkaz przejścia w kierunku Wyszogrodu. Pomimo zmęczenia żołnierzy – wobec zagrożenia ze strony przeciwnika – por. Lorenc zarządził natychmiastowy marsz. W jego trakcie ugrzęzło jedno z dział. Lorenc pozostał przy unieruchomionej armacie usiłując wydostać ją. Reszcie 3 baterii nakazał dalsze przemieszczanie się. Niestety, został odcięty i nie zdołał powrócić do oddziału³⁸. Do niewoli został wzięty prawdopodobnie 17 września³⁹.

35 K. Galster, *Księga Pamiątkowa Artylerii Polskiej 1914-1939*, Londyn 1975, s. 376.

36 Po wybuchu II wojny światowej I/2 PAC stał się częścią Armii „Pomorze”. Zob.: P. Zarzycki, *2 Pułk Artylerii Ciężkiej Ziemi Chełmskiej im. Hetmana Jana Zamoyskiego*, Pruszków 1999, s. 21-22.

37 Poległ jeden kanonier oraz stracono dwa konie. Zob. Tamże, s. 22.

38 Tamże, s. 24-25.

39 Na podstawie tymczasowych list strat Wojska Polskiego w kampanii wrześniowej opracowanych w latach 1942-1943 przez Polską Komisję Strat w Oflagu VIIA w Murnau dowiadujemy się, że por. Bolesław

Trafił do Oflagu VIIA w Murnau am Staffelsee w Bawarii. Otrzymał numer jeniecki 831⁴⁰.

ARESztOWANIE GEDEONA LORENCA ORAZ UWIEZNIENIE W OBOZIE PRACY W TROFAIACH

Warunki życia w okupacji były dla Gedeona oraz jego ojca trudne. Brakowało im środków do życia, a zbliżała się jesień i zima. Na domiar złego i tak już trudne relacje, na linii Gedeon – jego macocha, uległy znacznemu pogorszeniu. Jak relacjonuje, kobieta zaczęła otwarcie manifestować swoje proniemieckie poglądy, podpisała volkslistę oraz odnosiła się do niego z wrogością⁴¹. Wybrzmiało to w notatce wywiadu załączonej do wojennego sprawozdania Gedeona, które złożył w obozie szkoleniowym RAF w Kirkham 5 lipca 1943 r.⁴²:

„Miał macochę, która była Niemką, po zajęciu Zduńskiej Woli przez Niemców, macocha zaczęła podkreślać swoją wyższość narodową [...] W domu zaczęła rozmawiać tylko po niemiecku. Macocha starała się mnie przekonać, że powinienem przyjąć obywatelstwo niemieckie. Macocha mówiła mi, że jeżeli się nie zmienię to postara się aby mnie wywieziono do obozu pracy – do Niemiec. W roku 1939-1940 macocha moja zgłosiła się jako „volksdeutsche”.

Gedeon był rozgoryczony życiem pod okupacją, wznagało się w nim poczucie bezradności i niesprawiedliwości. Jednak już wtedy kiełkowała w nim myśl o ucieczce z kraju. Towarzyszami tych planów byli początkowo jego dwaj kole-

Lorenc – jak to sformułowano – zaginął w dniach 17-19 września 1939 r. Zob. Polski Czerwony Krzyż Biuro Informacji i Poszukiwań (dalej: PCK), Lista strat nr 7403, s. bp.

40 Wojskowe Biuro Badań Historycznych, Ewidencja oficerów osadzonych w obozie jenieckim w Murnau, sygn. II/52/19, s. bp.

41 W materiałach źródłowych zachowała się informacja o przyjęciu przez Olę Lorenc niemieckiej listy narodowościowej i wpisaniu jej do III kategorii. Grupowano w niej m.in. Polaków pochodzenia niemieckiego. Zob. Archiwum Państwowe w Łodzi Oddział w Sieradzu, Starostwo Powiatowe Sieradzkie, Wykaz osób wpisanych przez b. władze okupacyjne do III i IV gr. niemieckiej listy narodowej, sygn. 41/2/0/-/315, k. 26.

42 Można zauważyć, że notatka była spisywana przez osobę, która częściowo przytacza bezpośrednio słowa Gedeona, a częściowo sama przyjmuje rolę narratora. Niestety dokument został sporządzony w sposób niestaranny i nie da się odczytać nazwiska jego autora. Gedeon relacjonuje, że w Kirkham przesłuchiwał go „oficer wywiadu”. Zob. IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

dzy z Janiszewic: Kazimierz Turajczyk oraz Zygmunt Grzybowski⁴³. Jedną z rozważanych dróg ucieczki był szlak przez Karpaty, Węgry, Jugosławię i Włochy do Francji⁴⁴. Plany te nie doszły do skutku. Wiosną 1940 r. trójka kolegów otrzymała wezwania do rejestracji w Arbeitsamtzie (urzędzie pracy) w Zduńskiej Woli⁴⁵. Kazimierz został wywieziony w okolice Emden, natomiast Gedeon z Zygmuntem wydostali się z podwórza urzędu i oddalili. Kolejnym krokiem władz niemieckich było aresztowanie Gedeona, do którego doszło 14 czerwca 1940 r.⁴⁶ Jego przyjaciel Zygmunt ukrył się zaś z powodzeniem i uniknął schwytania. Gedeon relacjonuje, że został ujęty przez żandarmów i trafił do aresztu⁴⁷. Otrzymał jednodniową przepustkę wyjednaną u Niemców przez Stanisława Lorenca. Naszykował swoje rzeczy i kolejnego dnia stawiał się ponownie w areszcie. Wtedy też ojciec i syn widzieli się po raz ostatni. Stanisław Lorenc zmarł 22 maja 1943 r. i został pochowany na starym zduńskowolskim cmentarzu przy ul. Łaskiej⁴⁸.

Gedeon trafił do obozu pracy w miejscowości Trofaiach w południowo-wschodniej Austrii⁴⁹. W swoim sprawozdaniu z lipca 1943 r. tak scharakteryzował to miejsce⁵⁰:

„14 czerwca zostałem aresztowany i wywieziony przez władze niemieckie do Austrii, gdzie umieszczono mnie w obozie cywilnym w miejscowości „Trofajach” wschodnie Alpy. Obóz, w którym zostałem umieszczony składał się: z około 100 Polaków, będących częścią aresztowanych mężczyzn w wieku 16-45 lat w Zduńskiej Woli, przypuszczalna

43 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

44 G. Lorenc, dz. cyt., s. 12

45 Arbeitsamt w Zduńskiej Woli znajdował się przy Placu Krakowskim. Przed wybuchem II wojny światowej okalała go ulica Nowy Rynek, której nazwę Niemcy zmienili na Am Markt.

46 IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

47 Gedeon wspomina jedynie, że został umieszczony w „areszcie miejscowym”, nie precyzuje jednak dokładnego miejsca przetrzymywania. Areszt niemieckiej żandarmerii w Zduńskiej Woli znajdował się na Rathausstraße (przed wojną ul. Belwederska, ob. Złotnickiego). W mieście istniał jeszcze komisariat i areszt Schützpolizei, zlokalizowany na Bahnhofstraße (przed wojną ul. Złotnickiego, ob. Dąbrowskiego).

48 W akcie zgonu jego miejsce zamieszkania określono jako Florianki. Dziś jest to część Ochraniewa w gminie Zduńska Wola. Zob. USC, Akta stanu cywilnego parafii rzymskokatolickiej pw. św. Katarzyny w Korczewie, Akta zgonu 1943, nr 99.

49 Powiat Loeben, w którym leży Trofaiach, był regionem z rozwijającym się przemysłem. Znajdowała się tam, m.in. huta żelaza oraz fabryka amunicji.

50 IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

liczba wynosiła około 500, a których większość wywieziono do Bawarii. 2) z jeńców francuskich, których ilości nie znam prawdopodobnie około 1000 i z kilkudziesięciu Czechów aresztowanych na terenie Czechosłowacji. Wszyscy wyżej wymienieni byli używani do prac rolnych i budowy linii wysokiego napięcia. Całość dzieliła się na obozy: cywilny i wojskowy który był oddalony i tworzył specjalny obóz wewnętrzny”.

Gedeon został przydzielony do pracy przy budowie linii wysokiego napięcia w górach. Prawdopodobnie pracę wykonywał na potrzeby przedsiębiorstwa Brown Boveri & CIE AG, które specjalizowało się w energetyce⁵¹. Pracę tam odbywano od wczesnych godzin porannych do wieczora. Doskwierało to Gedeonowi, który nigdy wcześniej nie pracował fizycznie. Wyżywienie było niedostateczne, wobec więźniów stosowano przemoc fizyczną, a także prowadzono inwigilację mającą zapobiegać formowaniu grup ucieczkowych. W 1943 r. Gedeon opisywał warunki obozowe⁵²:

„Jeśli chodzi o traktowanie i warunki obozowe jeńców francuskich, to tych traktowano normalnie jako jeńców wojennych. Natomiast Polaków otaczano „specjalną opieką”, której rezultat był taki, że pod koniec mojego tam pobytu tj. 2 miesiące brakło nam kilku towarzyszy niedoli wywiezionych w nieznanym kierunku, a których dalszy los pozostał tajemnicą”.

Sam Lorenc doświadczył w Trofaiah przemocy. Opisuje przypadek dotkliwego pobicia przez wartowników⁵³ oraz uderzenia kolbą podczas próby odpoczynku w trakcie pracy. Wszystko to skłaniało go do podjęcia ucieczki. Nie było to jednak łatwe zadanie. Trofaiah leżało w samym sercu wrogiego terytorium. Miasto jest otoczone szczytami przekraczającymi 2000 m n.p.m. Kluczowym elementem w powodzeniu akcji była znajomość języka niemieckiego, posiadanie map oraz kompasu, znajomość topografii regionu, umiejętność poruszania się w zróżnicowanym terenie, ale także zdobycie aprowizacji. Pewnej nadziei można było upatrywać w oddalonej

51 Była to wywodząca się ze Szwajcarii firma, która korzystała z niewolniczej pracy robotników przymusowych. Wśród osób pracujących w 1940 r. w Trofaiah na potrzeby Brown Boveri & CIE AG można odnaleźć nazwiska zduńskowolan, np. Jana Szewczyka oraz Józefa Barskiego.

52 IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

53 Stało się to po tym, jak Lorenc w grupie więźniów pobił w baraku mężczyznę, który według nich był donosicielem. Mimo przeprowadzenia ataku w nocy, Gedeon został rozpoznany przez mężczyznę i następnego dnia dotkliwie pobity przez niemieckich wartowników. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 20.

o nieco ponad 100 km granicy z Jugosławią. Była ona jednak bacznie strzeżona. Pomimo wspomnianych trudności, decyzja o ucieczce była ostateczna⁵⁴.

Gedeon znalazł się w grupie ucieczkowej z jeszcze czterema mężczyznami ze Zduńskiej Woli⁵⁵. Ucieczki dokonali pod koniec sierpnia 1940 r. Lorenc opisywał te chwile po niemal trzech latach następująco: „Dnia 26 sierpnia 1940 roku podziękowałem za „troskliwą opiekę” i opuściłem ten obóz wraz z 4-remą towarzyszami udając się w kierunku granicy jugosłowiańskiej”⁵⁶. Grupę prowadził najstarszy, czterdziestolatek, który biegle posługiwał się językiem niemieckim. Więźniowie posiadali podrobione dokumenty tożsamości (ausweisy), kompas oraz mapę z Europą Centralną, którą zdobył Gedeon. Tak wyposażeni wyruszyli w drogę ku Jugosławii. Wsiedli do pociągu w Trofaiach i dotarli do Grazu. Był to newralgiczny moment, ponieważ znaleźli się na wyjątkowo ruchliwym dworcu jednego z największych miast Austrii. Szczęśliwie udało im się opuścić to miejsce kolejnym pociągiem⁵⁷. Od tego momentu Lorenc nie precyzuje nazw geograficznych. Być może z Grazu uciekinierzy dotarli do miejscowości Leibnitz, ok. 15 km od granicy z Jugosławią⁵⁸. Wspomniane miasto położone jest w widłach rzek Sulma i Mura, a idąc stamtąd na południe należy pokonać jedną z nich. Dodatkowo przez Sulmę wiedzie most kolejowy linii prowadzącej do Mariboru w Słowenii. Na południe od miasta, aż do terytorium Jugosławii, rozciągają się niskie góry o szczytach od 400 do ponad 700 m n.p.m. Mężczyźni byli bliscy sukcesu, lecz zostali zauważeni przez niemieckich pograniczników i ulegli rozproszeniu⁵⁹. Gedeon kontynuuje opis w swoim sprawozdaniu: „Niestety moim 4 towarzyszom nie było widocznie pisane ujrzeć gościnnej ziemi jugosłowiańskiej. W pobliżu granicy z powodu sy-

54 Nie zmieniła jej nawet nowa praca Gedeona, czyli funkcja asystenta niemieckiego inżyniera nadzorującego pracę polskich robotników, co wiązało się ze znaczącą poprawą warunków. Niestety Lorenc nie znał nazwiska niemieckiego inżyniera. Zob. Tamże, s. 22-23.

55 Informację o tym, że pochodzili oni ze Zduńskiej Woli, można odnaleźć we wspomianej notatce wywiadu. Zob. IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

56 26 sierpnia 1940 r. wypadł w poniedziałek. Według wspomnień Gedeona, wytworzonych po wojnie, ucieczki dokonano w niedzielę. Być może, po prawie trzech latach, pomylił on nieznacznie datę i nieumyślnie przesunął to wydarzenie z 25 na 26 sierpnia. Zob. Tamże.

57 G. Lorenc, dz. cyt., s. 26-27.

58 Okolica ta odpowiada przekazowi ze wspomnień Lorenc.

59 G. Lorenc poznał ich losy dopiero w 1963 r., gdy podczas wizyty w Polsce odnalazł jednego z członków grupy ucieczkowej, którego wymienia jako „Kazimierza G.” ze Zduńskiej Woli. Przekazał mu on, że pozostali trzej mężczyźni zostali przewiezieni do różnych więzień i stracili życie. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 31.

tuacji, jaka się wytworzyła, straciłem ich z oczu, skutkiem czego dalszą podróż zmuszony byłem odbyć samotnie”⁶⁰.

OD BAŁKANÓW DO TURCJI

Gedeon Lorenc nie precyzuje nazwy pierwszej miejscowości na terytorium Jugosławii, do której dotarł. Odtworzenie dalszej chronologii jest nieco problematyczne. Zgodnie z jego sprawozdaniem z 1943 r., kolejne wydarzenia wyglądały następująco⁶¹:

„Po kilku dniach zameldowałem się w konsulacie polskim w Zagrzebiu, wyrażając chęć wstąpienia do Armii Polskiej. W październiku 1940 roku przybyłem do Haify (Palestyna), gdzie wcielono mnie do Karpackiego Pułku Artylerii, wchodzącego w skład Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, z którą to jednostką przeszedłem kampanię libijską i w której pozostawałem do końca jej istnienia”.

Jest to telegraficzny skrót. Wielka szkoda, że w opisie z 1943 r. nie zawarł więcej szczegółów na temat swoich losów od ucieczki z III Rzeszy, aż do momentu przybycia do Hajfy. Więcej szczegółów ujawnił w swoich wspomnieniach. Zgodnie z nimi, po dotarciu na terytorium Jugosławii, został przewieziony do kwatery służby granicznej w Mariborze. Był traktowany dobrze, lecz aresztowano go za przekroczenie granicy bez ważnych dokumentów. W areszcie spędził ok. 2 tygodnie. Po zwolnieniu, w towarzystwie jugosłowiańskiego funkcjonariusza, został odeskortowany do Zagrzebia⁶². Tam został przekazany pracownikom polskiego konsulatu generalnego, w którym istniał punkt przerzutowy dla polskich żołnierzy. Zgodnie z relacją Lorenca, odnoszono się tam do niego z nieufnością i poddano wielogodzinnemu przesłuchaniu. Jaka mogła być przyczyna tej nieufności? W związku z prowadzeniem rekrutacji do służby w Polskich Siłach Zbroj-

60 IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

61 Tamże.

62 Na marginesie wydarzeń warto jeszcze wspomnieć, że z Jugosławii wysłał do Polski kilka kart pocztowych. Nie precyzuje jednak, czy wysyłał je pod prawdziwymi czy może zmienionymi danymi. W związku z jego aresztowaniem oraz ucieczką z obozu wydaje się, że pisanie do bliskich pod rzeczywistymi danymi nie było bezpieczne.

nych (dalej: PSZ), pracownicy konsulatu obawiali się infiltracji przez niemieckich agentów. Gedeon, który samotnie przekroczył trudną do pokonania granicę z III Rzeszą, wzbudził w ten sposób ich podejrzliwość. Ostatecznie, po pozytywnej weryfikacji, wstąpił w szeregi PSZ. Następnie znalazł się w Belgradzie i Vranje, w dzisiejszej Serbii. Po otrzymaniu fałszywego paszportu, w grupie z innymi Polakami, udał się koleją do Bułgarii. Po postoju w Sofii dotarł do Istambułu, a następnie do portu w Mersin na południu Turcji⁶³. Tam wszedł na pokład statku transportowego SS „Warszawa” i 5 października 1940 r. dotarł do punktu zbornego PSZ w Hajfie⁶⁴. Inną chronologię Gedeon przekazuje w swoich wspomnieniach. Uwzględniając podane przez niego okresy przebywania w poszczególnych miejscowościach na Bałkanach i w Turcji można obliczyć, że okres ten trwał nie ponad miesiąc, jak wynika z danych archiwalnych, lecz niemal trzy miesiące, a odpłynięcie na Bliski Wschód nastąpiło pod koniec listopada 1940 r.

W SAMODZIELNEJ BRYGADZIE STRZELCÓW KARPACKICH

Początkowo Gedeon Lorenc trafił do Ośrodka Zapasowego Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (dalej: SBSK) w Latrun⁶⁵, w celu odbycia szkolenia rekruckiego. Zgodnie z jego przekazem, panowała tam ostra dyscyplina. To właśnie w Latrun pierwszy raz popadł w poważny konflikt z przełożonym⁶⁶. Doszło do tego na tle zarzutów o nieodpowiednie czyszczenie broni przez Lorenca. Stwierdza on, że przełożony był nadmiernie wymagający oraz znęcał się nad rekrutami. Gedeon odmówił ponownego konserwowania broni, czym zajmował się już kilka godzin. Dowódca podjął próbę jego uderzenia, a ten w przypływie emocji chwycił za bagniet z myślą ugodzenia starszego stopniem, lecz został powstrzymany przez jednego z kolegów. Nie był jeszcze zaprzysiężonym żołnierzem, więc ukarano go 2 godzi-

63 G. Lorenc, dz. cyt., s. 36-43.

64 IPMS, Ewidencja oficerów 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, sygn. A.XI. 35/3, s. bp.

65 Znajdował się tam batalion szkolny dla podoficerów oraz szeregowych. Zob. Z. Śmietana, *Okruchy z tobruckiego chlebaka*, Wrocław 1986, s. 13.

66 Lorenc relacjonuje, że miał stopień podchorążego. Nie podaje jednak bliższych danych. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 47.

nami postoję na słońcu w pełnym rynsztunku⁶⁷. Jest to wydarzenie epizodyczne, ale istotne. Z czego mogła wynikać tak gwałtowna reakcja Gedeona? Tłumaczył to rozgoryczeniem przedłużającą się wojną⁶⁸. W tonie zapisów można także wyczuć niezadowolenie warunkami panującymi w Latrun. Wydaje się, że na to mogły nałożyć się wcześniejsze doświadczenia uwięzienia oraz przemocy ze strony Niemców. Lorenc miał także niepokorny charakter i buntował się otwarcie, gdy doświadczał niesprawiedliwego traktowania. Epizod w Latrun z pewnością umocnił w nim tę niepokorność.

4 grudnia 1940 r. szer. Gedeon Lorenc został przydzielony do Karpackiego Pułku Artylerii (dalej: KPA) dowodzonego przez ppłk. Stanisława Gliwicza⁶⁹. Był tam kierowcą ciągnika przeznaczanego do holowania brytyjskiej 25 funtowej haubico-armaty⁷⁰. Początkowo przebywał w Mex, w pobliżu Aleksandrii. Tam żołnierze pracowali przy budowie linii umocnień. Na początku kwietnia KPA znalazł się w Aleksandrii, co miało związek z planami przebazowania SBSK do Grecji. 8 kwietnia 1941 r., na pokładzie brytyjskiego statku transportowego „Araybank”, na kontynent odpłynął sprzęt artyleryjski Brygady, który został w Grecji utracony. Wobec załamania sytuacji na tamtejszym froncie, rozkaz o skierowaniu tam SBSK cofnięto⁷¹. W maju jednostkę Lorenc przesunięto w rejon Marsa Matruh i przebywała tam do sierpnia. Potem została ponownie skierowana do Aleksandrii, a od 17 do 19 sierpnia cała SBSK była w pogotowiu przed wypłynięciem do Tobruku w ramach operacji „Treacle” (odtrutka)⁷². Pułk Gedeona dotarł do oblężonego miasta w dniach 19-21

67 Tamże, s. 47-48.

68 Tamże.

69 IPMS, A.XI. 35/3, s. bp.

70 Podkreślał, że przydzieloną funkcję kierowcy zawdzięczał swoim umiejętnościom, zdobytym podczas nauki w Chełmie Lubelskim. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 5 (odpis).

71 M. Sas-Skowroński, *Artyleria w SBSK*, [w:] *Polacy w obronie Tobruku*, Olsztyn 1996, s. 157-158.

72 We wspomnieniach Gedeona Lorenc chronologia wydarzeń jest zachwiana. Informuje on najpierw o skierowaniu swojej jednostki na około trzymiesięczny pobyt w rejonie Marsa Matruh. Po tym, miało nastąpić cofnięcie do Aleksandrii w celu założenia obozu i rozkaz zaokręgowania pułku na pokład statku do Grecji. Zgodnie ze słowami Gedeona, żołnierze wypłynęli, lecz statek cofnięto. Po niedługim czasie ponownego pobytu w Aleksandrii, KPA wraz z resztą sił SBSK odpłynął do Tobruku. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 50-55.

sierpnia 1941 r.⁷³, a jego główne siły popłynęły na stawiaczu min HMS „Latona”. SBSK zajęła pozycje na zachodnim odcinku obrony miasta w rejonie strategicznie ważnego wzgórza Medauar⁷⁴. Przeciwnikami Polaków na tym kierunku byli Włosi oraz Niemcy. Co ciekawe, Gedeon Lorenc nie był jedynym żołnierzem z terenu dzisiejszego powiatu zduńskowolskiego, który walczył podczas oblężenia Tobruku. Wśród uczestników bitwy można odnaleźć również por. Jana Stradowskiego ze Zduńskiej Woli⁷⁵ oraz szer. Kazimierza Brzezińskiego z Korczewa⁷⁶.

W swoich wspomnieniach Gedeon Lorenc opisuje oblężenie Tobruku i następujące po nim walki manewrowe SBSK, skupiając się wokół wybranych problemów. Uwypatnia m.in. kwestię aprowizacji, życia codziennego, służby zdrowia, relacji ze starszymi stopniem oraz na linii Polacy-sojusznicy. W mniejszym stopniu poświęca uwagę walkom i ich przebiegowi. W jego narracji pojawiają się niekiedy uogólnienia i błędy chronologiczne. W związku z tym, na podstawie samej jedynie lektury wspomnień, czytelnik nie uzyska klarownego obrazu wydarzeń. W kontekście udziału Lorenc w walkach o Tobruk, warto przeanalizować dwa wątki. Pierwszym są przydziały, jakie wówczas pełnił i zadania, jakie wykonywał. Gedeon był kierowcą ciągnika artyleryjskiego. Relacjonuje, że z rozkazu „Józefa S.” wyznaczono go na funkcję do-

73 M. Sas-Skowroński, dz. cyt. 160.

74 Z. Śmietana, dz. cyt., s. 16.

75 Jan Stradowski, ur. 20 stycznia 1915 r. w Zduńskiej Woli, syn Edwarda oraz Janiny z Pawłowskich. W 1938 r. uzyskał maturę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli. Na przełomie roku 1936 i 1937 ukończył kurs w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii w Toruniu i uzyskał stopień podporucznika. We wrześniu 1939 r. służył jako oficer zwiadowczy w 3 batalionie 17 Pułku Artylerii Lekkiej. 3 grudnia 1940 r. znalazł się w szeregach SBSK. Pod Tobrukiem i w kampanii libijskiej walczył w składzie III Dywizjonu KPA. Dalszą służbę odbywał w 1 Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej (dalej: KPAL), z którym wziął udział w bitwie o Monte Cassino. 1 stycznia 1945 r. uzyskał stopień kapitana. Odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych. Po wojnie, wraz z żoną Elżbietą, wyemigrował do Australii. Zmarł 16 kwietnia 1992 r. Zob. IPMS, Ewidencja oficerów 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, sygn. A.XI. 35/1, s. bp.; D. Stefańska, *Szadkowiec „szczurem Tobruku” – rzecz o Janie Stradowskim*, „Biuletyn Szadkowski” 2004, t. 4, s. 109-110.

76 Kazimierz Brzeziński, ur. 18 sierpnia 1918 r., syn Stanisława i Leontyny z Olczyków. W 1938 r. uzyskał maturę w Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Wielkiego w Zduńskiej Woli. Przed wybuchem II wojny światowej ukończył rok studiów na Wydziale Inżynierii Politechniki Warszawskiej. Zdołał przedostać się do Palestyny i 14 lipca 1940 r. znalazł się w szeregach SBSK. Pod Tobrukiem i w kampanii libijskiej walczył w składzie 2 Batalionu Strzelców Karpackich. Dalszą służbę odbywał w 1 KPAL, z którym wziął udział w bitwie o Monte Cassino. 1 sierpnia 1944 r. uzyskał stopień podporucznika. Odznaczony m.in. Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari V klasy. Po wojnie wziął ślub z Davinią Paganelli oraz wyemigrował do USA. Zmarł 3 grudnia 1983 r. Zob. IPMS, Ewidencja oficerów 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, sygn. A.XI. 35/1, s. bp.

wódcy działa⁷⁷. Na podstawie dostępnej literatury stwierdzam, że osobą tą był ogniomistrz podchorąży Józef Szczotka z 4 baterii⁷⁸. Dokumenty nie precyzują dokładnego momentu, lecz podczas służby w SBSK nasz bohater był awansowany do stopnia starszego szeregowego. Być może miało to miejsce właśnie wtedy⁷⁹. Następnie służył w 7 baterii, utworzonej w celu obsługi zdobycznych włoskich armat kalibru 75 mm⁸⁰. Drugim interesującym wątkiem jest wzmianka o eksplozji jednej z nich, w wyniku czego zginęła prawie cała jej obsada⁸¹. Wydarzenie to miało miejsce 3 października 1941 r. Musiało to wywrzeć silne wrażenie na Gedeonie, szczególnie, że doszło do tego na sąsiadującym z nim stanowisku oraz brał udział w zbieraniu rozrzuconych szczątków zabitych. Życie straciło wówczas trzech kanonierów: Józef Juda, Andrzej Dziembowski oraz Paweł Nowak. Przeżył jedynie działonowy, plutonowy Kosela⁸².

Po odblokowaniu Tobruku 10 grudnia, SBSK przystąpiła do działań manewrowych. Jeszcze w tym samym miesiącu Gedeon Lorenc wziął udział w walkach pod el Gazalą. Z tego okresu zachowały się wspomnienia dotyczące Lorenca, pozostawione przez jego kolegę Zbigniewa Śmietanę. Jeden z fragmentów dotyczy życia codziennego. Żołnierze KPA zdobyli włoskie konserwy i postanowili je podgrzać. Nie zachowali jednak ostrożności i spowodowało to pożar samochodu z amunicją. Pierwszy do gaszenia ruszył Gedeon⁸³:

„Radość została na moment zakłócona. Od palącego się prymusa [maszynka do gotowania – D.B.] zajęła się siatka maskownicza, a od niej plandeka na trzytonowym samochodzie pełnym amunicji. Stało się to błyskawicznie. Łada moment mogły wybuchnąć ładunki prochu i znajdujące się w skrzynkach granaty. Najprzytomniejszy

.....

77 G. Lorenc, dz. cyt., s. 59.

78 M. Sas-Skowroński, dz. cyt., s. 177.

79 IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

80 Z. Śmietana, dz. cyt., s. 80.

81 Włoski sprzęt artyleryjski był wykorzystywany w KPA na szeroką skalę. Miało to związek ze zdobyciem w Tobruku zapasów przeciwnika. Były to armaty kalibrów 75, 100, 105 oraz 149 mm. Podczas udziału w walkach o Tobruk, czyli od 23 sierpnia do 10 grudnia, artylerzyści KPA wystrzelili z nich łącznie 21 236 pocisków, z 80 818 wykorzystanych przez Polaków. Stanowi to ponad 1/4. Zob. M. Sas-Skowroński, dz. cyt., s. 167.

82 Z. Śmietana, dz. cyt., s. 81; *Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939-1946*, Londyn 1952, s. 7-8.

83 Z. Śmietana, dz. cyt., s. 104.

okazał się kierowca 3. działonu, Gedeon Lorenc, który chwycił leżącą płachtę i zaczął nią tłuc po plandecie. W ślad za nim porwaliśmy za łopaty, by gasić ogień piaskiem”.

Ciekawy jest również fragment dotyczący Świąt Bożego Narodzenia w 1941 r., spędzonych na linii frontu w pobliżu wioski Ain el Gazala. W wieczór wigilijny nad stanowiskami KPA pojawił się wrogi samolot, który zrzucił na spadochronach flary oświetlające cel przed bombardowaniem. Gedeon Lorenc rozpoczął ich ostrzeliwanie z broni ręcznej. Tak wspomina to Zbigniew Śmietana⁸⁴:

„Pierwszy Gedeon Lorenc chwycił za tommy guna [pistolet maszynowy Thompson – D.B.] i krótkimi seriami rozwałął płonące pod spadochronami ładunki. Gdy spadochron lądował, odciągaliśmy białą czaszę w kierunku przeciwnym wiatrowi, by uratować materiał przed spalaniem”.

Po zakończeniu walk pod Ain el Gazalą Gedeon Lorenc wziął udział w oblężeniu Bardii. Miało to miejsce od 27 grudnia 1941 r. do 2 stycznia 1942 r. Następnie KPA uczestniczył w walkach na Cyrenajce, stanowiąc wsparcie ogniowe w rejonie miasta Apollonia pod Cyreną. Służba tam była monotonna, a Śmietana wspomina rozrywki żołnierzy w celu zabicia czasu. Brał w nich udział również Gedeon⁸⁵:

„Nic się nie działo. Z nudów urządziliśmy zawody strzeleckie. Gedeon Lorenc z dużym wysiłkiem zaniósł na odległy o trzysta metrów brzeg wąwozu dużą butlę, którą umieścił na drzewie. „Pechowo” pierwszym strzałem z włoskiego karabinka rozwaliłem ją. Zabawa się skończyła ponieważ nie znalazł się nikt chętny do wspinaczki wśród kolczastych krzewów, by zanieść następną butelkę”.

Na Cyrenajce SBSK przebywała do drugiej połowy marca. KPA został wycofany z frontu 18 marca 1942 r. i trafił do El-Amiriya pod Aleksandrią.

W drugiej połowie kwietnia 1942 r., SBSK została przesunięta do Palestyny, a następnie do Iraku. Lorenc został w tym czasie odkomenderowany na kurs dla kierowców w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii Lekkiej (dalej: SPRAL). Naukę

84 Tamże, s. 108-109.

85 Tamże, s. 140.

rozpoczął 15 kwietnia, a ukończył 30 sierpnia 1942 r. w stopniu bombardiera⁸⁶ podchorążego ze starszeństwem z 8 maja 1942 r.⁸⁷ W swoich wspomnieniach informuje o otrzymaniu stopnia oficerskiego ze specjalnością artyleryjską⁸⁸. W świetle materiałów archiwalnych, zarówno z okresu pobytu na Bliskim Wschodzie, jak również dotyczących późniejszej służby w lotnictwie, taki fakt nie znajduje potwierdzenia. Zgodnie z kartą personalną PSP z 1946 r., Gedeon Lorenc do końca II wojny światowej posiadał stopień kaprała podchorążego⁸⁹. Kurs, który odbył w SPRAL, był jednym z ogniw na drodze do uzyskania stopnia oficerskiego. 30 sierpnia 1942 r. przydzielono go do 5 batalionu 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej z 3 Dywizji Strzelców Karpackich stacjonującego w Khanqin w Iraku. Pod koniec 1942 r. rozpoczął starania o przeniesienie do lotnictwa. Wpłynęły na to trudne warunki służby na pustyni, które dawały mu się we znaki. 21 grudnia 1943 r. dowódca pułku, mjr Józef Hildebrandt, wydał rozkaz, aby ochotnicy zakwalifikowani do służby w siłach powietrznych pozostawali stale w swoich pododdziałach i oczekiwali tam odkomenderowania do PSP. Na rozkazie odnotowano również Lorencą⁹⁰. Podczas służby w Khanqin doszło do jeszcze jednego ważnego wydarzenia. Między Gedeonem a przełożonymi wywiązał się poważny konflikt⁹¹. Relacjonuje on, że postawił swojemu dowódcy „porucznikowi L”⁹² zarzut uchylania się od obowiązków służbowych, powiadomił o tym dowództwo oraz odmówił wykonania rozkazów starszego stopniem. Narastający spór skutkował 20 stycznia 1943 r. postawieniem Lorencą przed sądem koleżeńskim. Zgodnie z jego relacją, w trakcie rozprawy, ze strony dowódcy pułku pojawiły się przykre dla Gedeona pytania, dotyczące jego nazwiska

86 Artyleryjski odpowiednik starszego szeregowego.

87 IPMS, A.XI. 35/3, s. bp.

88 G. Lorenc, dz. cyt., s. 5 (odpis).

89 IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

90 IPMS, Akta różne 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, A.XI. 35/5, s. bp.

91 W swoich wspomnieniach relacjonuje, że nie był to pierwszy spór o podłożu kompetencyjnym, w jakim uczestniczył podczas służby liniowej. Wcześniejsze zdarzenie miało miejsce w Tobruku. Wspomina, że został wciągnięty do buntu przeciwko dowódcy baterii, który został w efekcie tego zawieszony. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 59-60.

92 Niestety, na podstawie dostępnych dokumentów jednostki, nie ustaliłem danych tegoż porucznika.

i pochodzenia⁹³. Usłyszał także niekorzystny werdykt – 28 dni aresztu⁹⁴. Były to jednak jego ostatnie akordy służby na Bliskim Wschodzie. 7 lutego 1943 r. został przydzielony do służby w lotnictwie, a 19 marca uzyskał przeniesienie⁹⁵.

SŁUŻBA W POLSKICH SIŁACH POWIETRZNYCH

2 maja 1943 r., o godzinie 6:30, Gedeon Lorenc odpłynął z Port Said do Wielkiej Brytanii⁹⁶. Podróż odbył na pokładzie statku transportowego „Ile de France”. Trasa wiodła przez Kanał Sueski i Morze Czerwone. 5 maja „Ile de France” wpłynął do Adenu, a dzień później odpłynął w dalszy rejs przez Zatokę Adeńską i Kanał Mozambicki, przepływając w pobliżu wybrzeży Madagaskaru. Kolejnym przystankiem był Durban w Związku Południowej Afryki, gdzie statek dotarł 16 maja. 22 maja odpłynął stamtąd trzymając się blisko kontynentu. Minął jeszcze Cape Town i skierował się do Rio de Janeiro w Brazylii. „Ile de France” zawinął tam 3 czerwca. Stamtąd skierował się do Freetown w Sierra Leone, gdzie dopłynął 11 czerwca. Końcowy odcinek podróży wiódł w kierunku północnym przez Atlantyk⁹⁷. Z uwagi na zagrożenie atakami niemieckich okrętów podwodnych, był to zdecydowanie najbardziej

93 Tamże, s. 65-66.

94 IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

95 Tamże.

96 W swoich wspomnieniach podaje sprzeczne dane na temat daty rozpoczęcia podróży. Raz określa ten moment na połowę lipca, a raz na początek marca 1943 r. Żadne z tych datowań nie jest możliwe. 4 lutego 1943 r. „Ile de France” odpłynął z Massawy w Erytrei do Sydney w Australii w ramach Operacji „Pamphlet”. Transportował wówczas część sił australijskiej 9 Dywizji Piechoty, przerzucanej na Daleki Wschód. Do Sydney zawinął 27 lutego. Nie jest więc możliwe, aby Gedeon Lorenc znalazł się na pokładzie „Ile de France” na początku marca 1943 r. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 6 (odpis), s. 69.; <http://ssmaritime.com/Ile-de-France-2.htm> [8 grudnia 2024].

97 Relacjonuje, że w trakcie rejsu ze Sierra Leone do Szkocji znalazł się w kłopotach. Jednej z nocy na „Ile de France” ogłoszono alarm, mający związek z wykryciem nierozpoznanego statku. Panowało wówczas całkowite zaciemnienie. Lorenc był w tym czasie na zewnętrznym pokładzie i palił papierosa. Ujęto go i przesłuchiowano, jak relacjonował, w obecności kapitana statku. Zwolniono go dzięki protekcji „księcia L.”, z którym służył pod Tobrukiem i uczył się w SPRAL. Na podstawie materiałów źródłowych można stwierdzić, że był to Marek Lubomirski (1920-1987), syn Tomasza Lubomirskiego herbu Drużyna. Pochodził z Pławna koło Radomska. W Tobruku walczył w składzie Pułku Ułanów Karpackich. Do obozu szkoleniowego RAF w Kirkham trafił w tym samym czasie co Gedeon Lorenc, a swoje sprawozdanie z dotychczasowej służby złożył dzień po Lorencu. W Wielkiej Brytanii przeszedł przeszkolenie na nawigatora i służył w 305 Dywizjonie. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 69; IPMS, Sprawozdanie Marka Lubomirskiego z 6 lipca 1943 r., sygn. LOT.A.V. 96/30/28, s. bp.

niebezpieczny fragment rejsu. Szczęśliwie 20 maja 1943 r. „Ile de France” wpłynął do Zatoki Clyde, a 21 maja znalazł się w szkockim porcie Gourrock⁹⁸.

Gedeon Lorenc opisuje swoją służbę w polskim lotnictwie w sposób zdawkowy. Na podstawie samej lektury wspomnień czytelnik nie otrzyma klarownego i pełnego obrazu wydarzeń. Zagadnienie to można jednak odtworzyć w oparciu o źródła archiwalne. Po przybyściu do Wielkiej Brytanii skierowano go najpierw do obozu szkoleniowego Royal Air Force (dalej: RAF) w Kirkham. 5 lipca 1943 r. złożył tam sprawozdanie ze swojej dotychczasowej drogi wojennej, które cytowane już były kilkakrotnie. Przeszedł także przesłuchanie poprowadzone przez – jak to określił – „oficera wywiadu”. Do jego sprawozdania załączono cytowaną wcześniej notatkę, w której opisano trudne relacje Gedeona z macochą oraz jej proniemiecką postawę, manifestowaną po wybuchu II wojny światowej. Przesłuchujący wyraźnie zainteresował się tym wątkiem, ale jak można przypuszczać, wykazał też nieufność w stosunku do samego Lorenc. Takie wnioski nasuwają końcowe słowa notatki, w których zalecano obserwację Polaka: „Uwaga Kpr. Pchr. Lorenc Gedeon – poddać obserwacji na okoliczność stosunków i zagadnień niemieckich”⁹⁹. We wspomnieniach Lorenc stwierdził, że po dotarciu do Wielkiej Brytanii czuł się obserwowany¹⁰⁰. Uwzględniając powyższy cytat wydaje się, że wyrażona przez niego opinia była uzasadniona.

2 sierpnia 1943 r. Gedeon Lorenc stawił się w Ośrodku Zapasowym Lotnictwa w Blackpool. Po przyjęciu do PSP otrzymał numer służbowy P.706409. Jego polski stopień do końca wojny to kapral podchorąży, a brytyjski to aircraftman 2, czyli szeregowiec. Zakwalifikowano go do służby w personelu latającym. Od tego momentu jego funkcję w dokumentacji określa się jako „under training air crew”, co oznacza członka personelu latającego w trakcie szkolenia. Pierwszym krokiem było skierowanie do Air Crew Training Centre (Ośrodek Wyszukolenia Załóg Latających)

98 W opisywanym rejsie na „Ile de France” płynęła liczna grupa żołnierzy PSZ oraz Polaków, którzy dotarli na Bliski Wschód z ZSRS. Jednym z nich był Antoni Paszkiewicz, który w Wielkiej Brytanii zasilił szeregi 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Pozostawił po sobie pamiątnik, w którym datuje wszystkie przystanki „Ile de France”. Trasa ta pokrywa się dokładnie ze wspomnieniami Lorenc. Zob. <https://www.nickmetcalfe.co.uk/journey-to-britain/> [16 grudnia 2024].

99 IPMS, LOT.A.V. 96/30/21, s. bp.

100 G. Lorenc, dz. cyt., s. 70.

w bazie PSP w Hucknall, gdzie 16 sierpnia 1943 r. rozpoczął naziemne szkolenie wstępne. Kolejnym etapem było naziemne szkolenie podstawowe odbyte w Polish Initial Training Wing w Brighton (Polskie Skrzydło Szkolenia Wstępnego). Rozpoczął je 15 kwietnia 1944 r. w ramach 182 kursu. Po odbyciu szkolenia wstępnego i podstawowego, uczniów kierowano do nauki w określonych specjalizacjach¹⁰¹, a w przypadku Gedeona na nawigatora. 9 marca 1945 r. trafił do Bazy RAF w Faldingworth, oczekując na dalsze szkolenie nawigacyjne. Skierowano go stamtąd do 5 Air Observers School (Szkoła Obserwatorów Lotniczych) w Jurby na Wyspie Man. Szkolenie tam rozpoczął 17 kwietnia 1945 r. w ramach kursu nr 34A. W tym czasie w Europie zakończyła się II wojna światowa. Gedeon nie ukończył kursu w Jurby i został z niego skreślony 11 lipca 1945 r. Zawartą w jego wspomnieniach informację o ukończeniu kursu nawigatora i udziale w nalotach na Niemcy¹⁰² należy odrzucić, ze względu na to, że nie znajduje ona potwierdzenia w materiałach źródłowych¹⁰³.

Służba wojskowa to nie tylko intensywny trening. W Wielkiej Brytanii Lorenc nawiązał także szczególną dla siebie relację. Poznał tam młodą Brytyjkę „June W.” oraz jej rodziców. Byli oni życzliwie nastawieni do Polaków, a nasz bohater kilkakrotnie znajdował u nich nocleg. Materiały archiwalne odkrywają przed nami detale z tym związane. Dziewczyna nosiła nazwisko Wingfield i mieszkała w Stannington pod Sheffield¹⁰⁴. Tak po latach relacjonowała te chwile¹⁰⁵:

„Kiedy mieszkałam na farmie w Load Brook wstąpiłam do Polsko-Brytyjskiego Stowarzyszenia w Sheffield. Współczuliśmy Polakom, którzy przeżywali tak okropne chwile. Spotkałam wielu ludzi i spędzali oni na farmie weekendy z moimi rodzicami. Dla Polaków farma była niebem- kochali ją. [...] Gedeon był nawigatorem w Polskich Siłach Powietrznych. Był bardzo spokojny i nigdy nie powiedział ani słowa o swoich strasznych doświadczeniach”.

101 J. Cynk, *Polskie Siły Powietrzne w wojnie, t. II 1943-1945*, Gdańsk 2002, s. 583.

102 G. Lorenc, dz. cyt., s. 6 (odpis), s. 72.

103 Przebieg szkolenia G. Lorenc opracowano w oparciu o jego kartę z wykazem szkoleń oraz kartę personalną z roku 1948. Zob. IPMS, Karta z wykazem szkoleń Gedeona Lorenc, LOT.A.VII. 1/12, s. bp.; Tamże, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

104 Tamże.

105 F. Firth, *Secret life of tortured war hero*, „The Star”, 2 grudnia 1993 r., b.s.

We wspomnieniach Gedeon wyraźnie uwydatnia wątek June Wingfield. W przyszłości odegra ona istotną rolę w powstawaniu wspomnień Gedeona, o czym w dalszej części.

Tuż po wojnie Lorenc rozpoczął poszukiwania swojego brata, por. Bolesława Lorenca. Dzięki pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża uzyskał informację, że Bolesław żyje i przebywa w byłym Oflagu VIIA w Murnau. W związku z tym zabiegał o zgodę na służbę w jednej z jednostek polskiego lotnictwa w Niemczech. Otrzymał upragniony przydział i od 6 września 1945 r. służył w 6317 Eskadrze Technicznej, obsługującej 317 Dywizjon Myśliwski „Wileński”¹⁰⁶. Jednostka ta stacjonowała do 14 września w Varrelbusch, a następnie w Ahlhorn¹⁰⁷ w Dolnej Saksonii, jako część British Air Forces of Occupation (Brytyjskie Okupacyjne Siły Powietrzne). Od tego momentu funkcję Gedeona Lorenca w dokumentach określa się jako „aircraft hand general duties”, co według nazewnictwa przyjętego w PSP, oznacza członka personelu naziemnego bez specjalności. Zgodnie z jego wspomnieniami, przydzielono mu służbę w urzędzie pocztowym należącym do bazy lotniczej. Jego praca polegała m.in. na kontrolowaniu przesyłek oraz zabieraniu poczty do Oldenburga, odległego od Ahlhorn o nieco ponad 25 km¹⁰⁸. W międzyczasie korzystając z otrzymanej przepustki postanowił udać się do Murnau, które znajdowało się aż 700 km w linii prostej od Ahlhorn. Gedeon nie miał samochodu, posiadał niewielkie środki własne, a sieć komunikacyjna w Niemczech była w bardzo złym stanie. Była to więc niełatwa podróż. Najpierw dotarł do Kolonii, 270 km od Ahlhorn. W dalszej drodze pomogli mu napotkani amerykańscy wojskowi, którzy kierowali się z Brukseli do Monachium. Lorenc relacjonuje, że znajdował się wśród nich pułkownik lotnictwa i polecił swojemu szoferowi zawieźć go do Murnau, leżącego blisko Monachium. Niestety na miejscu okazało się, że Bolesław już się tam nie znajduje. Gedeona poinformowano, iż jego brat przebywał już wówczas w Mannheim na południe od Frankfurtu. Musiał więc pokonać kolejne 300 km. W Mannheim nastąpiło wreszcie spotkanie braci po wojennej rozłące¹⁰⁹. Por. Bolesław Lorenc dowodził wówczas jedną z kompanii wartowniczych, utworzonych w ramach Polskiego

106 IPMS, LOTA.VII. 2/328, s. bp.

107 J. Cynk, dz. cyt, s. 670.

108 G. Lorenc, dz. cyt., s. 78.

109 Tamże, s. 74-75.

Zgrupowania Wojskowego w Mannheim-Käfertal. Dowodzony przez niego oddział miał za zadanie pilnowanie jeńców niemieckich w pobliskim Mannheim-Rheinau¹¹⁰. Bracia spędzili ze sobą dwa dni. Później spotkali się jeszcze kilkakrotnie. Gedeon usiłował pomóc Bolesławowi w osiedleniu się w Wielkiej Brytanii i namawiał go do tego, lecz ten zdecydował się powrócić do Polski¹¹¹, co nastąpiło 19 listopada 1946 r.¹¹²

Od 20 marca 1946 r. Gedeon Lorenc był przydzielony bezpośrednio do 317 Dywizjonu¹¹³. W swoich wspomnieniach relacjonuje, że został zwolniony ze służby na pocztę i przesunięty z powrotem do Wielkiej Brytanii. Nie podaje jednak daty tego wydarzenia. 317 Dywizjon stacjonował w Ahlhorn do początku października 1946 r.¹¹⁴ Biorąc pod uwagę ten fakt, należy przyjąć, że przeniesienie go do Wielkiej Brytanii nastąpiło pomiędzy marcem a październikiem 1946 r. Po powrocie do Wielkiej Brytanii pełnił funkcje biurowe¹¹⁵.

LATA POWOJENNE W WIELKIEJ BRYTANII

6 lipca 1945 r. Wielka Brytania cofnęła uznanie dla legalnego rządu polskiego w Londynie, a PSZ włączono w skład wojsk brytyjskich. Od zimy, przełomu 1945 i 1946 r., trwały przygotowania do rozwiązania PSP. W maju 1946 r. utworzono Polski Lotniczy Korpus Przysposobienia, który miał przeprowadzić demobilizację personelu PSP oraz pomagać w osiedleniu byłych wojskowych. W styczniu 1947 r. rozformowano ostatnie polskie dywizjony¹¹⁶. Gedeon Lorenc stanął przed dylematem, jaką dalej obrać drogę? Rozpoczął starania o zwolnienie ze służby w lotnictwie i szukał cywilnego zatrudnienia.

110 C. Brzoza, *Geneza polskich jednostek wartowniczych i ich funkcjonowanie w latach 1945-1947*, [w:] *Polskie Oddziały Wartownicze przy armii amerykańskiej w latach 1945-1989*, Szczecin 2011, s. 120-123.

111 G. Lorenc, dz. cyt., s. 76.

112 PCK, Kartoteka ogólna Krajowego Biura Informacji i Poszukiwań, brak sygn., s. bp.

113 IPMS, LOTA.VII. 2/328, s. bp.

114 Kolejnym miejscem stacjonowania 317 Dywizjonu było Hethel w Wielkiej Brytanii. Zob. J. Cynk, dz. cyt., s. 670.

115 Relacjonuje, że przyczyną jego zwolnienia z pełnionej funkcji był konflikt z miejscowym wojskowym kapłanem, który nie chciał uiszczać opłat za przesyłki. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 80-81.

116 J. Cynk, dz. cyt., s. 624-626.

Nasz bohater miał trudności ze znalezieniem pracy i borykał się z problemami mieszkaniowymi. W swoich wspomnieniach przypisuje to głównie nieprzyjęciu przez siebie brytyjskiego obywatelstwa. Był to jednak problem bardziej złożony. W pierwszej kolejności należy zaznaczyć, że Lorenc nie posiadał wyuczonego zawodu cywilnego¹¹⁷. Kolejnym czynnikiem, który mógł wpływać na trudności w znalezieniu przez niego pracy, była ogólna sytuacja panująca w Wielkiej Brytanii po zakończeniu II wojny światowej. Kraj znajdował się w trudnym położeniu ekonomicznym oraz panowało w nim duże bezrobocie. W wyniku demobilizacji jednostek brytyjskich, na rynku pracy znalazły się setki tysięcy mężczyzn, którzy podobnie jak Polacy szukali zatrudnienia. W tych okolicznościach sytuacja byłych żołnierzy PSZ była trudna. Przyczyniło się to stopniowo do wzrostu nieprzychylnych im nastrojów w brytyjskim społeczeństwie. Narastało w nim niezrozumienie dla położenia Polaków i ich motywacji w pozostawaniu na terenie Wielkiej Brytanii. Wszystko to przyczyniało się do dalszej emigracji Polaków.

Przebieg zatrudnienia Gedeona Lorenca w Wielkiej Brytanii znany jest jedynie z jego przekazu. Pierwszą pracą, jaką wykonywał, było urządzanie dekoracji teatralnych, czym trudnił się przez ok. 7 miesięcy. Następnie starał się o pracę w kolejnym teatrze, lecz odmówiono mu ze względu na przyjęcie na to stanowisko Brytyjczyka. Nie dostał również pracy listonosza, chociaż posiadał w tym zakresie doświadczenie z okresu służby wojskowej. Głównym czynnikiem miał być tutaj brak brytyjskiego obywatelstwa¹¹⁸. Również praca w hotelu dla emigrantów skończyła się po 2 miesiącach co było wynikiem nieprzychylności byłego brytyjskiego oficera, z którym pracował. Mężczyzna otwarcie deklarował swoją niechęć do Polaków¹¹⁹. Ostatecznie Gedeon znalazł pracę w kopalni węgla Albion Colliery w Cilfynydd, półtora kilometra od Pontypridd na południu Walii i zamieszkał w hotelu dla górników¹²⁰.

117 IPMS, LOTA.VII. 2/328, s. bp.

118 G. Lorenc, dz. cyt., s. 85-86.

119 Tamże, s. 87-90.

120 Zgodnie z jego przekazem, został wyznaczony na przedstawiciela interesów górników zamieszkujących pobliski hotel robotniczy, którym doskwierało złe wyżywienie. Ostatecznie sprawa została rozwiązana pozytywnie, a aprowizacja górników uległa poprawie. Zob. Tamże, s. 90-92.

Nie będzie cienia przesady w stwierdzeniu, że praca w Cilfynydd miała decydujący wpływ na dalszą drogę życiową Lorenca. To właśnie tam odnalazł ogłoszenia prasowe o możliwości zatrudnienia Polaków w kopalniach łupków roponośnych w australijskiej Nowej Południowej Walii. Na wybór ten wpłynęły również rozmowy z żołnierzami australijskimi, którzy podczas oblężenia Tobruku opowiadali Gedeonowi o dobrych warunkach życia w ich kraju¹²¹. W Wielkiej Brytanii czuł się obco i nie widział już przed sobą dalszych perspektyw. Nasuwa się tutaj pytanie, dlaczego nie wybrał powrotu do Janiszewic? Po pierwsze nie akceptował panującego w Polsce systemu komunistycznego. Po drugie zadecydowały o tym względy rodzinne. Najbliższą dla niego osobą był brat, ale jak wspomniano wcześniej, zdecydował się on wracać do ojczyzny¹²². Ojciec natomiast już nie żył. Przed wyjazdem Gedeon zaproponował wspólną emigrację June Wingfield. Tak to wspominała: „Po wojnie wyemigrował do Australii. Zapytał się czy też byłabym zainteresowana wyjazdem – i odpowiedziałam nie”¹²³. Gedeon czuł więc, że nie ma już nic do stracenia. Decyzja o emigracji była ostateczna.

W 1948 r. Gedeon Lorenc mieszkał w domu rodziny Wingfield w Stannington pod Sheffield i był to jego ostatni adres w Wielkiej Brytanii. Chociaż do Australii wyjeżdżał jako górnik na dwuletnim kontrakcie, można przypuszczać, że ciężki zawód w kopalni, miał być dla niego tylko etapem przejściowym. W karcie personalnej, stworzonej w 1946 r. na potrzeby PSP, deklarował chęć zatrudnienia w Australii, jako mechanik samochodowy¹²⁴. Miało to związek z wiedzą z zakresu pojazdów i mechaniki, którą wyniósł z nauki w Państwowym Gimnazjum Mechanicznym w Chełmie Lubelskim. Gedeon znalazł się w grupie pięćdziesięciu dwóch byłych żołnierzy PSZ, zatrudnionych przez Glen Davis Shale Oil Company. Najstarszy stopniem wśród nich był kpt. Tadeusz Nowakowski. Ich podróż organizowały brytyjskie władze wojskowe¹²⁵. Według przekazu Lorenca, dokumenty podrózne

121 Tamże, s. 93.

122 W karcie personalnej z 1946 r. deklarował posiadanie na utrzymaniu jednej osoby na terytorium Niemiec. Był to jego brat Bolesław. Zob. IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

123 F. Firth, dz. cyt., b.s.

124 IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

125 *List of polish personnel ex: Southampton*, http://www.ssasturias.net/linked/pl_1948_aug.pdf [8 stycznia 2025].

dla grupy lotników wystawiło brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa¹²⁶. Ich droga zaczęła się na dworcu kolejowym Victoria Station w Londynie. Stamtąd odjechali do Southampton. Zaokrętowano ich na statek H.M.T. „Asturias”, a Wielką Brytanię opuścili 8 lipca 1948 r.¹²⁷ Statek zawinął jeszcze na Maltę zabierając kolejnych pasażerów, których w tym momencie było łącznie 1484. Do Australii statek dopłynął na początku sierpnia. Zatrzymywał się w Freemantle, Melbourne, a do Sydney dopłynął 9 sierpnia 1948 r.

Na zakończenie rozważań o służbie wojskowej Gedeona Lorenc, warto wspomnieć o jeszcze kilku istotnych faktach. Został on udekorowany odznaczeniami brytyjskimi oraz polskimi, wśród których były: Africa Star (z oznaczeniem pamiątkowym 8 Armii Brytyjskiej), 1939-1945 Star, Defence Medal oraz dwukrotnie Medal Lotnictwa. W 1947 r. Gedeon znalazł się na liście podchorążych, którzy na mocy dekretu awansowego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza, po demobilizacji i wyjeździe z Wielkiej Brytanii, uzyskają nominację oficerską¹²⁸. Zgodnie z tym, 14 sierpnia 1948 r., w jego ankiecie personalnej PSP pojawił zapis o awansie do stopnia podporucznika¹²⁹.

PIERWSZE LATA ŻYCIA W AUSTRALII

W latach 1947-1949 do Australii napłynęło około 1500 byłych polskich żołnierzy. Było to możliwe dzięki zaangażowaniu australijskiej organizacji kombatanckiej Rats of Tobruk Association. Rząd Australii wyraził zgodę na przyjmowanie Polaków, w głównej mierze chcąc w ten sposób przeciwdziałać problemowi niskiego poziomu zaludnienia kraju po II wojnie światowej. Jednocześnie część opinii publicznej wyrażała niezadowolenie z powodu tak dużego napływu osób spoza Zjednoczonego Królestwa. Na Polaków nakładano restrykcyjne warunki osiedlenia

126 G. Lorenc, dz. cyt., s. 93-94.

127 *H.M.T. „Asturias” ex Southampton 8th July 1948. Polish personel*, https://www.ancestry.co.uk/search/collections/2997/records/145320943?tid=&pid=&queryId=4c1520ba-22be-4b19-a2a8-34fb918451a&c_phsrc=Wgf83&c_phstart=successSource [8 stycznia 2025].

128 *Odpis dekretu awansowego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza z 13 maja 1947 r.* (kopia dokumentu w zbiorach Grzegorza Korcza).

129 IPMS, LOT.A.VII. 2/328, s. bp.

i prowadzono wobec nich kontrolę meldunkową. Byli także w obowiązku przyjęcia pracy przydzielonej przez Krajową Służbę Zatrudnienia. Na tym etapie nie posiadali oni obywatelstwa australijskiego, więc w przypadku niewywiązywania się z przepisów ciążyła nad nimi groźba deportacji.

Początki Gedeona Lorenca w Australii nie należały więc do najłatwiejszych. Najpierw przebywał z innymi Polakami w ośrodku dla robotników w dzielnicy Sydney Paddington. Następnie przewieziono ich autobusami do Badhurst, oddalonego o ok. 200 km na zachód. Tam zamieszkali w dawnych wojskowych barakach. Po dwóch tygodniach grupa trafiła do miejsca przeznaczenia, czyli miasteczka górniczego Glen Davis¹³⁰. Lorenc zamieszkał w miejscowym hotelu National Guest House¹³¹. Pojawienie się tam polskich imigrantów wywołało sprzeciw Zachodniej Federacji Górników, która otwarcie wyrażała dezaprobatę dla zatrudniania Polaków. Narodowa Konwencja Górników zdecydowała, że nowi przybysze nie mogą być dopuszczeni do pracy w Glen Davis. Jednym z argumentów, który podnoszono, było m.in. niewielkie doświadczenie górnicze Polaków¹³². Zauważalny był również opór miejscowych górników. Obawiali się oni, że zatrudnieni na dwuletnich kontraktach Polacy, którzy nie byli obywatelami Australii, będą oczekiwać podobnych warunków zatrudnienia, zarobków i świadczeń socjalnych, co ich australijscy odpowiednicy. Taka sytuacja trwała przez kilka tygodni. Interwencję w tej sprawie podjęły władze australijskie, co przyniosło zmianę. Początkowo Polakom umożliwiano jedynie prace porządkowe w miasteczku oraz na obrzeżach kopalni¹³³.

W tym miejscu warto przyjrzeć się jak wyglądała praca Gedeona Lorenca w Glen Davis i nakreślić chronologię wydarzeń. W swoich wspomnieniach nie precyzuje on funkcji, jaką początkowo pełnił. Na tym etapie zaangażował się w działalność społeczną na rzecz pomocy miejscowym Polakom. Relacjonuje, że był ich przedstawicielem oraz dbał o to, aby w środowisku polskich górników nie dochodziło do

130 G. Lorenc, dz. cyt., s. 97-98.

131 *Certificates of naturalization*, „Commonwealth of Australia Gazette”, nr 38/1950, s. 1644.

132 Na początku września 1948 r. lokalna prasa donosiła, że jedynie ośmiu, spośród pięćdziesięciu jeden Polaków, pracowało dłużej niż dwa lata w kopalniach. Zob. 8 *Glen Davis Poles worked in British pits*, „Newcastle Morning Herald and Miners' Advocate”, 3 września 1948 r., s. 1.

133 L. Artymiuk, *Kierunek Australia*, <https://2korpus.org/kierunek-australia/> [9 stycznia 2025].

sporów. Pomagał także w poszukiwaniu pracy dla Polaków. Według jego przekazu, działalność ta spotkała się z nieprzychylnością części przełożonych, ale również jego rodaków, co wywołało w nim szczególne rozgoryczenie. Z tego powodu zaczął częściowo izolować się od społeczności oraz zakupił dom w buszu w pobliżu Glen Davis, który z czasem wynajął polskiemu małżeństwu¹³⁴.

W międzyczasie sytuacja Polaków w Australii uległa poprawie. W 1948 r. tamtejszy rząd uchwalił ustawę o Narodzie i Obywatelstwie. Weszła ona w życie 26 stycznia 1949 r. Zgodnie z nią, polscy żołnierze, którzy służyli pod brytyjskim dowództwem przynajmniej przez cztery lata, mogli już po roku pobytu w Australii ubiegać się o obywatelstwo¹³⁵. 26 września 1949 r. w lokalnej prasie ukazały się ogłoszenia, w których odnotowano naturalizację Gedeona Lorenc¹³⁶, a 14 listopada otrzymał on certyfikat naturalizacji¹³⁷. Uzyskanie obywatelstwa zabezpieczało jego dalszy byt. Warto w tym miejscu odnotować, że jako obywatel Australii posługiwał się zmienioną wersją nazwiska w brzmieniu „Lorence”.

Prawdopodobnie w 1950 r. Gedeon Lorenc otrzymał stanowisko mechanika-elektryka maszyn użytkowanych wewnątrz kopalni. Następnie pracował jako dyżurny zmianowy, co wpłynęło na poprawę jego warunków materialnych¹³⁸. Niestety, Gedeon nie operuje tutaj liczbami i trudno jest określić, jakie dokładnie były jego zarobki. Czas w Glen Davis dobiegał jednak końca. 30 maja 1952 r. kopalnia została zamknięta. W swoich wspomnieniach nasz bohater łączy ten fakt głównie z kryzysem ekonomicznym panującym w Australii. W rzeczywistości jednak miało to związek ze zmniejszającymi się pokładami łupków w Glen Davis, coraz większymi stratami, jakie przynosiła kopalnia oraz odejściem od wydobycia łupków roponośnych w Australii. W związku z tym, rząd stopniowo zmniejszał wsparcie kapitałowe dla kopalni w Glen Davis, a w grudniu 1950 r. podjęto decyzję o jej

134 G. Lorenc, dz. cyt., s. 7 (odpis), s. 100-102.

135 L. Artymiuk, dz. cyt.

136 *Advertising*, „The Sydney Morning Herald”, 26 września 1949 r., s. 9; *Advertising*, „The Lithgow Mercury”, 26 września 1949 r., s. 3.

137 *Certificates of naturalization*, „Commonwealth of Australia Gazette”, 1 grudnia 1949 r., s. 3626; tamże, nr 38/1950, s. 1644.

138 Relacjonuje, że do wykonywania tej pracy pomocna była wiedza, zdobyta podczas nauki w Chełmie Lubelskim oraz dalsze doświadczenia nabyte podczas II wojny światowej. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 104-105.

zamknięciu¹³⁹. Gedeon musiał szukać nowej pracy. W 1952 r. został zatrudniony w kopalni położonej około 240 km od Sydney, gdzie pracował przy obsłudze maszyn produkcji amerykańskiej. Mieszkał w miejscowym hotelu dla robotników¹⁴⁰.

W tym czasie Lorenc układał swoje życie osobiste. Poznał pracującą w Glen Davis sekretarkę Joan Constance Ellis (1924-2010)¹⁴¹, która z pochodzenia była Brytyjką¹⁴². Para wzięła ślub w lipcu 1953 r. Miesiąc miodowy spędzili w Górach Błękitnych, położonych na zachód od Sydney¹⁴³. Małżeństwo zamieszkało w Newcastle, położonym 144 km na północ od Sydney. Wkrótce w życiu Gedeona doszło także do wyjątkowo groźnego wydarzenia. W nocy z 7 na 8 października 1953 r. uczestniczył w wypadku samochodowym. W Gateshead pod Newcastle doszło do zderzenia dwóch ciężarówek oraz dwóch samochodów osobowych. Gedeon odniósł obrażenia twarzy i trafił do Royal Newcastle Hospital. Szczęśliwie zranienia były niegroźne¹⁴⁴.

GEDEON I JOAN – PRZEDSIĘBIORCY I HOTELARZE

Gedeon Lorenc nie widział już dla siebie przyszłości w górnictwie i po zawarciu związku małżeńskiego zrezygnował z dalszej pracy w tej branży. Posiadał w sobie duży upór, który pomógł mu przetrwać trudne lata powojenne w Wielkiej Brytanii i początki w Australii. Kolejny etap podjął razem ze swoją małżonką. Postanowili zająć się branżą hotelarską. Niestety Gedeon nie przytacza tutaj wystarczająco szczegółowych danych, które pozwoliłyby dać pełny obraz, np. w kwestii wielkości kapitału na poszczególnych etapach działalności, czy dochodów, jakie przynosiły im hotele. Wspomnienia pozwalają jednak zarysować w ogólnych ramach to zagadnienie.

139 W. Spooner, *This is why Glen Davis has had to close down*, „The Sydney Morning Herald”, 17 czerwca 1952 r., s. 2.

140 Według wspomnień, kopalnia ta nosiła nazwę North Coast. Brak bliższych szczegółów na jej temat. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 110.

141 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

142 Gedeon odnotowuje brytyjskie pochodzenie żony w swoich wspomnieniach. W kronice parafii pw. Matki Bożej Miłosierdzia w Janiszewicach zapisano, że Joan wywodziła się z irlandzkich imigrantów. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 7 (odpis); Kronika Parafii Janiszewice, Pogrzeb dobrodzieja kościoła, 1 kwietnia 2001 r., k. bp.

143 G. Lorenc, dz. cyt., s. 111.

144 *Four vehicles in collision*, „Newcastle Morning Herald and Miners' Advocate”, 8 października 1953 r., s. 1.

Lorenc posiadał nie tylko wiedzę techniczną, ale również miał kompetencje w zakresie administracji, pracy biurowej i księgowości. Wyniósł ją z okresu nauki w Chełmie Lubelskim oraz służby wojskowej. Jego żona Joan, miała zaś doświadczenie w pracy administracyjnej w kopalni. Czynniki te skłoniły młode małżeństwo do otwarcia własnego interesu, którym był sklep o profilu ogólnoprzemysłowym, sąsiadujący z ich domem w Newcastle. Początki były trudne. W wyniku pożaru spłonęła prawie całość posiadanego przez nich towaru. Ostatecznie, po ok. trzech i pół roku, zdecydowali się na sprzedaż sklepu. Uzyskane środki przeznaczyli na zakup samochodu z przyczepą kempingową i zwiedzili nim wschodnie wybrzeże Australii¹⁴⁵.

Ok. 1957 r. Gedeon i Joan kupili pierwszy hotel, położony w Mittagong w Nowej Południowej Walii. Miał on dwadzieścia pięć pokoi. Ich działalność rozwijała się pomyślnie, stopniowo zwiększali dochody, sprzedawali mniejsze hotele i kupowali kolejne. Ok. 1961 r. nabyli Wollara Hotel w Sydney, który sprzedali po kilku latach. W 1965 r. dotarli do szczytu swojej działalności nabywając Bexley North Hotel w Sydney, który posiadał sześćset miejsc i obsługę, liczącą siedemdziesięciu pracowników. W 1968 r. wzięli udział w międzynarodowym spotkaniu hotelarskim w Nowym Jorku, a po powrocie zdecydowali się na sprzedaż Bexley North Hotel. Następnym obiektem, który zakupili, był kameralny Cabbage Tree Motel Hotel, w miejscowości Wollogong, liczący 40 miejsc. W dalszych latach Lorencowie nabyli kolejne obiekty hotelowe w Kingswood, Sydney i na południe od Wollogong, będąc właścicielami jednocześnie 5 hoteli¹⁴⁶.

Małżeństwo miało również zacięcie podróżnicze, a zdobywane dzięki ciężkiej pracy środki, umożliwiały im początkowo zwiedzanie Australii, a następnie odbywanie podróży międzynarodowych m. in. do Stanów Zjednoczonych oraz Europy. Na początku lat siedemdziesiątych zakupili dom w Sylvania Waters, na przedmieściu Sydney. Mieszkali pod adresem 49 Hawkesbury Esplanade. Niestety, pod koniec lat siedemdziesiątych, Gedeon Lorenc zaczął borykać się z poważnymi problemami zdrowotnymi. Przeszedł operację wstawienia rozrusznika serca¹⁴⁷, w czego efekcie ograniczył działalność zawodową.

145 Gedeon relacjonuje, że sprzedając sklep podwoił zysk. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 113.

146 Tamże, s. 114-121.

147 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

POWROTY DO POLSKI I DZIAŁALNOŚĆ NA RZECZ RODZINNYCH STRON

W miarę upływu czasu spędzonego poza ojczyzną, w Gedeonie Lorencu narażała tęsknota za rodzinnymi stronami i bliskimi. Z bratem Bolesławem utrzymywał kontakt korespondencyjny. Po raz pierwszy na podróż do Polski zdecydował się w 1963 r. Samolotem dotarł do Berlina, stamtąd samochodem do Szczecina, gdzie przy ul. Mazurskiej 19 mieszkał jego brat¹⁴⁸. Wtedy pierwszy raz poznał jego żonę Helenę. W dalszą podróż do Janiszewic udał się pociągiem, wspólnie z rodziną brata¹⁴⁹. Przybycie Gedeona do Janiszewic było wielką niespodzianką i radością dla jego krewnych. Wcześniej nie mieli oni zbyt wielu informacji jak potoczyły się jego losy. Pomimo skromnych warunków materialnych, rodzina w Polsce przyjęła go najlepiej, jak potrafiła. Swoje pierwsze kroki bracia skierowali do żyjącej jeszcze chrestnej Gedeona - Apolonii Maniewskiej. Odczuwał on do niej szczególne przywiązanie i wdzięczność za opiekę, której udzieliła mu po śmierci jego matki Józefy¹⁵⁰. Kolejnym punktem było odwiedzenie rodzinnego domu, w którym w tym czasie znajdowało się przedszkole. Ważnym dla Gedeona aspektem pierwszej podróży do ojczyzny było odnalezienie mieszkającego w Łodzi przyjaciela z dzieciństwa, Zygmunta Grzybowskiego (1922-1995)¹⁵¹. Odnowiona relacja trwała przez kolejne lata i odegrała ważną rolę w życiu Gedeona. Poza tym, spotkał się również ze swoim szkolnym kolegą, Stanisławem Pilcem¹⁵². Po ok. miesiącu pobytu w ojczyźnie powrócił do Australii.

Drugi raz Lorenc Polskę odwiedził jesienią 1968 r., kiedy wraz z żoną Joan był w trakcie podróży po Europie. Do Janiszewic dotarli poprzez Berlin i Szczecin. Podczas tego pobytu Gedeon podjął u miejscowych władz starania o przeniesienie janiszewickiego przedszkola z jego dawnego domu rodzinnego do innego budyn-

148 W rodzinnych przekazach zachowała się wzmianka o zatrzymaniu Gedeona Lorenca przez Milicję Obywatelską po dotarciu do Janiszewic. Miało to prawdopodobnie związek ze standardową procedurą kontroli i obserwacji osoby zamieszkującej na stałe poza granicami kraju oraz posiadającej obce obywatelstwo. Zob. Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

149 G. Lorenc, dz. cyt., s. 117-118.

150 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

151 Zygmunt oddał Gedeonowi wojenną korespondencję, którą przysyłał mu zarówno on, jak również jego brat Bolesław. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 118.

152 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

ku¹⁵³. Odwiedził również Zygmunta Grzybowskiego w Łodzi. Kolejny raz do Polski przybył w 1974 r. Wówczas widział się ostatni raz ze swoim bratem, gdyż Bolesław Lorenc zmarł 23 marca 1975 r. Podczas odwiedzin rodziny w latach siedemdziesiątych, dążył do instalacji i uruchomienia pierwszej na terenie gminy Zduńska Wola elektrowni wiatrowej. Mimo przedstawienia szczegółowych założeń, jego nowatorski, jak na te czasy pomysł w kraju bloku wschodniego, nie uzyskał zgody władz administracyjno-partyjnych, a w szczególności akceptacji Instytutu Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa. Nie widziano potrzeby, aby dawać zezwolenie na tego typu inwestycję, w dodatku osobie prywatnej¹⁵⁴.

Lorenc Polskę odwiedzał jeszcze m.in. w latach 1978, 1985 oraz 1990. Spędzał czas nie tylko w rodzinnych okolicach, ale również wraz z żoną zwiedzał ojczyznę. Na szczególną uwagę zasługuje jego ostatnia wizyta z 1990 r. Wziął wówczas udział w V Jubileuszowym Zjeździe Wychowanków, Absolwentów oraz Wychowawców Szkoły Rzemieślniczej, Gimnazjum, Liceum i Technikum Mechanicznego w Chełmie Lubelskim¹⁵⁵. Spotkał wtedy swojego nauczyciela, prof. Stefana Tymkowskiego vel Tymieckiego. Był to z pewnością ważny dla niego moment, ponieważ pomimo upływu kilkudziesięciu lat nauczyciel rozpoznał go¹⁵⁶. 25 stycznia 1991 r. przekazał tej szkole ośmiostronnicowy opis swoich losów, który dołączył do maszynopisu swoich wspomnień.

Podczas wizyty w rodzinnych stronach, na początku lat dziewięćdziesiątych, Lorenc poważnie zastanawiał się nad zakupem Zakładu Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Tymienicach, należącego do Rejonowej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Sieradzu. Wziął nawet udział w postępowaniu sprzedażowym, jednak ostatecznie nie nabył zakładu, a firma trafiła w inne ręce¹⁵⁷.

Gedeon Lorenc, wraz z żoną Joan, aktywnie zaangażował się w działalność na

153 W 1979 r. przedszkole zostało przeniesione do budynku po ówczesnej Szkole Podstawowej w Janiszewicach. Zob. G. Lorenc, dz. cyt., s. 120; <https://gpochraniew.szkolnastrona.pl/p/453,historia-przedszkola> [8 stycznia 2025].

154 Relacja Bogdana Maniewskiego z dnia 7 sierpnia 2024 r. (w posiadaniu J. Stulczewskiego).

155 Podczas Zjazdu odbyła się uroczystość nadania szkole imienia Ewarysta Stobnickiego – nauczyciela i dyrektora. Ukoronowano także orla na sztandarze, odsłonięto tablicę pamiątkową i wybito medal okolicznościowy. Zob. <https://tmchelmachaje.pl.tl/Zjazdy-Absolwent%F3w.htm> [11 stycznia 2025].

156 G. Lorenc, dz. cyt., s. 8 (odpis).

157 J. Stulczewski, *Gmina Zduńska Wola w latach 1945-1989*, [w:] *Monografia Gminy Zduńska Wola. Od rozbiorów do współczesności*, pod red. J. Stulczewskiego i Z. Włodarczyka, Zduńska Wola 2023, s. 407; Relacja Bogdana Maniewskiego z dnia 7 sierpnia 2024 r. (w posiadaniu J. Stulczewskiego).

rzecz społeczności Janiszewic, szczególnie w budowę powstającego na gruncie wsi Ochraniew kościoła pw. Matki Bożej Miłosierdzia. Jednocześnie zaprzyjaźnił się z budowniczym świątyni i pierwszym proboszczem ks. Mirosławem Skoczyłsem. Budowa trwała zaledwie sześć lat, a uroczyste poświęcenie kościoła odbyło się 6 lipca 1997 r. Tak szybkie powstanie nowej świątyni było możliwe dzięki wydatnemu znaczącemu wsparciu finansowemu Gedeona Lorenca i jego małżonki¹⁵⁸. Byli także głównymi fundatorami organów kościelnych, które służą parafianom do dnia dzisiejszego. Sam Gedeon został również na trwałe upamiętniony kamienną tablicą pamiątkową, umieszczoną wewnątrz świątyni, ale nie tylko. Tak opisuje to parafialna kronika¹⁵⁹:

„Kiedy przyjechał do Polski na odwiedziny to widział budujący się nowy Kościół w Janiszewicach. Stał się Jego hojnym fundatorem. Jego nazwisko jest utrwalone na tablicy wmurowanej wewnątrz Kościoła. A także najmniejszy dzwon nosi Jego imię „Gedeon”. ”

WSPOMNIENIA GEDEONA LORENCA ORAZ POWIEŚĆ AUTORSTWA JUNE JESSOP

Wspomnienia Gedeona Lorenca są wartościowym źródłem historycznym na temat losów pojedynczego żołnierza polskiego. Rozpoczynając ten temat należy opowiedzieć genezę powstania tego opracowania. Na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, Lorenc rozpoczął starania, by odnaleźć June Wingfield, swoją przyjaciółkę z czasów II wojny światowej. W tym celu zwrócił się o pomoc do brytyjskiej policji. Poszukiwania zakończyły się sukcesem. June mieszkała wówczas w Londynie ze swoim mężem Johnem Anthonym Jessopem. Do pierwszego spotkania przyjaciół po latach doszło na lotnisku Heathrow. Potem June wraz z mężem udała się z rewizytą do Australii¹⁶⁰. Tak wydarzenia te kobieta przedstawiła w relacji prasowej¹⁶¹:

158 M. Budkiewicz, *Kościelne dzieje Zduńskiej Woli*, Zduńska Wola 2017, s. 321.

159 Kronika Parafii Janiszewice, Pogrzb dobrodzieja kościoła, 1 kwietnia 2001 r., k. bp.

160 G. Lorenc, dz. cyt., s. 125.

161 F. Firth, dz. cyt., b.s.

„W 1983 r. za pośrednictwem policji w Sheffield odnalazł mnie i moich rodziców, którzy mieszkali na farmie. Mój mąż i ja odwiedziliśmy go i jego żonę Joan i wtedy cała historia wyszła na jaw”.

Jak można wnioskować z przekazu, June Jessop nie znała wcześniej dokładnej historii Gedeona oraz jego licznych, często trudnych przeżyć. Pod wpływem odnowionego kontaktu, usiłowała zachęcić go do stworzenia wspomnień, ten jednak nie ulegał jej namowom. Ostatecznie w 1985 r. nagrał swój przekaz na kasety magnetofonowe, które następnie wysłał do przyjaciółki. Ta z kolei dokonała ich transkrypcji w języku angielskim, przeprowadziła redakcję tekstu, a całość przekazała Gedeonowi. Ten udostępnił zapis wspomnień Zygmunтови Grzybowskiemu, który wraz z żoną dokonał tłumaczenia tekstu na język polski¹⁶².

Co można powiedzieć o samym tekście wspomnień Gedeona Lorenca? Zastosowana jest w nim narracja pierwszoosobowa, która przeplatana jest z opisami historycznymi, dotyczącymi ważnych wydarzeń z dziejów Polski i kolei losów żołnierza polskiego. Gedeon osadza swoje przeżycia w szerokim kontekście losów Polski i Polaków w XX w. Nie ma tutaj jednak zachwiania proporcji. Fragmenty historyczne były przemyślanym zabiegiem. Miało to spełniać rolę edukacyjną, przede wszystkim wobec Brytyjczyków, którzy sięgnęliby do jego wspomnień, a w opinii Lorenca, nie mieli oni znajomości historii Polski. Wydarzenia, w których brał udział, przedstawia w sposób subiektywny, poświęcając wiele miejsca swoim emocjom. Nie skupia się także wyłącznie na suchym odnotowywaniu faktów, lecz rysuje szersze tło każdego z wydarzeń. Poświęca uwagę nie tylko doniosłym epizodom historii, lecz pisze wiele o życiu codziennym, otaczającej go rzeczywistości, charakteryzuje nawiązywane relacje i spotykane osoby. Zauważalny jest także wpływ czasu na dokładność relacji. W tekście pojawiają się zachwiania chronologii i przesunięcia niektórych faktów w czasie. Należy podkreślić, że Gedeon tworzył swoją relację 40 lat od zakończenia II wojny światowej i z pewnością mogło to wpłynąć na przekaz. Jest to zjawisko częste w przypadku relacji świadków, które zostały wytworzone po znacznym upływie czasu. W 1991 r. rozszerzył jeszcze wspomnienia o ich skrót,

162 G. Lorenc, dz. cyt., s. 127.

który przekazał w tym czasie do swojej dawnej szkoły w Chełmie Lubelskim. Rok 1991 należy przyjąć jako moment, kiedy wspomnienia Lorenca przybrały swoją ostateczną formę.

Przekaz Gedeona Lorenca stał się dla June Jessop inspiracją literacką. Kobieta postanowiła napisać jego biografię. Ostatecznie, po sugestii wydawcy, jej praca przybrała formę powieści, która została wydana w 1993 r. przez wydawnictwo Azure Publication z Londynu i otrzymała tytuł *Poleaxe*¹⁶³. Akcja powieści pokrywa się do pewnego momentu z wojenną drogą Gedeona Lorenca, poczynając od Polski, prowadząc przez Wielką Brytanię, a na powojennym Wiedniu skończywszy. Autorka postanowiła zastosować fikcyjne imiona i nazwiska. Gedeon występuje tam jako Józef Baliński. Fabuła osnuta jest wokół wydarzeń wojennych, ale istotny jest również fikcyjny wątek romansu głównego bohatera z dwiema kobietami – dawną miłością oraz nowym obiektem jego fascynacji. Tak swoją książkę opisuje June Jessop¹⁶⁴:

„Powieść przygodowa opisująca wysiłki młodego polskiego patrioty, by w czasie ostatniej wojny wstąpić do Polskich Sił Powietrznych – jego ucieczka z obozu koncentracyjnego, niebezpieczna podróż przez Europę Wschodnią do Afryki Północnej i okrężna droga do Szkocji, prowadzą go do emocjonalnego zaangażowania z dwiema namiętymi kobietami i niemal śmierci w Wiedniu. Ta historia jest oparta na faktach, z minimalną domieszką fikcji.”

OSTATNIE LATA ŻYCIA GEDEONA LORENCA

Emeryturę oraz ostatnie lata życia Gedeon i Joan spędzili w swoim domu w Sylvania Waters. Nie zwolnili jednak życiowego tempa odbywając m.in. liczne podróże. Gedeon zaangażował się także w życie społeczności polskiej w Sydney. Wcześniej wykazywał zacięcie do pracy społecznej, lecz na emeryturze poświęcił się temu w pełni. Efektem tego było przyczynienie się do powstania klubu polskiego

163 Nazwa „Poleaxe”, w wolnym tłumaczeniu odnosi się do topora drzewcowego, stosowanego powszechnie przez średniowieczną piechotę. Nie można oprzeć się wrażeniu, że autorka dokonała tutaj gry słów. Wyraz „Pole” oznacza Polaka, natomiast słowo „Poleaxe” jest wyrazem zbliżonym w brzmieniu, lecz odnosi się do białej broni. U June Jessop, wyraz ten może symbolizować nie tylko Gedeona Lorenca, ale również Polaków w szerszym znaczeniu i odnosić się do ich waleczności oraz odwagi.

164 J. Jessop, *Poleaxe*, Londyn 1993, s. 1.

w Sydney. Gedeon należał także do Koła nr 6 Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w dzielnicy Sydney Cabramatta. Wsparł m.in. akcję budowy pomnika katyńskiego w Adelajdzie¹⁶⁵, współpracował również z australijskim stowarzyszeniem kombatanckim Rats of Tobruk i otrzymał odznakę pamiątkową tej organizacji.

Gedeon oraz Joan angażowali się także aktywnie w działalność charytatywną i byli wyczuleni na ludzką krzywdę. Mimo tego, że należeli do grona osób wyżej sytuowanych, byli zaangażowani w działalność filantropijną i dobroczynną. Opiekowali się nie tylko potrzebującymi Polakami, ale także wszystkimi innymi osobami, które wymagały pomocy. Wiosną 1991 r. odwiedziła ich Maria Owczarek, wnuczka Józefa oraz Apolonii Maniewskich, która była świadkiem takich działań. Rozwozili posiłki dla biednych w Sydney w ramach akcji „meals on wheels” (posiłki na kołach). Motywowało ich to, że sami wychowywali się w biedzie. Małżeństwo przekazywało także datki na funkcjonowanie szpitala dziecięcego Royal Alexandra Hospital w Westmead pod Sydney¹⁶⁶. Gedeon także korzystał z pomocy najbliższych gdy tego potrzebował i przeszedł swój szlak życiowy dzięki ich wsparciu¹⁶⁷.

Niestety, pod koniec lat dziewięćdziesiątych stan zdrowia Gedeona Lorenca znacznie się pogorszył. Doznał udaru mózgu i musiał korzystać z wózka inwalidzkiego. Zmarł 16 kwietnia 2000 r. i spoczął na cmentarzu Woronora Memorial Park w Sydney¹⁶⁸. Połowa prochów Gedeona Lorenca została złożona 1 kwietnia 2001 r. w jego rodzinnym grobie na cmentarzu przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli. Tak jego pogrzeb został opisany w kronice parafii w Janiszewicach¹⁶⁹:

„Jego życzeniem było, aby po śmierci pochowano Go w Polsce w rodzinnym grobie. Urnę z jego prochami przywiózł z Australii do polski Pan Lucjan Kent – pracownik Lorenców w Sydney. Dnia 1 kwietnia 2001 roku w Kościele Parafialnym Matki Bożej Miłosierdzia w Janiszewicach odbyła się Msza Święta pogrzebowa koncelebrowana przez poprzedniego Księdza Proboszcza Mirosława Skoczylasa i obecnego Księdza Proboszcza Leopolda Kuźnika. W pogrzebie wziął udział przedstawiciel rodziny z Au-

165 A. Szczygielski (red.), *Pomnik katyński*, Adelajda 1980, s. 110.

166 *The children's hospital at Westmead - annual report 2000*, Westmead 2000, s. 36.

167 Relacja Marii Owczarek z dnia 6 czerwca 2024 r. (w posiadaniu D. Buszyńskiego).

168 <https://austcemindex.com/inscription?id=9976839> [15 stycznia 2025].

169 Kronika Parafii Janiszewice, Pogrzeb dobrodzieja kościoła, 1 kwietnia 2001 r., k. bp.

stralii pan Lucjan Kent, bliska rodzina zmarłego z Niemiec Lorenc Sławomir¹⁷⁰ z żoną Barbarą i dwoma synami Arturem i Jarosławem, dalsza rodzina zamieszkała w tych terenach i liczna rzesza parafian”.

Dopełnieniem historii Gedeona Lorenca było odejście jego żony, Joan Constan-
ce. Zmarła ona 8 listopada 2010 r. w dzielnicy Sydney Manly. Lorencowie zmarli
bezpomrotnie.

PODSUMOWANIE

W losach Gedeona Lorenca jak w soczewce skupiają się trudne doświadczenia
Polski i Polaków w dwudziestym wieku. Odnajdziemy w nich dramat wojny, aresz-
towanie i wywózkę na roboty, udział w bitwie o Tobruk – jednej z najchlubniejszych
kart w dziejach polskiego oręża, służbę w lotnictwie, trudne pierwsze lata powojen-
ne i daleką emigrację.

Wiele momentów wpłynęło bezpośrednio na kształtowanie postawy życiowej
Gedeona Lorenca. Bez wątpienia, wśród takich czynników, najważniejszym jest
przedwczesna śmierć matki, Józefy Lorenc z Maniewskich. Jej odejście wywarło
na nim silne piętno. Pod wpływem tego wydarzenia wykształciła się w nim determi-
nacja i upór w działaniu, co cechowało go przez większość życia. Tekst nie porusza
oczywiście wszystkich kwestii związanych z życiem bohatera, jednak przyczynia się
do poszerzenia wiedzy i bliższego poznania biografii, dotychczas zupełnie nieznanej
postaci, mieszkańca Janiszewic w gminie Zduńska Wola, jakim był Gedeon Lorenc.
Jego życie, jak losy filmowego Franka Dolasa¹⁷¹, mogłoby posłużyć za niezwykle
ciekawy scenariusz do niejednego filmu¹⁷².

Daniel Buszyński

170 Syn Bolesława Lorenca, brata Gedeona.

171 Franek Dolas – postać fikcyjna, tytułowy bohater nakręconej w 1969 r. komedii pt. „Jak rozpętałem
drugą wojnę światową” w reżyserii Tadeusza Chmielewskiego.

172 Za wszelkie porady, wskazówki i pomoc w trakcie pisania biogramu G. Lorenca autor chciałby
podziękować: Maciejowi Jaśniewskiemu, Grzegorzowi Kędzierskiemu, Andżelice Klimaszewskiej,
Grzegorzowi Korczowi, Marii Owczarek, Tomaszowi Polkowskiemu, Grzegorzowi Sojdzie, Marcie
Spętanej, Jarosławowi Stulczewskiemu, Grzegorzowi Śliżewskiemu, Sylwestrowi Wołskiemu,
pracownikom Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie oraz swoim
rodzicom Beacie i Krzysztofowi Buszyńskim.

MOJE SPOJRZENIE WSTECZ

Pamięci mojego prawego i szlachetnego
Brata Bolesława
opowieść tę poświęcam

DO MOICH KREWNYCH I PRZYJACIOŁ!

Życie moje obfitowało w wiele osobliwych przygód niesamowitych wydarzeń, nie skąpiło mi goryczy, ale również przynosiło sporo znacznych sukcesów.

W licznych z Wami kontaktach opowiadałem o niektórych ciekawszych fragmentach mojego życia. Tym razem pragnę przybliżyć Wam szersze na nie, chociaż ciągle skrótowe, spojrzenie.

Opowiadałem również o moim życiu bliskiej koleżance wojennej Angielce June, którą odnalazłem po 30-tu latach. Po wysłuchaniu, zaproponowała mi, abym napisał pamiętnik. Zdawałem sobie jednak sprawę, że cierpliwość moja wystawiona byłaby na zbyt wielką próbę, nie podjąłem propozycji. Wtedy zaofiarowała mi współpracę, z której już nie mogłem się wycofać. I tak przez wiele godzin znalazłem się w roli narratora, a odbiorcą mojej opowieści był magnetofon. Nagrane taśmy przesłałem June do Anglii, która słowa moje w 1985 roku przelała na papier, oczywiście w języku angielskim.

Ostatnio mój przyjaciel z młodości Zygmunt z pomocą żony Zofii, przetłumaczył tę opowieść na język polski, zachowując styl oryginału. Wzbogacił ją w dodatkowe fragmenty, które wypływały z wzajemnych naszych kontaktów.

Niech Was nie dziwi szczupłe i oczywiste dla nas wzmianki historyczne o sprawach polskich, służyć one miały moim przyjaciołom nie-Polakom.

Wybaczcie mi brak efektów literackich i traktujcie niniejszą pracę jako zwykłe opowiadanie, bo przecież tak ona powstała.

Tym, którzy przyczynili się do napisania tej opowieści wyrażam swą wdzięczność i składam serdeczne podziękowanie.

Polska, 1991 r.

Gedeon Lorence

I. DZIECIŃSTWO I MŁODZIEŃCZE LATA

Urodziłem się w miejscowości Janiszewice w pobliżu miasta Zduńska Wola, liczącego obecnie około 40 tys. mieszkańców, położonego na terenie województwa sieradzkiego, które wchodzi w skład centralnej części Polski.

Sieradz to bardzo stare miasto, około 20 tys. mieszkańców, dawniej powiatowe, dziś jest miastem wojewódzkim, wzmiankowały już o nim kroniki rzymskie w IX wieku, jako że przez Sieradz przebiegał znany szlak bursztynowy.

Zduńska Wola jest stosunkowo miastem młodym, prawa miejskie otrzymała w 1825 r. W tym okresie dzięki polityce rządu Królestwa Polskiego popierającej rozwój przemysłu, wiele osad i miasteczek zmienia swój charakter rolniczy na przemysłowy. Napływający rzemieślnicy, głównie tkacze ze Śląska, Prus, Czech i Saksonii, znajdują tu dogodne warunki do osiedlania się. Taką osadą była właśnie Zduńska Wola, prywatna własność Stefana Prawdzic-Złotnickiego, który przyczynił się do rozwoju i uprzemysłowienia miasta jest uznawany jako jego założyciel. W połowie XIX wieku miasto jest jednym, z największych ośrodków tkactwa bawełnianego w Królestwie, opartego jednak na małych fabryczkach włókienniczych i tkactwie chałupniczym. Dążenia Złotnickiego do stworzenia wielkiego przemysłu w Zduńskiej Woli nie spełniły się ze względu na powstawanie równoległego, dynamicznego ośrodka przemysłowego, Łodzi, jednego z największych miast przemysłowych Europy o profilu włókienniczym. Dla uczczenia pamięci założyciela

miasta wdzięczni mieszkańcy okazują dbałość o grób założyciela miasta znajdujący się na miejscowym cmentarzu, jedną z najpiękniejszych ulic miasta nazwali jego imieniem. W niewielkim pałacyku, dawnej siedzibie Złotnickich powstało i rozwija się Muzeum Historii Miasta¹.

Przyszedłem na świat w rodzinnym domu w dniu 11.X.1920 r. W tym czasie młode matki nie były otoczone opieką lekarską w pojęciu dzisiejszym, zdane były jedynie na pomoc doświadczonych niewiast z sąsiedztwa.

Matka moja Józefa, z domu Maniewska, była, jak mówiono, bardzo ładną kobietą, czynną i dobrą organizatorką - ja nie pamiętam jej, gdyż zmarła na serce kiedy miałem tylko 3 lata. Faktycznie to ona kierowała gospodarstwem z pomocą mojego starszego brata Bolesława.

Mój ojciec Stanisław Lorenc, wywodził się z Saksonii, jego przodkowie opuścili tę ziemię w roku 1640. W tym czasie dwaj królowie polscy byli pochodzenia saksońskiego i dlatego dużo ludzi emigrowało stamtąd do Polski. Mój ojciec był oficerem artylerii w rosyjskiej carskiej armii. Zbiegiem okoliczności brat Bolesław i ja służyliśmy w wojsku w czasie II-ej wojny światowej, również jako oficerowie artylerii. Jeden z 3 braci mojego ojca był osobliwą postacią, naraził się pewnemu kapitanowi armii niemieckiej, wezwany do poddania się, odmówił, płacąc za to życiem, został rozstrzelany. Mój ojciec spędził kilka miesięcy w oblężonej fortecy w Modlinie i kiedy rosyjski komendant oddał fortecę Niemcom, ciężko ranny ojciec dostał się do niewoli i umieszczony został w szpitalu wojskowym w Niemczech. Następnie był repatriowany do Rosji przez neutralną Szwecję w ramach wymiany jeńców i został umieszczony w szpitalu niedaleko Petersburga /Leningradu/. Później ciągle jeszcze, będąc pacjentem, został udekorowany przez cara Mikołaja II za zasługi w służbie dla Imperium Rosyjskiego.

W tym czasie miał miejsce incydent, który dotyczył grupy kawalerzystów. Kilkaset z nich tak rosyjskich, jak również polskich, zdecydowało nie poddać się Niemcom, jako że byli oni pewni, że niewola równa się pewnej śmierci. Odznaczając się wielką odwagą, zdecydowali się na przełamanie niemieckich linii okrążenia, niestety niewielu z nich przeżyło.

1 Planowano aby Muzeum Historii Miasta Zduńska Wola mieściło się w dworku Złotnickiego (dziś główny gmach Urzędu Miasta Zduńska Wola), jednak nigdy do tego nie doszło.

Wkrótce potem nastąpiła rewolucja, bolszewicy wygrali wojnę domową i feudalny system imperium rosyjskiego upadł. Bolszewicy zreorganizowali armię. Powstał problem - resztki sił imperium uwikłane zostały w wojnę domową. Polacy na ogół opowiedzieli się przeciwko nowemu reżimowi. Ich przywódca Marszałek Piłsudski zorganizował Armię Polską z resztek żołnierzy polskich służących w wojskach austriackich, niemieckich i rosyjskich. Na ich czele wyruszył na wschód z zamiarem odbudowy straconego państwa, które wcześniej podzielone było na 3 części między 3 sąsiadujące państwa i pozostawało pod ich okupacją przez ponad 120 lat. Przed rozbiorami granice Polski sięgały aż za Kijów, stolicę Ukrainy, obejmowały Białoruś, państewka nadbałtyckie, częściowo Besarabię. Zanim caryca Katarzyna, główna inicjatorka rozbiorów przekroczyła granice Polski, Rzeczpospolita Polska była największym mocarstwem w centralnej i wschodniej Europie, jej ludność składała się z 12-tu grup etnicznych.

Kiedy rozpoczęła się rewolucja rosyjska, Marszałek Piłsudski widział szansę odbudowy Rzeczypospolitej. Był on i jest oceniany jako wielki narodowy bohater i wkrzesiciel niepodległej Polski po I-ej wojnie światowej. W dążeniu do odbudowy wielkiej Rzeczypospolitej, liczył na powstańczy zryw Ukraińców, niestety ruch ten nie rozwinął się. Przez dwa lata zwalczał rosyjskich komunistów słabo wyposażoną armią. Kraje zachodnie podejrzewały Piłsudskiego o tworzenie dyktatury i w obawie o to nie były skłonne w udzielaniu mu pomocy. W ten sposób wojna polsko-rosyjska trwała do roku 1921, rozejm został zawarty, granice ustalone. Piłsudski włączył niektóre z byłych terytoriów i ciężko zdobyty pokój nastąpił. Piłsudski zawsze był podejrzliwy w stosunku do zamiarów rosyjskich czy to w aspekcie imperialistycznym czy też komunistycznym. Jego poglądy okazały się prawidłowe jak to później potwierdziła historia. W kilka lat po śmierci Piłsudskiego, Hitler zaatakował Polskę i zawarł układ ze Stalinem, w wyniku którego nastąpił, jak to się określa, czwarty rozbiór Polski.

Między dwiema wojnami światowymi, istniał okres zimnej wojny, który spowodował duże szkody w polskiej gospodarce. Odbudowa jej wymagała ogromnych nakładów finansowych a światowy kryzys rozpoczęty w 1929 r. pogarszał sytuację. Mimo wielkich wysiłków, Polska nie mogła osiągnąć korzystnego poziomu życia pełnej stabilizacji, rozwoju przemysłowego i postępu techniczno-eko-

nomicznego, co było przykrym następstwem eksploatacji kraju przez okupantów rozbiorowych i zniszczeń na skutek działań w I-ej wojnie światowej na terenie kraju.

W takim to czasie rozpocząłem naukę w szkole powszechnej, brat mój o 14 lat starszy uczęszczał do szkoły średniej w Zduńskiej Woli. Po zakończeniu jej miał on zamiar studiować na Uniwersytecie Warszawskim, lecz ojciec oświadczył, że nie będzie w stanie pokryć kosztów studiów. Wówczas gimnazja i uniwersytety były płatne i to dość wysoko. Nasze produkty gospodarskie trudno było sprzedać, a ceny były bardzo niskie. Rozgoryczony brat mój opuścił gospodarstwo i wstąpił do wojska. W rzeczywistości nie miał on zamiłowania w tym kierunku, ale rozsądek zwyciężył. W ciągu niewielu lat doszedł do stanowiska dowódcy baterii artylerii ciężkiej. Jako zawodowy żołnierz przetrwał on znośnie kryzys gospodarczy, gdyż oficerowie w przedwojennej Polsce cieszyli się uznaniem, byli dobrze wynagradzani.

Ja nie miałem „beztroskiego dzieciństwa”. Ojcowska opieka była znikoma, a co gorsze ojciec powtórnie ożenił się. Jego druga żona była młodą Niemką w wieku 25 lat i oboje nie darzyliśmy się sympatią². Niekontrolowany, pozostawiony sam sobie, zaniedbałem naukę i stałem się złym duchem wśród miejscowych nieokrzesanych chłopaków, bawiło mnie lenistwo, byłem autorem wielu złych zwyczajów.

Oto zabawny, ale i niepokojący przykład z tych lat: postarałem się o farbę koloru srebrnego i przemałowywałem mosiężne 5-groszowe monety na podobieństwo niklowych monet 20-groszowych, zachęcałem kolegów do sprytnego podsuwania ich w sklepie co następowało z pełnym powodzeniem.

Siałem wokół rozległe zamieszanie, straciłem cały rok szkolny nie uzyskując przejścia do następnej klasy i to już było zbyt wiele dla mojego ojca. Wkrótce zjawił się w domu mój brat, nakazał mi spakować rzeczy i następnego dnia znaleźliśmy się w pociągu. Po całodziennej podróży dotarliśmy do miasta Chełm Lubelski we wschodniej części kraju, gdzie stacjonowała jednostka brata. Zostałem ulokowany w internacie położonym w pobliżu jego kwatery. Moja nowa edukacja została rozpoczęta, a przebiegała według dyscypliny wojskowej. Wcześniej nabyte zwyczaje nie chciały mnie opuścić, otrzymywałem sporo różnych kar. Brat załatwił mi korepetycje u nauczyciela, który mocno pracował, aby nadgonić stracony czas w Zduńskiej

2 Drugą żoną Stanisława Lorenc'a była Olga Dickhof. Para zawarła ślub 20 lipca 1931 r. w kościele pw. św. Katarzyny i Anny w Korczewie.

Woli. Wkrótce byłem przygotowany do specjalnego egzaminu wstępnego do szkoły technicznej. Pokutowały we mnie ciągle jeszcze ślady tęsknoty do swawoli, ale rzeczywistość była twarda. Nie miałem zezwolenia wyjścia na zewnątrz bez przepustki, a ta mogła być tylko wydana za zezwoleniem brata. Mimo przykrych, chłopięcych wyrzeczeń, czułem się szczęśliwy, że brat jest tak dobry dla mnie.

Wielu oficerów z jednostki brata, włączając również dowódcę³, zginęło w Katyniu. Szacunkowo 12.000 polskich oficerów zostało zastrzelonych przez Rosjan. Zamysł ten polegał na likwidacji Polaków, którzy stanowiliby odpowiednią siłę oporu w tworzeniu przyszłego komunistycznego państwa polskiego.

II. WOJNA I OKUPACJA

Pierwszego września 1939 r. Hitler zaatakował Polskę z zachodu, północy i południa, a ponad 2 tygodnie później Stalin skierował swoją armię do zajęcia wschodnich terenów Polski. Polska armia nie miała szans w tych okolicznościach i było oczywiste, że wojna ta była jedynie kwestią czasu - została zakończona w ciągu 5 tygodni. Niemcy zajęli zachodnią część Polski, Rosjanie wschodnią.

Wybuch wojny zastał mnie w domu Janiszewicach, gdzie spędzałem wakacje. Znalazłem się w środku działań wojennych.

Dnia 3-go września miał miejsce nalot lotniczy na Zduńską Wolę – bombardowanie, pożary, ucieczka ludności miejscowej oraz ludności z zachodnich terenów granicznych. Tego samego dnia nastąpił nalot lotniczy na most i węzeł kolejowy odległy o 1 km od mojego domu, zniszczone zostały tory, most jednak ocalał⁴. Dwa dni później dał się słyszeć grzmot dział, front zbliżał się, tłumy uciekinierów rosły, porwały także mnie zgodnie z ogólnym apelem: „wszyscy zdolni

3 Gedeon Lorenc ma na myśli płk Lucjana Jasińskiego, dowódcę 2 Pułku Artylerii Ciężkiej w okresie od października 1934 r. do końca 1938 r. We wrześniu 1939 r. był on dowódcą artylerii i zastępcą dowódcy Grupy „Włodzimierz”. Po wzięciu do rosyjskiej niewoli trafił do obozu w Kozielsku. Zamordowany w lesie katyńskim pomiędzy 13 a 14 kwietnia 1940 r. Ostatni dowódca 2 PAC ppłk Bolesław Pyszora trafił do niewoli niemieckiej i podobnie jak por. Bolesław Lorenc został osadzony w Oflagu VIIA w Murnau.

4 Mowa o wiadukcie kolejowym na tzw. „Świńskiej Nodze”, który stanowi część magistrali węglowej i znajduje się na skrzyżowaniu z linią wiodącą z Łodzi do Wielkopolski. Obiekt ten został zbombardowany po południu 3 września 1939 r. przez Junkersy Ju-87 ze Sturzkampfgeschwader 77 (Pułk bombowców nurkujących). Zob. D. Buszyński, *Tragiczna niedziela: bombardowanie Zduńskiej Woli 3 września 1939 r.* Cz. 2, „Na Sieradzkich Szlakach” 2022, nr 1, s. 42.

do noszenia broni - za Wisłę!". Zaszedłem do Lutomierska ok. 30 km od Janiszewic, poczem trzeba było wracać, front był szybszy.

Będąc młodym 18-letnim chłopcem czułem się kompletnie zagubionym, nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Udałem się do Chełma, mając nadzieję, że szkoła zostanie otwarta, jednak władze okupacyjne nie dały na to pozwolenia. Pensjonat przy Szkole Technicznej, gdzie ostatnio kwaterowałem, został kompletnie splądrowany przez bandytów ukraińskich. Zagięły wszystkie moje osobiste rzeczy, dokumenty, fotografie itd. Nie było szans na otwarcie szkoły, nie widziałem więc innego wyjścia, jak tylko powrót do domu, gdzie czekało mnie wspólne zamieszkanie z ojcem i macochą.

Bratem moim los pokierował inaczej. Został on skierowany na front zachodni i tam dostał się do niewoli niemieckiej, a następnie zesłany do obozu jeńców tzw. oflagu w miejscowości Murnau w Bawarii, przebywał tam do zakończenia wojny, uwolniony po wejściu aliantów.

Rozpoczęła się okupacja niemiecka. Byłem bezradny, głównym moim dążeniem było, aby dostosować się do bardzo trudnych warunków bytowych: brak ciepłej odzieży, butów, przebywanie w nieogrzewanym pokoju, kiepskie wyżywienie, a wszystkiemu temu złu towarzyszyła ciężka zima.

Tymczasem poza domem szalał już hitlerowski terror. Wyłapywano Żydów i Cyganów, umieszczano ich w gettach, był to pierwszy krok w kierunku tworzenia obozów koncentracyjnych. Polacy nie byli tak drastycznie traktowani na tym etapie, choć stawali się również ofiarami łapanek, aresztowań i deportacji do Niemiec jako niewolnicza siła robocza, oczywiście niepłatna, wielu znalazło się w obozach pracy. Traktowanie Polaków tu na miejscu było strasznie poniżające, np. kiedy szedłeś chodnikiem, a do ciebie zbliżał się żołnierz czy żandarm, czy ktokolwiek w mundurze, należało stanąć bokiem i zdjąć nakrycie głowy, w przeciwnym przypadku ponosiłeś ryzyko aresztowania i wysłania do jakiegoś obozu. Było oczywiste, że hitlerowcy szukali najmniejszego choćby pretekstu do aresztowania człowieka. Drobne uchybienia wystarczały do tego.

Młodzi ludzie w moim wieku zaczęli dyskretnie spotykać się, dyskutując co robić, jak znosić trudną sytuację okupacyjną. Spotkania musiały się odbywać z zachowaniem dużej ostrożności, aby nie wpaść w oko władzom lub szpicłom, szczególnie w moim przypadku mając w domu macochę Niemkę.

Pamiętam pewne zdarzenie w Zduńskiej Woli. Znajdowałem się w porze popołudniowej w centrum miasta. Zaczęło się wielkie zamieszanie, bo jeden z Polaków zastrzelił żołnierza niemieckiego. Nigdy nie dowiedziałem się, jaki był powód tego wypadku. Został ogłoszony alarm, miasto otoczone, wszystkie ulice zablokowane, również trasy wylotowe, wszędzie pełno żołnierzy i żandarmów. Nikt nie mógł z miasta się wydostać, a Niemcy kierowali wszystkich w stronę rynku miejskiego. Ponieważ wypadek zdarzył się w Zduńskiej Woli, sześciu z najbardziej znaczących obywateli miasta zostało aresztowanych i uwięzionych jako zakładnicy⁵. Władze niemieckie wezwały mordercę do ujawnienia się i stawienia się w wyznaczonym czasie - nikt jednak się nie stawiał. Wtedy Niemcy zgromadzili na rynku ludzi, zakładników postawili pod ścianą hali targowej i rozstrzelali ich. Ciała ich zostały pozostawione na widok publiczny. Taki był rewanz za zastrzelenie jednego Niemca. Wypadek ten pozostawił dramatyczny, trwały ślad w moim umyśle. Kontynuowaliśmy nasze dyskretne spotkania. Było ze mną 2-ch bliskich kolegów: Kazik i Zygmunt⁶.

Kazika znałem od najmłodszych lat, gdyż rodzina jego zamieszkiwała w bliskim sąsiedztwie w domku rodzinnym, Zygmunta poznałem w czasie jednych wakacji i jako dwaj uczniowie znaleźliśmy wiele wspólnych zainteresowań. Bywałem u jego rodziców mieszkających również we własnym domu i wszystko wskazywało, że jestem tam mile widziany. W pierwszych miesiącach okupacji wiele mroźnych wieczorów spędziliśmy w trójkę w domu Zygmunta a jego ojciec towarzyszył nam w grach w karty, aby choć na krótko można było oderwać się od posępnych myśli. A było to możliwe, powstawały zabawne sytuacje, gdyż ja z Zygmuntem traktowaliśmy te gry bardzo lekko i oszukiwaliśmy ile się dało, natomiast Kazik z natury bardzo prostolinijny przywiązywał dużą wagę do zasad gry mawiając od czasu do czasu „karta wymaga”. Taki też otrzymał przydomek a posłużył w dalekiej przyszłości do zabawnej sytuacji, kiedy to spotkałem się z Kazikiem po długich latach.

Zaczęliśmy się zastanawiać w trójkę, w jaki sposób uciec z Polski. Przenikały wieści na temat toczącej się wojny na Zachodzie, szczególnie we Francji. Do-

5 Opisywana egzekucja miała miejsce 11 listopada 1939 r. na Rynku (dzisiejszy Plac Wolności). Życie straciło sześciu mężczyzn: Antoni Piekarski, Marian Witkowski, Józef Kubik, Antoni Frączzak, Jan Matusiak oraz Mordechaj Saderkiewicz.

6 Kazimierz Turajczyk oraz Zygmunt Grzybowski.

chodziły pocieszające wieści, że armia francuska trwa na linii Maginota i że nowa armia polska jest formowana we Francji. Jej dowódca, generał Sikorski rekrutuje uciekinierów i polskich emigrantów osiadłych we Francji - chcielibyśmy do nich dołączyć. Rozważaliśmy możliwość narciarskiej ucieczki przez Karpaty do Węgier, stamtąd do Jugosławii a następnie przez północne Włochy do Francji. Nadchodziły wiadomości o tysiącach uciekinierów z Polski, dlaczego miałyby nam się nie udać? Należało jednak postępować bardzo ostrożnie, byliśmy ciągle otaczani przez różnych donosicieli.

Wczesną wiosną cała nasza trójka otrzymała urzędowe wezwanie do zarejestrowania się. Podwórze urzędu wypełnione było setkami młodych ludzi. Zorientowaliśmy się, że chodzi o nabór siły roboczej do pracy na terenie Niemiec. Kazik zarejestrował się, ja natomiast z Zygmuntem, oceniwszy sytuację jako daleką od jakichś zagrożeń nie zgłosiliśmy się do rejestracji i chyłkiem wydostaliśmy się z podwórza. Nie ponieśliśmy z tego tytułu żadnych konsekwencji, prawdopodobnie określony kontyngent ludzki został przez urząd zrealizowany. Kazik, łącznie z wieloma młodymi ludźmi znalazł się w niedługim czasie w Niemczech k/Emden, stamtąd przysłał list, w którym ogródkiem pisał o bombardowaniach okolicy przez lotnictwo angielskie.

Pewnego dnia zostałem ostrzeżony przez starszą kobietę, którą dobrze znałem. Powiedziała mi, że Niemcy zamierzają aresztować mnie i gdzieś wywieźć. Nie chciałem w to uwierzyć, przyjąłem tę wiadomość ze znacznym powątpiewaniem, później jednak okazało się, że kobieta ta miała rację. Niedługo potem, kiedy znalazłem się w towarzystwie moich znajomych w okolicy podmiejskiej, zjawili się dwaj żandarmi i aresztowali mnie. Jeden z nich zwrócił się do mnie z ostrzeżeniem, abym nie próbował uciekać, bo nie mam żadnych szans. Musiałem z nimi iść jak baran po to, by zostać wtrącony do aresztu miejscowego. Byłem na siebie wściekły, że dałem się złapać w tak głupich okolicznościach, lecz nie można było nic zrobić wokół tego, co nastąpiło. Ojciec, powiadomiony o moim aresztowaniu, przyszedł na posterunek żandarmerii. Po przeprowadzonej rozmowie, wyjednał on zwolnienie mnie na jedną dobę pod warunkiem, że dostarczy mnie następnego dnia z powrotem. Spędziłem noc w domu, spakowałem, moje osobiste drobiazgi, bo zostałem poinformowany, że będę odtransportowany z innymi w nieznanym kierunku. Następnego

dnia poszliśmy z ojcem na posterunek i zostałem przekazany do ich dyspozycji, nie mogłem przy tym ukryć bezsilnej złości. Będąc już na stopniach wejściowych do posterunku, wyładowałem całą złość na moim ojcu. Potem bardzo tego żałowałem. Odnosiłem się do niego szorstko, obarczałem go winą, że nie stworzył mi żadnej szansy ucieczki. Nie widziałem sam żadnego sposobu do ucieczki, choć byłem bardzo zdecydowany, do jakiegoś działania, które by uchroniło mnie od deportacji. Biedny mój ojciec zaręczył jednak, że wrócę na posterunek i wiedziałem, że gdybym nawet podjął ucieczkę zostałby on pociągnięty do surowej odpowiedzialności. Musiałem pogodzić się z zaistniałą sytuacją.

Dołączyłem do innych aresztowanych, zostaliśmy załadowani do pociągu, który wkrótce ruszył w kierunku zachodnim, co przekonało nas w sposób oczywisty, że jesteśmy wywożeni do Niemiec. Grupa nasza składała się z mężczyzn - cywilów. Dojechalśmy do Wiednia, gdzie po wyjściu z pociągu zostaliśmy skierowani na nocleg do baraku. Następnego dnia znowu znaleźliśmy się w pociągu i nasza podróż zakończyła się tym razem w południowej części Austrii a właściwie w Alpach, czekały tu na nas baraki pozostałe po armii austriackiej, widok ponury.

Teren był strzeżony przez wartowników ulokowanych na wieżach obserwacyjnych i ogrodzony drutem kolczastym. Obóz zwał się Trofaiach[®]. W obozie tym znajdowali się ludzie różnych narodowości, nasza grupa liczyła ponad 100 osób, prawie sami Polacy, kilku Żydów. Wokół słyszało się również język czeski i niemiecki, byli to Niemcy, którzy opowiedzieli się przeciwko systemowi hitlerowskiemu. Był początek kwietnia 1940 r.

Znienawidzony widok Trofaiach nasuwał mi na myśl wspomnienia z dzieciństwa. Około 200 metrów od mojego domu, po przeciwnej stronie szosy, stał bardzo stary budynek liczący chyba ze 400 lat, wyglądający jak forteca. Jego ściany były metrowej grubości, a okna bardzo wąskie. Budynek ten wydawał się być wykonany dla celów obronnych. Obok znajdowała się fabryka włókiennicza. Cały ten kompleks należał do rodziny B. Po pierwszej wojnie światowej zakład upadł. Fabryka została zamknięta i wkrótce potem właściciel zmarł. Wdowa po nim miała dwoje dzieci i sytuacja materialna stała się trudna, dzieci szybko dorastały. Jedna z córek spotkała młodego prawnika w czasie podróży do Łodzi, gdzie studiowała, porzuciła jednak studia i wyszła za mąż za tego prawnika, jego nazwisko S., typowo niemiec-

kie⁷. Po zawarciu małżeństwa, młoda para zdecydowała się zamieszkać w Janiszewicach. Młody mąż spoglądał z zainteresowaniem na nieczynną fabrykę. Stała się ona dla niego życiowym punktem zwrotnym, postanowił stać się przemysłowcem. Wydierżawił on fabrykę od teściowej i postanowił ją uruchomić, poświęcając wiele trudu, wyrzeczeń. W końcu dopiął swego celu - fabryka została uruchomiona w niezbędnym do podjęcia produkcji zakresie. Stopniowo rozbudowywał ją aż doprowadził do pełnego wykorzystania jej na 3 zmiany, dając poważne zatrudnienie miejscowej ludności. Początek działalności produkcyjnej był trudny gdyż przypadał w okresie kryzysu światowego, kiedy to nie można było sprzedać wytworzonych produktów. Ale S. znalazł korzystny rynek zbytu na swoje materiały włókiennicze a była to Południowa Afryka – przedsięwzięcie godne najwyższego dla niego uznania. Podziwiałem go, był to człowiek o nieprzeciętnym, przedsiębiorczym charakterze. Podziwiałem także jego córkę, była troszkę młodsza ode mnie, miała na imię D. Chłopięcego usposobienia, nie lubiła towarzystwa dziewczynek. Urządzaliśmy z chłopcami różne psoty, wybryki, głównie po godzinach szkolnych i podejrzewaliśmy ją, że donosi ojcu o nich. A ojciec jej był ważną osobistością miejscową, cieszył się ogromnym autorytetem i kto jego zawiódł, bardzo mu się narażał. Próbowaliśmy D. odsunąć od nas, ale ona nie mogła się z tym pogodzić. Byliśmy jednak zdecydowani uwolnić się od niej i pewnego dnia zachowaliśmy się wobec niej w sposób niemal chuligański, ona jednak nie zrobiła z tego użytku, nie poskarżyła się ojcu i tym zdobyła sobie nasze uznanie.

Razu pewnego, jej ojciec uratował mnie przed łobuziakami. Trójka ich wskoczyła na mnie i zaczęła mnie strasznie obijać, zagrażając nawet mojemu życiu. Na moje szczęście S. znajdował się w pobliżu, przybiegł i rozpędził napastników. Byłem mocno poturbowany, zostałem przez niego opatrzony. Po tym wypadku stał się moim przyjacielem.

S., pochodzenia niemieckiego, był jednak dużym patriotą polskim a jednocześnie miejscowym filantropem. Dotował z własnych środków miejscową działalność charytatywną, znalazł czas na zorganizowanie i kierowanie oddziałem straży pożarnej, prowadził osobiście ćwiczenia, pełnił funkcję komendanta. Zadziwił miejscową

7 Trofaiach to nie nazwa obozu, lecz miejscowości, w której był ulokowany.

ludność pewnym posunięciem polegającym na zakazie używania języka niemieckiego na terenie jego fabryki zaznaczając, że zwolni z pracy każdego mówiącego po niemiecku. Działo to się na 6 miesięcy przed wybuchem wojny i spotkało się z dużym oburzeniem miejscowych mieszkańców pochodzenia niemieckiego. Nie czekając na konsekwencje, które niechybnie spotkałyby go ze strony okupanta, w porę zniknął. Słyszałem, że po wojnie wrócił on znowu do Janiszewic i znowu dał znać o sobie we właściwy mu sposób. Nie bacząc na przeszkody, jakie stwarzał ówczesny rząd, zorganizował rodzaj przytułku i uczynił go samowystarczalnym i niezależnym finansowo. Zdany na własne siły, roztaczał opiekę nad sierotami, ludźmi wykolejonymi i niepełnosprawnymi, uczył ich rzemiosła, starał się dla nich o pracę. Pomagał szkole, otrzymywał wprawdzie pomoc techniczno-dydaktyczną, ale nie od władz. Był człowiekiem unikalnym, wzbudzał powszechny podziw. Chciałem go znowu spotkać po wojnie, ale zmarł nim powstała u mnie szansa odwiedzenia kraju.

Nie wszystko układało się niefortunnie, jak choćby poniższy przykład: Spotkałem w naszej szkole koleżankę Marię S., która była jedynym dzieckiem miejscowego oficera. Szkoła była dla dzieci oficerów i innych funkcjonariuszy państwowych, typu koedukacyjnego, jak wiele szkół w przedwojennej Polsce. Chłopcy siedzieli po jednej stronie klasy, dziewczynki po drugiej. W tym czasie zachowanie moje przedstawiało jeszcze wiele do życzenia. Byłem trudnym uczniem, ale i Maria stwarzała sporo kłopotów. Wychowawca postanowił ukarać nas oboje w ten sposób, że posadził nas w jednej ławce. To było niestosowne, nie chcieliśmy siedzieć z dziewczynami, uwłaczało to chłopięcej dumie. Ale ta sprawa potoczyła się inaczej i zamiast poczucia przegranej, stworzyliśmy wesołą i partnerską dwójkę. Byłem dobry w fizyce i matematyce, ona w innych przedmiotach, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Nasze egzaminy wypadły prawie celująco. Od tego czasu nasza dwójka zacieśniła jeszcze przyjaźń, staliśmy się nierozłączni. Patrzono na nas z wielkim zdziwieniem, zadawano różne pytania, spotykaliśmy się z tolerancją otoczenia. Lubiłem pograć w tenisa, w hokeja na lodzie i inne sporty, a Maria zawsze była ze mną.

Muszę przyznać, że moje dni w pensjonacie były bardzo szczęśliwymi dniami, choć towarzyszyła im ostra dyscyplina. Mieliśmy pozwolenie na wyjście do miasta raz w tygodniu, a powrót musiał nastąpić do godz. 8-mej wieczorem. Oczywiście znaleźliśmy sposób na ominięcie portierów w ten sposób, że wspinaliśmy się

po hurcie na pierwsze piętro, uzgadniając uprzednio z kolegami, które okno ma być otwarte. Niekiedy nie udawało nam się uniknąć przyłapania nas na tym uczynku, byliśmy wtedy karani, lecz mimo to szkolne dni były najprzyjemniejsze w mojej młodości, pełne podniecenia w romantycznej atmosferze, pełne tajemniczych uroków.

Myśli moje kierowane były również do stron rodzinnych, które nie tak dawno musiałem opuścić, były pełne tęsknoty i rozgoryczenia, że nasza trójka tak szybko się rozproszyła. Na miejscu pozostał tylko Zygmunt, który, jak się później okazało, ukrywał się przez wiele miesięcy po moim aresztowaniu w nadziei, że wojna niedługo się zakończy. Gdy tak się nie stało podjął pracę w firmie niemieckiej, ale atmosfera okupacyjna stawiała się trudna do zniesienia, porzucił pracę i mocno ryzykując, nielegalnie przekroczył granicę Reichu z Gubernią. Znalazł się w Warszawie u rodziny, pracował, uczył się potajemnie.

Po szczęśliwym wyjściu z powstania warszawskiego, uciekł z pociągu transportującego mężczyzn do Niemiec. Dostał się potem w samo centrum wielkiej, słynnej bitwy między partyzantami a Niemcami, która miała miejsce w dniu 29 września 1944 r.⁸ Wojna i jemu nie skąpiła swej gehenny.

Życie w obozie w Trofaiah było bardzo spartańskie. Jakość wyżywienia bardzo niska, w niewystarczających ilościach. Surowość i okrucieństwo wyzierało z każdego miejsca. Mieliśmy 4-ch SS-manów z zadaniem „dbania o nasze interesy”. Najmniejsze sprzeciwy czy drobne wykroczenia były surowo karane biciem po twarzy, szturchańcami, uderzeniami kolbą karabinu. Dzień rozpoczynał się już o godz. 4-tej rano, kiedy to zarządzano pobudkę. Natychmiast wstawaliśmy, myliśmy się i o godz. 5-tej spożywaliśmy śniadanie, jeśli tak to można nazwać. Godzinę później stawaliśmy w szeregu, uprzednio policzeni przez opiekuna, po czym wchodziliśmy na samochody ciężarowe, które nas zawoziły na punkt kontrolny, a następnie przez bramę obozu na drogę do naszego miejsca pracy, które znajdowało się w Alpach. Pracowaliśmy przy budowie nowej linii elektrycznej wysokiego napięcia. Zostaliśmy podzieleni na małe grupy, z których każda miała uzbrojonego strażnika. Tego rodzaju praca całkowicie mi nie odpowiadała, jako że nigdy ciężko fizycznie nie pracowałem, prawdę mówiąc, do tej pory w ogóle nigdy nie pra-

8 Bitwa pod Jaktorowem w okolicach wsi Budy Zosine. Zakończyła się rozbiem przez Niemców głównych sił Zgrupowania AK „Kampinos”.

cowałem. Ale to oczywiście nie obchodziło strażników. Mieli oni ścisłe instrukcje dotyczące dopilnowania wykonania określonych zadań. Pracowałem przy kopaniu dołów do fundamentów pod słupy trakcyjne. Praca trwała do południa, kiedy to ogłaszano przerwę, ale bez posiłku, w ten sposób, dalej pracując, musieliśmy czekać na posiłek do godz. 6-tej wieczorem. Wtedy zajeżdżały samochody, by zabrać nas do obozu, znowu byliśmy liczeni i przekazywani władzom obozowym. Wreszcie otrzymywaliśmy nasz posiłek wieczorny, składający się głównie ze sztucznego dżemu produkowanego z buraków i sacharyny. Wieczorem mieliśmy trochę czasu dla siebie i poświęcaliśmy go do rozpoznawania kolegów i tworzenia małych grup do omawiania możliwości ucieczki. Robiliśmy to z wielką ostrożnością, ale mimo tego wykryliśmy straszny fakt, który wskazywał, że władze obozowe wiedzą, kto co powiedział. Było oczywiste, że Niemcy mieli wśród nas donosiciela, którego trudno nam było wykryć. Było nas mało Polaków i choć nie znaliśmy się wzajemnie, trudno byłoby uwierzyć, żeby wśród naszych ziomeków znalazł się donosiciel. W końcu zdecydowaliśmy się działać w tym kierunku. Urządziliśmy zasadzkę, bo szczególnie jeden młody człowiek wydał nam się podejrzany. Kilku z nas obserwowało go ukradkiem. Wyniki obserwacji potwierdzały nasze przypuszczenia. O godz. 10-tej światła były gaszone, musieliśmy się już znajdować w łóżkach. Pewnej nocy, po zgaszeniu świateł i pójściu do łóżek, chwyciłem koc i rzuciłem go na młodego człowieka, całkowicie go przykrywając. Ktoś zapalił światło i zaczęliśmy go okładać. Światła znowu zostały zgaszone, koc zdjęty a młody człowiek nie mógł wiedzieć, kto tego dokonał. Zerwał się on z łóżka, wyskoczył z baraku i zniknął. W ciągu jednej minuty zjawili się strażnicy i zażądali ujawnienia świadków tego zajścia. Byliśmy już pewni, że wykryliśmy donosiciela, gdyż w innym przypadku strażnicy nie poświęcaliby tyle uwagi temu incydentowi, chcieli go chronić. Koniec końcem zostałem pochwycony przez strażników, wyciągnięty na zewnątrz baraku, mocno pobity uderzeniami kolb i skopany. Stało się jasnym, że Niemcy posiadają dobrze zorganizowany system szpiclowski. Była to dobra lekcja wskazująca, że nikomu nie można wierzyć. Ta sytuacja utrudniała nam konspirację, nasze zamiary trafiły na niebezpieczną przeszkodę. Minęło kilka tygodni zanim stworzyliśmy 5-osobową grupę wiarygodnych kolegów i podjąć konkretne plany ucieczki. Jaki wybrać kraj ucieczki, jak wydostać się z obozu to były najważniejsze problemy.

W międzyczasie moje warunki pracy uległy raptownej poprawie. Zmiana ta nastąpiła w niezwykle sposób. Zaczęło się od bardzo groźnego zajścia ale w końcu dla mnie korzystnego. Kopałem dół pod fundament a nie będąc przygotowany do pracy fizycznej, niepotrzebnie śpieszyłem się, wbrew zasadzie niemieckiej zalecającej wolną pracę, ale ciągną, bez zmęczenia. Pracowałem tak intensywnie przez pewien czas w nadziei, że będę mógł sobie odpocząć, faktycznie bardzo się zmęczyłem i musiałem odpocząć na skraju dołu. W jednej chwili otrzymałem silne uderzenie kolbą karabinu i znalazłem się w dole. Trzymałem ciągle łopatę w rękach i w przystępie wściekłości wyskoczyłem z dołu i zamierzyłem się na strażnika. Łatwo sobie wyobrazić, co mogło się po tym zdarzyć. Następną rzeczą, którą zapamiętałem było to, że ktoś chwycił za moją łopatę z tyłu. Odwróciłem się i zobaczyłem inżyniera - Niemca, który wśród nas cieszył się dobrą opinią. Powstała ostra wymiana słów między inżynierem a strażnikiem - typowy przypadek zatargu między cywilną opozycją a brutalnymi mundurowymi. Kłótnia odbywała się w sposób bardzo szybki, dlatego nie mogłem niczego zrozumieć. Mój obrońca był bardzo wzburzony, nie mógł się uspokoić. Następnie otrzymałem polecenie od inżyniera, aby pójść za nim. Zaprowadził mnie bez asysty strażnika do kantoru i nakazał mi usiąść. Mówiąc wolno, używając prostych słów niemieckich, zapytał mnie, dlaczego dopuściłem się tak drastycznego postępu. Odpowiedziałem, że straciłem panowanie nad sobą i że nie mogłem znieść tak ordynarnego traktowania przez strażnika.

- *Czy ty zdawałeś sobie sprawę, że ty mógłbyś być zastrzelony?* - wykrzyknął inżynier.
- *Ja o tym nie myślałem* - taka była moja odpowiedź.
- *Jak ty się nazywasz?*
- *Gedeon Lorenc.*
- *To nie jest polskie nazwisko, prawda?*
- *Nie, to nie jest polskie.*
- *Od tej chwili rozpoczynając, nie będziesz chodził do dotychczasowego miejsca pracy! Przyjdiesz do mnie i będziesz ze mną pracować!*
- *Ale co będzie ze strażnikiem?* - zapytałem.
- *Oni otrzymali ode mnie polecenia.*

Na tym nastie spotkanie zakończyło się.

Warunki mojej pracy zmieniły się natychmiast. Zamiast 12-tu godzin ciężkiej pracy w ciągu dnia i 6-ciu dni w tygodniu, pracowałem teraz przy inżynierze, jako jego asystent, nosząc jego przyrządy, pomoce, dokumentację itp. Jego śniadanie składało się z kanapek zawierających szynkę i z innych smacznych rzeczy, nigdy nie jadał dużo. Widział, że jestem młody i głodny, zawsze oddawał mi część swego śniadania. Od czasu do czasu schodziliśmy w doliny i odwiedzaliśmy gospody w austriackich wioskach. Nie należałem do amatorów wódki, ale dwa kieliszki smakowały mi, za wszystko płacił. Oczywiście nie miałem pieniędzy. Czasem znalazł odpowiednie miejsce w górach między drzewami, zdejmował koszulę, aby się opalać i zachęcał mnie do tego samego. Między nami rozwinęła się szczególna przyjaźń - rozmawialiśmy niewiele. Był człowiekiem mało mównym, niekiedy zadawał dziwaczne pytania, nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego on mnie ocalił, nie znałem nawet jego nazwiska i często rozmyślałem nad tym wydarzeniem, wierzyłem, że nie miał kłopotów przeze mnie. Często nachodziły mnie takie wyrzuty sumienia, ale chęć przetrwania pomagała mi w tej rozterce.

Po każdym powrocie do obozu, omawialiśmy wieczorem z moimi przyjaciółmi plan ucieczki. Niekiedy zastanawiałem się, czy powinienem się na nią zdecydować, przecież moje życie tak znacznie się poprawiło. Miałem jednak obawy, że moje szczęście może być tylko czasowe, pozostałem więc przy naszym zamiarze, kontynuowaliśmy dyskusję.

Jeden z nas miał się postarać o niemieckie tzw. *ausweisy*/dowody osobiste/. Ja zdobyłem kawałek mapy niemieckiej z obszarem centralnej Europy - nie była to mapa szczegółowa, pokazywała jedynie większe miasta, daleko jej było do mapy wojskowej, ale dobre i to. Ktoś posiadał kompas. Tak uzbrojeni podjęliśmy decyzję. Niedziela była najlepszym dniem dla naszego zamierzenia, bo na ogół wtedy wszyscy przebywali w obozie odpoczywając. W niedzielę nie było ruchu przy bramie, nikt nie wychodził, nie liczono nas i mieliśmy przed sobą dzień i noc, nim zostałyby podniesiony alarm. Przewidywaliśmy ucieczkę o świcie. Spędziliśmy już 3 miesiące w Trofaiach, było to już zbyt długo!

Kilka dni przed zaplanowaną ucieczką, rozeszła się wiadomość o upadku Francji i wkrótce potem znalazło się w naszym obozie 2 tysiące Francuzów. Ale na szczęście fakt ten nie wpłynął ujemnie na naszą decyzję.

III. UCIECZKA

Niedziela nadeszła. Całą noc nie spaliśmy oczywiście. Przed świtem, przy akompaniamencie chrapania śpiących kolegów, wyruszyliśmy z głównego baraku, niosąc z sobą buty i drobiazgi osobiste. Mieliśmy wcześniej różne poglądy na sprawę przedostania się przez ogrodzenie. W rezultacie wybraliśmy podkop pod płotem, który nie powinien trwać dłużej 10 minut. Ruszyliśmy, z zachowaniem wielkiej cizy, do naszego celu i zacięliśmy kopać. W razie najmniejszego zagrożenia, mieliśmy się schować w cieniu światła księżyca, przeczekać i podjąć wysiłek na nowo. Po 20-tu, szarpiących nerwy minutach, przczołgaliśmy się pod płotem, ostatni z nas zacierał, w miarę możliwości, ślady ucieczki. W stanie wielkiego napięcia nerwowego, skierowaliśmy się w stronę stacji kolejowej, odległej o kilka kilometrów. Światło księżyca pomagało nam. Nasz marsz trwał do godz. 9-tej i o tej właśnie porze znaleźliśmy się przed wejściem do dworca.

Najstarszy z naszej grupy, liczący ok. 40 lat, przejął inicjatywę, ponieważ doskonale mówił po niemiecku nawet z akcentem wiedeńskim. Starał się też zachowywać jak wiedeńczyk. Posiadając ausweis, dołączył on do kolejki przy kasie biletowej a reszta z nas stanęła za nim. Niemcy wówczas nie mieli żadnego podejrzenia, nie dopuszczali do siebie myśli, że ktokolwiek mógłby się zdobyć na odwagę łamania istniejącego prawa, a nawet przepisów. Byli bardzo skrupulatni w ich przestrzeganiu. Nasz przewodnik poprosił kasjera o 5 biletów do austriackiego miasteczka, położonego blisko granicy słowackiej. Kasjer obejrzał ausweis i zażądał pozostałych czterech. Nasz przewodnik odwrócił się i wskazując na nas powiedział, że jesteśmy wszyscy w jednej grupie. Blef udał się i niczego nie podejrzewając, kasjer wydał bilety już nie żądając ausweisów, a nie powinien zaniedbać tego obowiązku. Po otrzymaniu biletów, wsiedliśmy do pociągu do miasta Graz, przemysłowego ośrodka w południowo-wschodniej części Austrii. Tam mieliśmy przesiąść się, ale jak się okazało, nie było to takie proste. Znaleźliśmy się na ruchliwym dworcu wielkiego miasta, z zapelnionymi peronami śpieszących się ludzi, a wśród tego tłumu znajdowali się funkcjonariusze gestapo. Patrolując parami obserwowali ludzi starając się wyłowić coś podejrzanego. Tak się niefortunnie złożyło, że mieliśmy całą godzinę czekania do nadejścia naszego pociągu. Nie pozostawało nic innego, jak

tylko spacerować po peronie tam i z powrotem przy zachowaniu rozczłonkowania naszej grupy, rozmowy między nami były wykluczone. Ubrani byliśmy w cywilne ubrania, co dawało możliwość mieszania się z Austriakami. Powstał jednak groźny moment. Dwóch gestapowców zbliżało się do mnie, badawczo mi się przyglądając. Strach mnie ogarnął w obawie, że zażądają dokumentów. Aby więc zapobiec temu, podniosłem prawą rękę i wykrzyknąłem „Heil Hitler!” do jednego z nich. Wydawał się być tym nieco zdziwiony, ale odpowiedział na moje pozdrowienie. Był to dobry pomysł i udał się.

Wreszcie wsiedliśmy do pociągu i opuściliśmy Graz z wielką ulgą. Nasz przyjazd nad granicę słoweńską nie obfitował w żadne przypadki. W obozie musieliśmy przyszywać do naszych ubrań kwadratowe kawałki materiału widoczne z przodu z literą „P” przeznaczoną dla Polaków, zdjęliśmy je przed ucieczką, czuliśmy się teraz lepiej bez tych dekoracji.

Opuściliśmy stację kolejową tej niedzieli po południu⁹, zaczęliśmy maszerować znowu w grupie gawędząc po polsku, nieświadomi zbliżającego się niebezpieczeństwa. Zbliżaliśmy się do pasa granicznego, którego szerokość wynosiła ok. 10 km. Nikomu nie wolno było poruszać się w tym pasie bez posiadania odpowiedniego zezwolenia. Miejscowa ludność była również zaopatrzona w przepustki. Byliśmy zadowoleni, że jakoś nam dobrze idzie, droga nasza pokryta była drzewami, co stwarzało dodatkowe poczucie bezpieczeństwa. Kierowaliśmy się górską drogą do Słowenii w neutralnej Jugosławii.

Prawie nagle natknęliśmy się na 2-osobowy patrol, składający się z kaprała i cywila. Kaprał zatrzymał nas i zapytał, dokąd my idziemy? Nikt nie odpowiedział. Zażądał kategorycznie odpowiedzi. Stało to się tak nieoczekiwanie, że brakło nam słów. W końcu nasz „przewodnik” zaczął ratować sytuację, udzielając wyjaśnień w swym doskonałym niemieckim. Reszta z nas stała z głupimi minami, nic nie mówiąc, ani niczego nie rozumiejąc, ponieważ nasz „przewodnik” mówił bardzo szybko. Jak się później okazało, powiedział on patrolowi, że jesteśmy cywilnymi pracownikami jednej z fabryk w Graz i wybraliśmy się na wycieczkę w góry. Powiedzieli oni, że to jest teren strzeżony i przebywanie tu bez zezwolenia jest zabro-

9 Prawdopodobnie z Gazu uciekinierzy dotarli do miasta Leibnitz. Leży ono ok. 15 km od granicy z Jugosławią i położone jest na linii kolejowej wiodącej z Gazu do Mariboru.

nione. Kolega nasz tłumaczył, że my o tym nie wiedzieliśmy. Ponadto zagajał ich rozmową, aż wreszcie kapral spojrzawszy na resztę, zapytał go, kim my jesteśmy? Wyjaśnił, że pracujemy razem. Po otrzymaniu również twierdzącej odpowiedzi, że mamy dokumenty, dał nam spokój. Oczywiście nie posiadaliśmy wymaganych dokumentów osobistych. Udało się. Niczego nie podejrzewając, kapral zawrócił nas w kierunku Graz. Oczywiście szliśmy tam przez chwilę, dopóki nie straciliśmy ich z oczu, wtedy skierowaliśmy nasze kroki w inną drogę wiodącą do naszego celu. Kosztowało nas to jednak sporo cennego czasu.

Maszerowaliśmy dalej kilka kilometrów aż stanęła nam na drodze przeszkoda naturalna - rzeka. Była dość szeroka i miała ostry prąd, jak to rzeka górską. Nie widać było żadnego mostu. Dzień kończył się, odczuwaliśmy głód, byliśmy solidnie zmęczeni a nie mieliśmy z sobą żadnej żywności. Na dobitkę okazało się, że nie ma wśród nas zgody, co do dalszych poczynąń. Ja proponowałem przepłynąć rzekę, ale okazało się, że dwóch z nas nie umie pływać. Wcześniej uzgodniliśmy, że grupa nasza nie rozdzieli się, teraz więc powstał problem, jak zachować to przyrzeczenie. Przebywaliśmy na łące wśród stogów suchego siana. Proponowałem wykorzystać to siano, jako pomoc dla niepływających, może przy pomocy snopów siana udałoby się im przeprawić na drugi brzeg rzeki. Twierdzili z całą stanowczością, że sposób ten jest nie do przyjęcia. Siedzieliśmy dalej nad brzegiem rzeki i zastanawialiśmy się, co dalej robić? Niektórzy chcieli zmienić drogę i udać się do Polski.

- *Co za głupia myśl!* - powiedziałem. - *Jeśli macie zamiar iść do Polski to idźcie, lecz ja do Polski nie wracam. Wy daleko nie ujdziecie, zostaniecie schwytani, a nawet, gdyby jakiś cud pozwolił wam dotrzeć do Polski, to władze okupacyjne osądzą was, jako uciekinierów i wtedy los wasz nie będzie do pozazdroszczenia!* - To ich przestraszyło, ale ciągle jeszcze byli niezdecydowani.

Moja myśl wróciła do pewnego strasznego wydarzenia, jakie miało miejsce w Pabianicach. Żyła tam polska para młodych ludzi, prawdopodobnie wzajemnie zakochanych. Po jakimś jednak czasie, dziewczyna zaczęła pokazywać się w towarzystwie przystojnego kapitana niemieckiego. Młody Polak, odsunięty przez dziewczynę, mocno wzburzony, spotkał ich pewnego dnia na chodniku głównej ulicy miasta. Wystrzelił 3 razy do kapitana, zabijając go na miejscu. Zabójca zniknął bez

śladu w jasny dzień. Ta zbrodnia kosztowała drogo mieszkańców Pabianic – straconych zostało 18 mieszkańców za jednego Niemca. Ja do Polski nie miałem zamiaru wracać!

W środku nocy zdecydowałem się, w towarzystwie kolegi, na marsz wzdłuż brzegu rzeki w poszukiwaniu mostu. Po przejściu ok. 3 kilometrów napotkaliśmy most kolejowy. Zastanawialiśmy się, czy rzeka ta stanowi granicę z Jugosławią. Według mojej niedoskonałej mapy powinna to być granica. Mój kompan ściągnął pozostałych kolegów i kiedy oni nadeszli zaproponowałem przejść przez most w sposób bardzo cichy a więc boso, lecz oni znowu nie chcieli się na to zgodzić. Twierdzili, że to zbyt duże ryzyko, i że po drugiej stronie mostu na pewno znajduje się posterunek. Ja uważałem, że jeśli to jest most graniczny, to byłby również posterunek z tej strony.

W końcu, podczas gdy oni czekali, przeszedłem na jego drugą stronę i okazało się, że nie ma tam żadnego posterunku. Wróciłem do oczekujących kolegów i musiałem im długo wyjaśniać i zapewniać, że przejście jest bezpieczne, bo jak mógłbym powrócić, gdyby było inaczej! W końcu ulegli i po chwili znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki. A tyle niepotrzebnego strachu!

Ruszyliśmy znowu. Ciągle jeszcze było ciemno, znajdowaliśmy się wśród zadrzewionych wzgórz. Wznosiliśmy się wąską krętą drogą górską, bardzo stromą, przydatną jedynie dla końskich zaprzęgów. Szliśmy bez końca i w górę i w dół, osiągając tylko niewielką odległość od miejsca naszego ostatniego postoju przy moście. Wreszcie nastał świt i zaczęliśmy maszerować parami, wzajemnie się ubezpieczając. Wytworzył się nowy problem, w grupie 5-osobowej nikt nie chciał iść samotnie. Zdecydowałem się na takie osamotnienie, szedłem na czele rozciągniętej grupy. Ustaliliśmy przedtem, że jeśli zauważę jakieś niebezpieczeństwo, to sięgnę po chusteczkę i będę nią powiewał. Pozostali koledzy mieli trzymać się za mną w odległości pozwalającej na kontakt wzrokowy. Niebezpieczeństwo wyrosło wkrótce. Na zakręcie drogi zostałem zauważony przez 2-ch mężczyzn w mundurach. Nie traciłem ani chwili, powiewałem chusteczką i natychmiast zbiegłem z drogi górskiej w kierunku doliny. Wśród drzew straciłem równowagę i zacząłem staczać się w dół, ale udało mi się podnieść i uciekałem szybko na ile starczyło mi sił, nie mogłem nawet zorientować się, co się dzieje poza mną. Kilka

minut później usłyszałem strzały, ale nie mogłem wiedzieć, co się działo, oddalałem się szybko z tego miejsca. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że jeden tylko z pozostałych kolegów przeżył. Był to Kazimierz G. On to właśnie powiedział mi, że patrol pochwycił ich wszystkich czterech, zostali przewiezieni do różnych więzień. Po powrocie do Zduńskiej Woli po wojnie, był on podobno bardzo rozbity i przygnębiony tym zajściem. Powiedział mi, że z pozostałej trójki, dwóch zostało rozstrzelanych a jeden gdzieś przewieziony, podobno do obozu koncentracyjnego i miał jakoby zginąć w komorze gazowej.

Zostałem sam. Szedłem, kierując się do granicy Jugosłowiańskiej. Nie miałem kompasu i orientowałem tak dalece, jak to było możliwe, przy pomocy słońca. Miałem z sobą jedynie zegarek. Doszedłem w końcu do słupa z literą „D”, wykonaną szarym kolorem. Mogła ona znaczyć „Deutschland”. Pytanie, co zobaczę po drugiej stronie słupa, było bardzo niepokojące. Gdyby figurowała tam litera „Y” znaczyłoby to, że dotarłem do granicy. Bardzo podniecony spojrzałem na drugą stronę słupa, była tam litera „Y”. Usiadłem na chwilę z emocji, próbowałem się uspokoić. Nagle usłyszałem głosy i kroki, ukryłem się natychmiast za krzakiem, kilka stóp od słupa granicznego. Był to już następny patrol niemiecki, składał się z 2-ch mundurowych, przechadzali się wzdłuż granicy. Tak więc, w chwili wielkiego uniesienia, po osiągnięciu granicy, mogłem zostać aresztowany.

Kiedy patrol oddalił się, udałem się w kierunku południowym. Była pora obiadu. Przeszedłem jeszcze kilka kilometrów dochodząc do umocnień z drutu kolczastego i przeszkód przeciwczołgowych. Prawdziwa linia obronna! Znalazłem jakąś drogę i jak potem stwierdziłem, była to droga już na terenie Słowenii, stanowiącej jedną z republik Jugosławii. Otaczały mnie winnice, moja droga prowadziła wprost do bramy, lecz była otoczona zwojami drutu kolczastego, strzeżona przez posterunek. Spostrzegłem po raz drugi literę „Y”, tym razem na posterunku, uniformy strażników były inne, zdobyłem się na odwagę i zbliżyłem się w ich kierunku. Wartownik skierował na mnie karabin i wrzeszczał coś w języku jugosłowiańskim. Jakkolwiek język ten podobny jest do polskiego, nie mogłem zrozumieć, co on do mnie mówi? Wyciągnąłem z kieszeni płaszcz moją starą legitymację szkolną i wręczyłem mu ją bez słowa. Wziął legitymację jedną ręką, a w drugiej trzymał karabin cały czas wymierzony we mnie. Wydawał się być zdziwiony legitymacją. Znaj-

dowała się ona w plastikowej oprawie, zaopatrzona w pieczętki i moją fotografię. Musiał dojść do przekonania, że ja jestem bardzo znaczącą osobą, karabin skierował już w inną stronę, przybrał postawę świadczącą o szacunku dla mnie. Wykorzystałem tę szansę, zacząłem iść do przodu nic nie mówiąc, ani nie oglądając się do tyłu. Tak właśnie wyglądało moje przejście przez jugosłowiańską linię fortyfikacyjną! Nieprawdopodobne, ale prawdziwe!

Wkrótce doszedłem do małej osady i stwierdziłem, że jestem niesamowicie głodny. Spostrzegłem restaurację i wszedłem do niej. Za kontuarem była dziewczyna, kręcił się również umundurowany mężczyzna, być mogło jej narzeczony. Usiadłem przy stoliku, dziewczyna podeszła do mnie. Poprosiłem o coś do jedzenia w języku polskim, częściowo po niemiecku, ale nie mogliśmy się zrozumieć. Wyszła, a wracając przyniosła mi chleb z szynką, kawę, sałatę i ogórek, z czego bardzo ucieszyłem się. Byłbym się z każdego innego posiłku cieszył, tak byłem głodny. Dodatkowo przyniosła mi także wino. Kiedy nadszedł czas do płacenia, wyjąłem małą niemiecką monetę, wręczyłem jej, a ona przyjęła ją z aprobatą. Prowadziła pewien rodzaj wymiany pieniędzy, dowiedziałem się później, że mnie oszukała.

Opuściłem restaurację i po wyjściu z niej, poczułem, że ktoś przytrzymuje mnie za ramię. Odwróciłem się i poznałem narzeczonego dziewczyny.

- *Kim ty jesteś?*- zapytał.
- *Jestem Polakiem* - odpowiedziałem.
- *Ty przekroczyłeś granicę!*
- *Tak, przekroczyłem.*
- *Pójdziesz ze mną* - powiedział stanowczo.

Musiałem się podporządkować, miał pistolet w garści. Zabrał mnie na posterunek i mówił coś oficerowi o mnie. Ten zaczął mówić do mnie, rozumiałem, że nie wie, kto ja jestem i musi mnie zamknąć. I tak się stało. Następnego dnia zostałem przewieziony do Kwatery Służby Granicznej w Mariborze.

Moja grupa kolegów miała się właśnie kierować do Mariboru. Ustaliliśmy, że w wypadku rozbicia grupy z jakiegokolwiek przyczyny, to pierwszy z nas, który dotrze do Mariboru, powiadomi o tym władze jugosłowiańskie. Po powiadomieniu władz miał wyjaśnić, że było nas pięciu i ci pierwsi, którzy przybędą mieli czekać na pozostałych. Jak się okazało, w Mariborze znalazłem się tylko sam.

Oficer służbowy w Kwaterze Służby Granicznej był wojskowym w stopniu pułkownika, odnosił się do mnie przyjaźnie, traktował mnie grzecznie w końcu przekazał mnie cywilnemu koledze wyjaśniając mi:

- *Ja muszę cię zamknąć, ale nie martw się, będziesz dobrze traktowany, muszę to zrobić, aby sporządzić raport w/g instrukcji z Zagrzebia. Mam na względzie możliwość przyszłego twego poruszania się.* Cywilny funkcjonariusz był także do mnie przyjaźnie nastawiony i po dokonaniu pewnych formalności, zabrał mnie i przekazał w ręce strażników więziennych. Umieszczono mnie w dużej celi, w której znajdowało się już 12-tu aresztowanych, wyglądających na osobliwą zbieraninę. Byłem przestraszony, nigdy dotąd nie znajdowałem się w takim otoczeniu. Pozostałem tam ok. 2-u tygodni. Posiłki były dostarczane przez małe okienko, bardzo prymitywne, lecz strażnicy traktowali mnie dobrze, często nawet z uśmiechem. Inni więźniowie nie mieli tyle szczęścia, zdarzały się wypadki poturbowania ich przez strażników. Nauczyłem się tutaj sposobu sporządzania płomienia bez użycia zapalek, poprzez tarcie jednego kawałka drewna na drugim z dużą szybkością i przez dłuższy czas. Jest to sposób na zapalenie przemycanych papierosów.

W końcu zostałem zabrany przez wysłannika pułkownika, który traktując mnie grzecznie, zaprowadził do kwatery. Pułkownik znowu zaczął mnie wypytywać, wreszcie powiedział:

- *Dziś wieczorem będzie pociąg do Zagrzebia, pojedziesz tam w towarzystwie mojego funkcjonariusza w cywilu, on wykupi 2 bilety, jeden ci przekaże, nie wolno ci na niego zwracać uwagi, zajmie on miejsce w sąsiednim przedziale. Nie wolno ci rozmawiać z żadnym z towarzyszących pasażerów. Po przyjeździe do Zagrzebia, mój człowiek zabierze cię do właściwych władz.*

Wyglądało na to, że pułkownik nie był mnie pewny. Moja historia była tak bardzo niesamowita, że w jego mniemaniu mogłem równie dobrze być agentem niemieckim. Z drugiej strony opinia, że Jugosławia dopomaga w różnych ucieczkach, mogła spowodować w tym czasie niebezpieczne zachowanie się Niemców. Neutralne kraje były wzywane do zatrzymywania uciekinierów a nawet do przekazywania ich władzom niemieckim.

W rzeczywistości mój opiekun nie przekazał mnie władzom jugosłowiańskim, lecz zaprowadził do podziemnej organizacji polskiej. Pełniący dyżur mężczyzna do-

skonałe władał językiem polskim. Przez jakiś czas rozmawiał z eskortującym mnie a ten później odszedł. Dwóch mężczyzn dołączyło do nas a to oznaczało dalsze przesłuchiwanie. Nowi gospodarze byli bardzo podejrzliwi i należało przypuszczać, że nie pójdzie mi z nimi łatwo. Po długiej rozmowie w końcu zapytali:

- *Dlaczego tutaj przyszedłeś?*

- *Nie miałem wyboru, zostałem tutaj przywieziony.*

Wyglądało na to, że oni w ogóle nie wierzą mi, zadawali pytania przez kilka godzin. Byłem bardzo zmęczony i udręczony.

- *Co ty zamierzasz robić tu, w Zagrzebiu?*

- *A co wy myślicie? Ja po prostu uciekałem.*

- *A jak zamierzasz żyć tutaj?*

- *Chcę postarać się o jakąś pracę!*

- *Ty nie możesz tutaj dostać żadnej pracy, nie masz paszportu, jesteś obcokrajowcem, nie możesz być tutaj zatrudniony. Jest tu dużo ludzi bez pracy a nawet, gdyby tak nie było, to też nic z tego, bo nie masz dokumentów - wyjaśnili.*

- *No trudno, nie wiedziałem o tym, będę przynajmniej próbował szukać pracy.*

W końcu otrzymałem od nich propozycję.

- *Ja mam lepszy pomysł! - zaproponował przewodniczący. - Jeśli ty podpiszesz ten kawałek papieru, my będziemy się tobą opiekować!*

Przeczytałem podsuniętą mi zadrukowaną kartę. Była to zgoda na wstąpienie do Polskich Sił Zbrojnych gdzieś na Zachodzie. Taki rozwój sytuacji niezbyt mi odpowiadał, lecz nie miałem wyboru. Podpisując deklarację, stałem się przymusowym ochotnikiem. Od tego momentu zostałem ulokowany w prywatnej kwaterze z żołdem 30 dinarów dziennie. Oczywiście żadnych własnych pieniędzy nie posiadałem. Nakazano mi, abym zgłosił się do policji w Zagrzebiu w celu zarejestrowania się. Otrzymałem tam zezwolenie na poruszanie się, ale jednocześnie byłem zobowiązany do meldowania się w policji każdego rana. Było to porozumienie między organizacją polską a władzami jugosłowiańskimi.

Ten stan rzeczy trwał przez 3 tygodnie. W międzyczasie przybywali uciekinierzy prawie każdego dnia. Z mojej grupy kolegów nikt się nie zjawił. Doszedłem do przykrego przekonania, że zostali oni schwytani. Mój pobyt w Zagrzebiu bardzo mi odpowiadał. Stare to miasto wyglądało ładnie. W tym czasie liczyło ono ok. pół

miliona mieszkańców. Ludzie nie wyglądali na przejętych wojną, byli neutralnie przyjaźni. Chodziłem do kina, dużo się wałęsałem. Mój żołd nie wystarczał na wiele np. dobry obiad kosztował 18 dinarów, tak że musiałem być bardzo oszczędnym, kupować jak najtaniej. Pewnego razu spróbowałem przemówić do kasjerki kina po polsku. Ucieszyła się, że ma okazję zamienić parę słów z Polakiem. Była pełna podziwu dla Polaków za to, że nie poddali się Niemcom bez walki. Nie chciała przyjąć ode mnie pieniędzy za bilet, poczułem się jak gość uprzywilejowany. Przy innej okazji rozwinęła się między nami dłuższa rozmowa, w wyniku której zostałem zaproszony przez nią do domu.

Jej ojciec był nauczycielem w miejscowej szkole i od razu wciągnął mnie do rozmowy na tematy polityczne. Musiałem być czujnym w tych rozmowach, podejrzewałem, że jest on komunistą. Te kontakty nie trwały długo, bo otrzymałem nakaz udania się do Belgradu a stąd zostałem skierowany do miasta Vranje w Serbii.

Było to spore miasto. Jego centrum było zbudowane w stylu europejskim, przedmieścia zamieszkiwali ludzie wyglądający na Arabów. Zajmowali się wyrobem przedmiotów z miedzi prowadzili tryb życia podobny do Cyganów. Pozostałem w tym mieście przez 2 tygodnie. Nie miałem nic do roboty, wałęsałem się po ulicach i próbowałem polować na dziewczyny. Pamiętam, kiedy próbowałem rozpocząć rozmowę z pewną młodą matką, wtedy ona poprosiła, abym się natychmiast od niej oddalił, ponieważ jej mąż mógłby mi przeciąć gardło, gdyby odkrył, że prowadzimy rozmowę. Mężczyźni tutejsi byli chorobliwie zazdrośni o swoje kobiety.

Moje niespokojne, żądne przygód usposobienie sprawiło mi wkrótce kłopot. Pewna grupa polskich uchodźców miała wieczorem spotkanie w piwnicy szkoły serbskiej. Zdecydowałem się zaspokoić moją ciekawość i postanowiłem wejść tam. Było to tajne spotkanie członków elity rządowej, sędziów i wyższych oficerów. Wtargnąłem na to spotkanie i ukryłem się za dużą tablicą, która była tak kiepsko zamocowana, że kiedy ją niechcący lekko trąciłem, runęła na podłogę. Spostrzegłszy to, schwytali mnie natychmiast, w ich oczach byłem szpiegiem. Wypytywali mnie przez długi czas, aż wreszcie zostałem ocalony przez 2-ch znajomych, popularnych narciarzy z Karpat.

Opowiadali oni fantastyczne historie. Byli używawani jako przewodnicy między Polską a Węgry. Jeden z nich był czołowym narciarzem polskim, mimo młodych lat miał szansę sięgnąć po zwycięstwo w europejskich zawodach w skokach

narciarskich. Jednakże wojna przekreśliła to. Stanowili trójkę narciarzy najwyższej klasy, niestety jeden z nich został zastrzelony w czasie przeprawy górskiej.

Moi prześladowcy wypytывali mnie bardzo długo, w końcu odmówiłem odpowiedzi na dalsze pytania. Rozebrali mnie do naga, oczywiście niczego nie znaleźli. Potem, nieco udobruchani, zabrali mnie do restauracji i tam właśnie spotkałem tę dwójkę znajomych, których obecność ostatecznie przyczyniła się do mojej pełnej rehabilitacji. Poznałem ich w czasie mego pobytu w Zagrzebiu. Byli to sympatyczni i twardzi chłopcy, cieszący się dużym respektem.

Wkrótce nadeszły nasze paszporty. Kilkunastu z nas zostało wytypowanych do podróży do Turcji przez Bułgarię. Paszporty oczywiście były podrobione np. mój paszport przedstawiał mnie jako mężczyznę 40-letniego, a ja w tym czasie miałem lat 19! Wiele podobnych błędów porobili producenci fałszywych dokumentów.

Żegnając Jugosławię wysłałem do Polski kilka kart pocztowych, co jak się później okazało, wzbudziło niesamowitą sensację wśród ich odbiorców. Karty te oczywiście podpisywałem przybranym nazwiskiem, treść ich była lakoniczna, zaszyfrowana. Po przybyciu w odwiedziny do Polski po raz pierwszy, /1963 r./ Zygmunt pokazał mi dwie z tych kart, które zdołał przechować. Wzbudziły one jakże żywe obrazy z tamtych dni. Wiadomości o mojej udanej ucieczce i jednocześnie tragiczne wieści o aresztowanych kolegach, przyjmowane były wtedy oczywiście i z radością i z głębokim współczuciem zarazem.

Posiadając już paszporty, wsiedliśmy do pociągu międzynarodowego do Istanbuhu. Trasa wiodła tranzytem przez Bułgarię, a nie był to kraj przyjazny. Na granicy bułgarscy celnicy kontrolowali paszporty wszystkich pasażerów, w końcu podeszli do naszej polskiej grupy. Paszporty nasze zaopatrzone były w pieczętki wizowe przez władze tureckie, ale nie podobały się one celnikom, ich zachowanie było aroganckie. Wprawdzie nie mogli znaleźć szczególnego powodu do takiego zachowania, aż do momentu jednak, kiedy paszport naszego najmłodszego kolegi dał im pretekst do pełnej satysfakcji. Jego paszport wskazywał na wiek 39 lat, w istocie zaś był to 15-letni chłopiec. Patrzyli na tę dziecienną twarz, upierając się o ujawnienie prawdy. Doszliśmy do wniosku, że oni, mając pretekst oczywisty, będą zmierzali do zdobycia łapówki. Zrobiło się zamieszanie, zaczęliśmy z nimi układy i po dłuższej dyskusji dogadaliśmy się. Łapówka miała wynosić 5.000 lewa a była

to cena wysoka, równa bułgarskiej pensji w tym czasie. Musieliśmy poświęcić nasze skromne oszczędności, ale chłopiec mógł wsiąść z nami do pociągu. Następny przystanek miał miejsce w Sofii. Dalej nie było już żadnych problemów do samej granicy greckiej. Przekroczyliśmy ją bez kłopotów ze strony celników greckich i wreszcie dotarliśmy do Istanbulu.

Tu na dworcu spotkała nas miła niespodzianka - oczekiwał nas przedstawiciel rządu tureckiego z zadaniem powitania nas. Powiedział on naszej grupie w czystym języku polskim:

- Panowie! Z polecenia naszego rządu witam Was w Turcji i w czasie Waszego pobytu tutaj jesteście naszymi gośćmi, a ja Waszym przewodnikiem i gospodarzem. Kwatery zostały dla Was przygotowane, zabieram Was do hotelu. Teraz, kiedy postawiliście stopy na tureckiej ziemi, jesteście wolni, nie potrzebujecie nikogo się obawiać. Wiem, że za Wami został przykry czas, od kiedy opuściliście swój kraj, starajcie się te złe wspomnienia zostawić za sobą.

Byliśmy mile zdziwieni tymi słowami. Wiedzieliśmy, że Turcja jest krajem neutralnym, ale nie oczekiwaliśmy tak wspaniałego przyjęcia. Brzmiało ono tak serdecznie, że nie wydawało się być prawdziwym. Po raz pierwszy na obczyźnie spotkaliśmy się z takim przejawem przyjaźni i gościnności, a nasz czarujący przewodnik dwoił się i troił, by pokazać nam jak najwięcej. Istanbul prezentował się bardzo interesująco, miasto natchnione historią, pełne pomników, meczetów, ruin, wielu tajemnic.

Pewnego dnia stało się dla nas jasnym, dlaczego nasz przewodnik jest dla nas tak uprzejmy. Zostaliśmy zaprowadzeni do muzeum, w którym mieściły się polskie sztandary zdobyte w czasie wojen z Polską. Turcy byli bardzo dumni z tych trofeów. Lecz on oznajmił jednocześnie, że mimo iż kiedyś Polacy byli nieprzyjaciółmi Turcji, to byli zarazem podziwiani i tak jest do tej pory. Kiedy Polska została podzielona i zniknęła z mapy Europy, Turcy nigdy nie zgodzili się z tym faktem. Polskie armie zawsze wzbudzały podziw nieprzyjaciół i oni nie mogli uwierzyć, że tak potężny nieprzyjaciel przestał istnieć! Polacy zawsze byli przyjmowani z honorami na bankietach państwowych, przy czym zawsze pozostawało jedno wolne miejsce w okresie utraty niepodległości. Na zapytanie odnośnie tego wolnego miejsca, nasz przewodnik odpowiedział: „Czekamy ciągle, aż to miejsce zajmie polski ambasador”. Pod koniec naszego, trwającego prawie 2 tygodnie pobytu, pożegnaliśmy czarującego

Istambuł i wyruszyliśmy do portu Mersin w południowej Turcji. Tam zostaliśmy zakwaterowani w małym hotelu, oczekując na dalszy bieg naszego przeznaczenia. Przewodnik nie chciał zdradzić żadnych szczegółów. Spędzaliśmy czas w możliwie najlepszy sposób np. polując na miejscowe dziewczyny.

Wykryliśmy, że byliśmy nazywani turystami generała Sikorskiego, która to nazwa była wymyślona i propagowana przez szyderczych Niemców.

IV. W SAMODZIELNEJ BRYGADZIE KARPACKIEJ

Wkrótce wpłynął do portu duży statek. Był to stary polski statek handlowy „Warszawa”. Pokryty rdzą, prawie wrak, wyglądał strasznie, powiewała na nim biało-czerwona flaga. Powiedziano nam, że zostaniemy na nim wkrótce zaokrętowani. Ostatnio nasza mała grupka zwiększyła się do ok. 200 osób. Weszliśmy na statek i pozostaliśmy na nim 2 dni. Wyczekiwanie to wyglądało dość tajemniczo!

Wreszcie przybył pierwszy oficer statku i na pokładzie oznajmił nam, że poszukuje 6-ciu ochotników z umiejętnością prowadzenia samochodu. Posiadałem tę umiejętność, którą nabyłem, wraz z wiadomościami z mechaniki i elektrotechniki, w szkole i dlatego zgłosiłem się. Oficer zabrał naszą małą grupkę i zaprowadził nas na rynek miasta. Znajdowałem się tuż za nim w momencie zatrzymania nas przez obcego mężczyznę. Zwrócił się do naszego oficera, mówiąc szybko w języku francuskim i wręczył mu zalakowaną kopertę. Nasz oficer otworzył kopertę i zaczął czytać pismo. Będąc bardzo blisko niego, spoglądałem przez jego ramię tak, że również mogłem czytać. Dowiedziałem się, że pismo zawierało polecenie dostarczenia 6-ciu samochodów ciężarowych ze stacji na statek. Była w nim również wiadomość tajna, że na statku znajduje się expremier i obecność jego na statku miała być chroniona szczególnie tajemnicą, bo istniała obawa dokonania zamachu na jego osobę¹⁰. Ta tajemnica zrobiła na mnie tak duże wrażenie, że nie mogłem oprzeć

10 Fakt ten można łączyć z biografią gen. dyw. Felicjana Sławoja Składkowskiego. Należy jednak zauważyć, że generał otrzymał zgodę na wstąpienie w szeregi PSZ dopiero 28 listopada, 8 stycznia znalazł się na pokładzie SS „Warszawa”, a do Hajfy dotarł 10 stycznia 1941 r. Gedeon Lorenc dotarł zaś do Hajfy już w październiku 1940 r. co potwierdzają dane archiwalne. Zob. M. Sioma, *Obcy wśród swoich: losy gen. dyw. Sławoja Felicjana Składkowskiego w latach 1939-1941*, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska. Sectio F Historia” 2000, t. 60, s. 203.

się pokusie podzielenia się nią z kimś. Po załadowaniu samochodów na pokład, poszukałem jednego z moich przyjaciół i powiedziałem mu o tej tajemnicy. Niestety, podsłuchał nas pewien nieprzyjemny typ i po prostu doniósł o tym kapitanowi statku. W ciągu kilku minut zostałem gwałtownie pochwycony i zaciągnięty do kapitana, który zażądał wyjaśnienia, w jaki sposób ta wiadomość do mnie dotarła. Byłem tak przestraszony, że po prostu zaprzeczyłem jakoby o tej osobie coś wiedział. Kręciłem jak tylko mogłem, aby uniknąć aresztowania i zamknięcia. Od tego momentu stałem się człowiekiem podejrzanym. Ten przypadek dał mi dobrą lekcję na przyszłość - tajemnice należy zatrzymywać tylko dla siebie! Nie byłem całkowicie pewny, ale wyczuwałem jednak, że przez dalszy okres służby wojskowej byłem obserwowany przez kogoś. To podejrzenie podążało za mną przez następne dwa i pół roku tak na Bliskim Wschodzie, jak i później w Tobruku.

W Tobruku właśnie byłem wezwany przez dowódcę twierdzy, gdyż doniesiono o posiadaniu przeze mnie cywilnego ubrania. Kiedy stawilem się przed nim, zapytał, czy to jest prawda. Na moją twierdzącą odpowiedź, kazał wyjaśnić, dlaczego przechowuję to ubranie. Wyjaśniłem, że byłem więźniem w Niemczech i gdyby Tobruk padł, zamierzałem przebrać się za cywila i uciekać, aby uniknąć represji od Niemców.

Ku mojemu zdziwieniu, przyjął on to wyjaśnienie jako wiarygodne i podstawne, pozwolił mi pozostawić ubranie, ale jednocześnie zaznaczył, abym z tego nie czynił rozgłosu.

Wróćmy jednak do Mersin. Statek nasz popłynął w Haify wraz z expremierem. Nie był on człowiekiem lubianym. Po wyjściu ze statku, zauważyliśmy oddziały Polskiej Brygady Karpackiej formowanej w Homs w Syrii od dwóch, trzech miesięcy. Tworzenie brygady odbywało się pod dowództwem gen. Kopańskiego, bardzo szanowanego człowieka, który później został Szefem Sztabu Armii Polskiej za granicą. Był znany, jako generał unikający parad, nigdy ich nie urządzał, poza jednym wyjątkiem, kiedy to wizytowany był Egipt przez ministra Anthony Edena w 1941 r. Początkowo brygada podlegała dowództwu francuskiemu, aż do upadku Francji. Następnie gen. Kopański przeniósł brygadę do Palestyny, wraz z całym wyposażeniem francuskim. Był tam mile widziany przez Brytyjczyków, gdyż mieli oni mało sił wojskowych w tym rejonie. Było wiele pozostałości francuskich w brygadzie jak umundurowanie, dokumenty, nie mówiąc już o broni - ja również posiadałem dokumenty osobiste w języku francuskim, posiadam je nawet do tej pory.

Zostaliśmy skierowani do małej wioski arabskiej Latrun niedaleko Jerozolimy. Znalazłem się w obozie ćwiczebnym dla rekrutów, gdzie przez 2 miesiące zdobywaliśmy wyszkolenie piechotne. Doznaliśmy wielu przykrości, ponieśliśmy dużo wyrzeczeń w podporządkowaniu się twardej dyscyplinie wojskowej. Nieraz miałem kłopoty ze złośliwym podchorążym, który przed wojną zabiegał o stopień oficerski. Znęcał się nad nami, młodymi rekrutami, zmuszał nas do biegania w terenie pagórkowatym w czasie pulsującego żarem powietrza, nakazywał ciągle czyszczenie broni, rozbieranie broni na części i jej montowanie, niekończące się przeglądy. Oczywiście, w jego oczach broń nigdy nie była dostatecznie wyczyszczona.

Pewnego razu straciłem cierpliwość. Przyszedł on do naszego namiotu, dokonał przeglądu mojego karabinu i oświadczył, że jest on źle wyczyszczony, nakazał mi powtórzyć od początku całą tę ceremonię. Odpowiedziałem bardzo niegrzecznie, zirytowany, bo spędziłem już kilka godzin przy tym karabinie. Wtedy on zamierzył się na mnie i w momencie, kiedy chciał mnie uderzyć, chwyciłem najbliższy bagnet i byłbym go przebił, ale na szczęście jeden z kolegów zatrzymał moją rękę. Byłem tak wściekły, że nie kontrolowałem siebie. W ogóle byłem przybity przeciągającą się wojną. Mój prześladowca udał się wprost do dowódcy i oczywiście zostałem ukarany - byłbym postawiony przed sądem wojennym, ale nie byłem jeszcze zaprzysiężonym. Zamiast wyroku sądowego, otrzymałem karę polegającą na staniu na baczność w ciągu 2 godzin, w pełnym rynsztunku podczas straszliwego upału. Dyżurny sierżant usiadł naprzeciwko mnie, zwracając uwagę na moją postawę „baczność”, nie wolno mi było wykonać najmniejszego ruchu. Była to straszliwa męczarnia, w dodatku, wokół mnie krążyły chmury much i dokuczały mi nieznośnie. Gdybym wykonał jakikolwiek ruch, przebyty czas kary był kasowany i kara rozpoczynała się od początku! Tak też się stało dwukrotnie. Po poruszeniu się po raz trzeci, wytrzymałem jeszcze ok. 15 minut i zemdlałem. A sierżant wylał po prostu na mnie kubel wody, zmuszając mnie do wstania, aby znowu liczyć czas od nowa. Nie mogłem sobie wyobrazić, jakby to karne ćwiczenie się zakończyło, ale tak się złożyło, że przechodził obok mnie oficer rezerwy. Zobaczył, co się dzieje, a okazawszy się ludzkim człowiekiem, udał się natychmiast do dowódcy. Ten spowodował moje uwolnienie, kara została zakończona.

Stopniowo nasza jednostka stawiała się coraz sprawniejsza. Mieliśmy pewien swoisty problem z osobą księcia S., znanym arystokratą. Przesłużył on 48 miesięcy w armii przedwojennej, ale okazał się człowiekiem bezużytecznym, powiadaliśmy, że ma dwie lewe ręce. Bardzo niezgrabny, ale obdarzony osobistym urokiem. Byliśmy do niego przychylnie ustosunkowani przy prowadzeniu szkolenia i ćwiczeniach, jednak jego wrodzony antytalent wojskowy, opóźniał dochodzenie naszej jednostki do pełnej gotowości bojowej.

W końcu zostaliśmy zaprzysiężeni i wysłani do Egiptu, dołączyliśmy do brygady w miejscowości Mex obok Aleksandrii. Tutaj przygotowywaliśmy drugą linię obrony na wypadek przerwania frontu przez nieprzyjaciela, który znajdował się wówczas w pobliżu Marsa Matruh w środku zachodniej pustyni. Front nie stanowił linii ciągłej, był rozproszony, rozbity na wiele odcinków a sceneria roztaczającej się wokół nieprzyjaznej, niegościnniej ziemi, dodawała posmaku grozy.

Po pierwszej klęsce marszałka Graziani, zadanej przez siły australijskie, będące wtedy główną siłą w tym rejonie, Hitler był przerażony rozmiarem tej klęski - wojska włoskie straciły 250 tys. żołnierzy. Wysłał on na pomoc generała Rommla na czele dwóch, specjalnie wyszkolonych do walk pustynnych, dywizji. Żołnierze niemieccy byli wypoczęci, dobrze prezentujący się i o wiele przewyższali Włochów poziomem bojowym. Po wylądowaniu w Tripolitanii, Rommel włączył do swoich sił resztki oddziałów włoskich ocalonych z pogromu. Razem, wojska te stanowiły potężne zagrożenie Egiptu, jak również Iraku i Iranu ze względu na zasoby ropoносne tych ostatnich.

W tym czasie jedyną siłą pociągową naszej brygady były muły i wielbłądy. One ciągnęły całe nasze wyposażenie począwszy od broni lekkiej, aż po połowe działa. Nie posiadaliśmy żadnej motoryzacji, za wyjątkiem niewielu przestarzałych tankietek, jedynie nieliczne z nich wyprodukowane zostały po pierwszej wojnie światowej. Nawet artyleria i karabiny nasze pamiętały lata 1914-1918. Nowoczesna armia hitlerowska górowała nad nami pod każdym względem.

W owych dniach nikt nie mógł przewidzieć tragicznego końca „Lwa Pustyni”. Hitler nakazał Rommlowi popełnić samobójstwo, kiedy się wyjaśniło, że był on zaangażowany w spisek przeciwko Hitlerowi w 1944 r. Rommel, cieszący się dużą sławą generała, musiałby zostać oskarżony o zdradę Trzeciej Rzeszy a tego Hitler chciał uniknąć.

Zostałem skierowany do Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej pod dowództwem pułkownika G., który przed wojną był wykładowcą w Akademii Wojskowej¹¹. Chociaż nie był oficerem liniowym, posiadał wiele wiedzy fachowej w zakresie sprzętu artyleryjskiego, którą przekazywał nam ku obopólnej satysfakcji.

W międzyczasie myśli nasze kierowały się z dużą tęsknotą do Aleksandrii. Staraliśmy się o przepustki, by popatrzeć na egipskie dziewczęta. Miasto pełne było obcokrajowców: Greków, Francuzów, Turków i Włochów, wielu z nich zajmowało się handlem. Duża część miejscowych Arabów bez żadnego zawodu, przy rozległym bezrobociu, żyła w nędzy. Egipska jednostka walutowa posiadała wartość jednego funta angielskiego, liczyła 1000 milimów. Robotnik arabski otrzymywał za proste prace jedynie 30 milów dziennie, prosty rachunek! Bezrobotni zamiast ubrań, okryci byli lachmanami, zawsze głodni, żalosny to był obraz.

Otrzymać przepustkę nie było łatwo. Za dobre sprawowanie, sierżant miał prawo wydać przepustkę na 1 dzień, ale trafiało to się bardzo rzadko.

Pewnego dnia nadarzyła mi się okazja wydostania się na wolność pod pozorem wzięcia udziału w ćwiczebnej jeździe australijskiego czołgu. Zaprzyjaźniłem się bardzo z dwoma czołgistami. Załoga tego starego czołgu, oprócz nich, składała się jeszcze z sierżanta i kierowcy. Próby nawiązania rozmowy z nimi okazały się niezmiernie trudne, mój angielski był jeszcze mocno ograniczony. Moje wysiłki w celu porozumienia się były bardzo zabawne, lecz przy pomocy gestów w końcu zrozumiałem, że oni zapraszają mnie na wycieczkę do Aleksandrii. Jeszcze jeden z Polaków został również zaproszony, dołączył do nas i w sześciu wsiedliśmy do małego czołgu. Sierżant kazał ruszyć. Po dojechaniu do miasta i błakaniu się po ulicach przez spory czas, kierowca pechowo wjechał na chodnik i zniszczył go na odcinku ok. 50 metrów. Egipska policja polowała na nas przez jakiś czas, a może tylko udawała, że to robi, bo wkrótce zrezygnowała. Uciekaliśmy szybko z tego miejsca. Niebawem znaleźliśmy knajpę, zaczęliśmy próbować arak i inne doskonałe trunki. Po wypiciu kilku kolejek, zdecydowaliśmy się odwiedzić nocny, atrakcyjny klub przy plaży, którego właścicielem był Grek. Był właśnie późny wieczór,

11 Dowódcą Karpackiego Pułku Artylerii był pplk. Stanisław Gliwicz (1899-1969). Przed wojną m.in. wykładowca Wyższej Szkoły Wojennej.

uczta dalej trwała, muzyka, dancing i pełno dziewczyn rozmaitej urody. Atmosfera była wspaniała, rozbawiony tłum, wesołość miejsca udzieliła się nam była to przecież pierwsza nasza noc na wolności i to bez przepustki!

Kłopot nadszedł nieoczekiwanie szybko. Gościło tam również sporo lotników angielskich z pobliskiej jednostki. Dwóch z nich, w tym jeden pilot, zapytali nas, czy mogą dołączyć do naszego stolika, bo nie było wolnych miejsc. Naturalnie wyraziliśmy zgodę, byliśmy w dobrym nastroju, otwarci dla wszystkich i Anglicy dołączyli do nas. Sierżant właśnie kończył swój śpiewaczy występ piosenką „Jest długa droga do Tipperary”¹² i zaproponował toast. Jego sześciostrażowy rewolwer zwiślał na rzemieniu przytwierdzonym do pasa głównego wg. regulaminowego sposobu, stosowanego przez załogi czołgowe. Sposób ten jednak nie był najszcześniejszy. Sierżant nalegał, abyśmy wszyscy wstali do toastu. Młody pilot dostosował się również do tej propozycji i w chwili, kiedy podniósł swój kieliszek, rozległ się wystrzał. Tylko nóżka kieliszka pozostała w jego ręce, krew pokazała się na jego czole, przekonując mnie, w moim stanie upojenia, że sierżant nieumyślnie zastrzelił pilota. Sierżant stojąc, zamarł w bezruchu, trzymał w ręku nieszczęsny rewolwer. Wszyscy otrzeźwieli, muzyka przestała grać, powstało wielkie zamieszanie. W następstwie szoku pilot był trupio błyśnięty, ale ciągle stał i od razu stwierdziliśmy, że nie został on zastrzelony, po prostu kula rozbiła tylko kieliszek, a odpryski szkła poraniły jego czoło. Wypadek ten jednak był szokujący. Nie było czasu do stracenia. Wyrwaliśmy z tego miejsca jak psy gończe, nie czekając na żandarmerię wojskową, której nie pozostałoby nic innego, jak tylko nas zamknąć. Odnaleźliśmy nasz czołg, wtoczyliśmy się do niego i nasz pijany kierowca ruszył w kierunku naszego obozu. Zadziwiającym było, że on w ogóle go odnalazł, wysadził nas blisko naszego namiotu i udał się w kierunku własnego obozu, odległego o kilkanaście kilometrów. Nigdy już nie słyszeliśmy o nim.

Wreszcie zostaliśmy wyposażeni w nowe uzbrojenie w postaci dział 25-funtowych. Każde z nich ciągnięte było przez uzbrojony ciągnik, z wystarczającym

12 Piosenka pod tytułem *It's a Long Way to Tipperary* została skomponowana w 1912 r. przez Jacka Judge'a, brytyjskiego sprzedawcę ryb i twórcę piosenek. Tytułowe Tipperary to miasto w Irlandii, a tekst piosenki nie ma wiele wspólnego z wojskiem. Utwór zyskał jednak ogromną popularność podczas I wojny światowej wśród żołnierzy Zjednoczonego Królestwa. Słowa *It's a Long Way to Tipperary* urosły wówczas do rangi symbolu długiej drogi do domu, ukochanej, rodziny, końca wojennej udręki i wyrzeczeń.

miejszem dla całej załogi działa, zaopatrzonym w foteliki, amunicja umieszczona była w dwukołowych przyczepach. Ja zostałem kierowcą ciągnika.

Po przeprowadzeniu odpowiednich treningów, cała nasza brygada otrzymała rozkaz wymarszu na zachód do Marsa Matruh, ok. 200 mil na wschód od granicy egipsko-libijskiej. Była to mała arabska osada nadmorska i stąd front znajdował się już blisko. Oddziały nasze były w ciągłym ruchu, ponieważ linia frontu w tym czasie nie była stabilna, co znaczyło, że jednego dnia mógł on przebiegać przez Marsa-Matruh, a w dniu następnym równie dobrze kilka kilometrów do przodu, albo cofnięty. W tej sytuacji nieprzyjaciel, a miał on przewagę, mógł atakować z każdego kierunku. W takich to okolicznościach przebywała brygada w rejonie Marsa Matruh w ciągu trzech miesięcy.

Nagle otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia w kierunku wschodnim do rejonu Aleksandrii i założenia tam obozu. Obowiązywała tam szczególnie wysoka tajemnica wojskowa. Wkrótce pewnej nocy nadszedł nowy rozkaz wymarszu z nieznanym nam celem. Znaleźliśmy się na terenie portu Aleksandrii i zostaliśmy zaokrętowani na statek handlowy. Uformowany został konwój złożony z siedmiu statków i odpłynęliśmy pod osłoną ciemności nocy bez żadnej eskorty morskiej. Stało się dla nas jasnym, że płyniemy w kierunku Grecji, dla wzięcia udziału w powstrzymaniu inwazji niemieckiej. Kilka jednostek australijskich zostało już tam uprzednio wysłanych, ale główne dowództwo w Kairze zdecydowało o skierowaniu naszej brygady dodatkowo dla wzmocnienia przeciwdziałania. Siedem statków płynęło razem przez następny dzień, ale niebawem nadszedł dziwny rozkaz. W myśl tego rozkazu, kapitan naszego statku opuścił konwój i wrócił do Aleksandrii. Polacy mieli być skierowani gdzieś indziej.

Pozostałych sześć statków kontynuowało podróż, ale jak się później okazało, nie dotarły one do portów greckich. Były one ciężko bombardowane. Część wojska znalazła się na Krecie, część zniszczona, wzięta do niewoli, niewielu wróciło do Egiptu. W ten sposób zakończyła się kampania grecka.

Po powrocie do Aleksandrii, opuściliśmy statek z całym ekwipunkiem i wróciliśmy do tego samego obozu, który tak niedawno i tak raptownie opuściliśmy. Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, co z nami będzie, a nadchodziły bardzo ponure nowiny. Po niedługim czasie otrzymaliśmy znowu rozkaz o ponownym

tajemniczym wymarszu. Stało to się o północy. Zostaliśmy poderwani z głębokiego snu, polecono nam szybkie ubieranie się. Przejeli nas nieznani wojskowi, nakazując włożenie pantofli tenisowych o gumowych podeszwach. Obowiązywała idealna cisza. Nadjechał długi konwój angielskich ciężarówek, które przetransportowały nas znowu do portu w Aleksandrii, gdzie zostaliśmy zaokrętowani tym razem na sześciu niszczycielach angielskich. Opuszczenie portu odbyło się w kompletnych ciemnościach, co dawało prawie całkowitą pewność, że nie byliśmy zauważeni przez egipskich Arabów.

Rozeszła się plotka, że udajemy się do neutralnej Turcji, ale skoro tylko słońce wzeszło, zorientowaliśmy się, że kurs nasz prowadzi na zachód, ciekawe tylko dokąd? Za Marsa Matruh znajdował się Tobruk, miasto forteczne, wiedzieliśmy, że jest ono oblężone przez Niemców. Około południa zostaliśmy zaatakowani przez włoskie lekkie bombowce. Zrzucili kilka niecelnych bomb, prawdopodobnie zostały one odstraszone przez eskortę brytyjską. Jeden z samolotów nieprzyjacielskich został zestrzelony, a pilot uratowany przez jednego z naszych niszczycieli.

Następnego wieczoru płynęliśmy wolno, zostaliśmy zaatakowani tym razem przez włoskie lekkie bombowce torpedowe. Nasz okręt w pewnym momencie wykonał ostry skręt przed torpedą i uszedł cało. Wreszcie cały konwój zatrzymał się na otwartym morzu. Nie wiedzieliśmy wtedy, że znaleźliśmy się kilka mil od Tobruku.

Nie mogliśmy dopłynąć do portu, ponieważ był on zablokowany przez zatopione statki, a ponadto byłoby to niebezpieczne ze względu na niemieckie baterie dalekiego zasięgu. Nadpłynęły łodzie, aby nas zabrać na ląd, wchodziły one w skład wyposażenia specjalnych oddziałów przewidzianych do ewentualnej ewakuacji portu. Jednocześnie nastąpiła wymiana żołnierzy. Zajęliśmy stanowiska po oddziałach australijskich, które przetrwały pięciomiesięczny okres oblężenia po uprzednich walkach na pustyni. Zasługiwali w pełni na odpoczynek. Przejęliśmy także od nich wyposażenie. Tak wyglądało nasze przybycie do Tobruku!

Zajęliśmy 3 pozycje na zachodnim odcinku oblężenia obok brytyjskich i hinduskich oddziałów. Rozpoczęła się dla nas epopeja tobrucka, która miała potrwać 4 miesiące.

Dowódcą garnizonu był generał - pułkownik Morshead, Australijczyk z Sydney. Był bardzo zdolnym i poważanym dowódcą. Obrona Tobruku trwała łącznie

8 miesięcy w nieznośnych warunkach życia, przypominających warunki w ciężkich obozach. Nie mieliśmy świeżej wody ani chleba, a małe porcje żywnościowe nie zawsze nadawały się do spożycia. Znalazły się wprawdzie niewielkie zapasy zdobycznego wina włoskiego, jednak szybko się one skończyły. Było trochę włoskiego, wspaniałego rumu, otrzymywaliśmy codziennie małą porcję tego trunku. Jediną naszą wodą do spożycia była woda morska, filtrowana wprawdzie, ale nie destylowana, co pozwoliłoby ją odsolić, w zasadzie była niezdatna do picia. Po naszym nocnym przybyciu do Tobruku, pewien Australijczyk poczęstował nas herbatą. Pociągnąwszy łyk, wypłułem ją natychmiast i powiedziałem moim łamanym angielskim, że nigdy nie będę tego pić. Wtedy on zapewnił mnie, że na pewno będę pić taką herbatę, bo tu innej nie ma. Miał rację, piłem tę herbatę, a w końcu przyzwyczaiłem się do niej. Później, po powrocie do Egiptu, dodawaliśmy w restauracjach do naszych filiżanek herbaty czy kawy sporo soli ku osłupieniu innych, nie do uwierzenia!

Tobruk był w zasadzie odcięty od reszty świata. Jedyny, bardzo ograniczony kontakt, dostępny był od strony morza. Zaopatrywanie odbywało się statkami, które jednak ciągle narażone były na ataki torpedowe. Niekiedy statki musiały przedzierać się wśród mielizn i wraków. Również nasz statek „Warszawa” używany był do przewozu amunicji. Rozładunek odbywał się na małe łodzie pod osłoną nocy. Generalnie, transporty odbywały się właśnie w taki sposób, po czym należało szybko wycofywać statki na pełne morze. Statki tonęły od czasu do czasu i niestety, nasza „Warszawa”, po wielu atakach, stała się także ofiarą, ale załoga przeżyła, łącznie z lekarzem okrętowym, którym była kobieta w wieku ok. 30 lat. Faktycznie była ona jedyną kobietą, która znalazła się w tobruckiej twierdzy.

Jej obecność przywiodła mi pewne kłopotliwe, a zarazem zabawne wspomnienia. Po raz pierwszy spotkałem ją w czasie zaokrętowania w Turcji, gdzie każdy z nas musiał zostać poddany badaniu lekarskiemu. Po wejściu do jej gabinetu, otrzymałem polecenie całkowitego rozebrania się. Nie chciałem wierzyć własnym uszom! Nigdy przedtem nie byłem rozebrany w obecności kobiety! Zawstydzony, stałem po prostu jak wielbłąd, nie ruszając się. W międzyczasie była czymś zajęta, po czym odwróciła się i widząc mnie ciągle jeszcze ubranego ryknęła: *„Co ty sobie wyobrazasz, po co ja tu jestem? Marnujesz tylko mój czas, rozbieraj się!”* Nie miałem wyjścia, musiałem

wykonać jej polecenie i zrobiłem to szybko. Otrzymałem świadectwo przydatności do służby wojskowej. Pobyt tej lekarki w Tobruku był krótki, została zabrana przez następny odpływający niszczyciel.

Pierwszeństwo w dostawach miała żywność, w drugiej kolejności amunicja. Chleba jednak nie otrzymywaliśmy, jedynie tak zwane „psie biszkopty”, konserwy i ryby. Nie posiadaliśmy czołgów ani samolotów. Bardzo mało lekarzy i jeden tylko dentysta.

Na nieszczęście zabolał mnie ząb, udałem się więc do tego dentysty z prośbą o pomoc. Wyglądał on bardziej na rzeźnika niż na lekarza! Nie dał mi znieczulenia i wyrwał mi bolący ząb, a raczej jego połowę, reszta pozostała w dziąśle. W tym momencie rozległ się sygnał alarmu lotniczego, zaczęło się bombardowanie portu. Mój dentysta wybiegł z wielkim pośpiechem do schronu, pozostawiając mnie siedzącego na skrzynce po amunicji. Do diabła z taką opieką dentystyczną!

W Tobruku spotkałem bardzo interesującego człowieka, księcia L.¹³ Pochodził z bardzo starego polskiego rodu dobrze znanego i odgrywającego znaczną rolę w historii Polski od 800 lat. Piękny jest ich pałac. Studiował w Anglii i stąd znał angielski perfect. W Tobruku robił wszystko, aby otrzymać stopień pułkownika. Później, znajdując się w gronie wyższych oficerów, byłem świadkiem wielu żartów na temat jego promocji do tego stopnia.

Innym ciekawym człowiekiem, z którym zaprzyjaźniłem się, był Józef S. kadet artylerii¹⁴. Z dowódcy działa awansował później na stanowisko dowódcy baterii specjalnej.

Posiadaliśmy dużo zdobycznego włoskiego uzbrojenia pochodzącego z okresu lat 1914-1918. Pozwoliło nam to podwoić siłę ognia. Włoskie pociski składały się z pięciu części każdy, które były składowane w różnych skrzyniach. Odszukanie tych części w warunkach bojowych, a następnie zmontowanie pocisku, stanowiło duże utrudnienie. Posiadaliśmy ich jednak w wielkiej, prawie nieograniczonej ilości. Mogliśmy prowadzić stały ogień. Nasi australijscy przyjaciele żartowali z nas, byliśmy nazywani przez nich hałaśliwymi Polakami! Józef S. spowodował, że stałem się dowódcą działa.

13 Marek Lubomirski (1920-1987), syn Tomasza Lubomirskiego herbu Drużyna. Pod Tobrukiem walczył w składzie Pułku Ułanów Karpackich. W Wielkiej Brytanii przeszedł przeszkolenie na nawigatora i służył w 305 Dywizjonie.

14 Ogniomistrz podchorąży Józef Szczotka z 4 baterii (odpowiednik sierżanta podchorążego w piechocie).

Pewnej nocy miał miejsce straszliwy wypadek, który zdarzył się w sąsiedniej załodze dział. Ich włoskie działo po prostu eksplodowało przy wystrzale, lufa rozleciała się na kawałki, cała załoga zginęła. Wstający rano bardziej uwidocznił okropność wypadku - zbieraliśmy szczątki kolegów, urządziliśmy pogrzeb.

Od tego momentu używaliśmy długich na 12 stóp łańcuchów do odpalania dział, sami ukrywaliśmy się za osłoną z piasku. Życie w Tobruku obfitowało w różne inne tragiczne wypadki, ten uczulił nas bardzo na włoskie działa.

Pewnego razu zostałem wciągnięty do buntu. Zrodził się on przeciwko jednemu kapitanowi, dowódcy baterii. Był oficerem zawodowym, zbyt przesadnie podchodził do dyscypliny wojskowej. Nasza akcja nie byłaby do pomyślenia w przeciętnych warunkach frontowych, groziłby sąd wojenny i rozstrzelanie. W Tobruku jednak nie były stosowane te sądy. Z zatargu tego wyszliśmy zwycięsko, kapitan został zawieszony w dotychczasowych czynnościach, pozostał tylko formalnie na swoim stanowisku przez pewien czas.

Brygada Karpacka była jednostką wyjątkową. Ponad 30% żołnierzy posiadało wykształcenie średnie lub wyższe - nie do pomyślenia w przeciętnej jednostce w latach 1940/41. Wielu żołnierzy w brygadzie było uciekinierami, wyrastali w różnych warunkach, w różnych regionach o odmiennych poglądach i doświadczeniach życiowych. Różnice te dawały również znać o sobie wśród wojskowych tych samych stopni. Żołnierze byli zaprzyjaźnieni z oficerami, nikt nikomu nie oddawał honorów i nikt nie oczekiwał od nikogo formalnego okazywania respektu. W oczach innych byliśmy oceniani, jako skrajnie zdemoralizowana jednostka. Ktoś z zewnątrz nie mógłby zrozumieć, jak może istnieć jednostka tak niezdyscyplinowana, bo nie wiedział, że nasza dyscyplina wewnętrzna była przestrzegana bez zarzutu. Żołnierze faktycznie darzyli swych oficerów wielkim respektem, wykonywali ich rozkazy z wielką pieczołowitością, a oficerowie traktowali nas sprawiedliwie, wyrozumiale, wykazując przy tym należytą troskę o swoich podwładnych.

Nasza 4-miesięczna obrona Tobruku zakończyła się pomyślną ofensywą generała Auchinlecka¹⁵, rozpoczętą w Egipcie i rozwijającą się w kierunku Libii. Mieliśmy nadzieję na zasłużony odpoczynek, stało się jednak inaczej.

15 Claude John Eyre Auchinleck (ur. 21 czerwca 1884 w Aldershot, zm. 23 marca 1981 w Marrakeszu) – brytyjski generał, żołnierz obu wojen światowych, od 1946 r. marszałek polny, noszący pseudonim The Auk („Alka”).

Brytyjskie oddziały zbliżyły się do Tobruku od wschodu i południa, a oblężona załoga otrzymała rozkaz przebicia się przez niemiecki pierścień i dołączenia do sił brytyjskich. Rommel przewidział tę operację. Skierował on ok. 200 czołgów i artylerię w teren oddzielający nas od Anglików. Przerwaliśmy wprawdzie linie niemieckie, ale staliśmy się dalej tylko świadkami wielkiej bitwy pancernej, która rozegrała się w pobliżu miejscowości Sidi Rezegh, niedaleko na południe od Tobruku. Brytyjczycy, dysponując przed bitwą 300-ma czołgami, ponieśli olbrzymie straty, ocalało jedynie 70 czołgów, bitwa była przegrana, choć Niemcy ponieśli również duże straty.

Mądra taktyka Rommla zaowocowała w tej bitwie. Każdy z jego czołgów/ciągników ciągnął działą połowe. W razie potrzeby czołg ostrzeliwał nieprzyjaciela z broni maszynowej i z działka, załoga zeskakiwała z czołgu, odprzodkowywała działą, znajdowała się w pełnej gotowości do oddania strzału. Kiedy mogli już oni rozpocząć ogień, czołg ruszał z miejsca, umożliwiając załodze prowadzenie ognia. Operacja ta trwała dosłownie sekundy. Siła pocisku przeciwpancernego oddanego z działą polowego, wystarczała do zniszczenia brytyjskiego czołgu. Alianci szybko przejęli te skuteczną taktykę i stosowali ją w dalszych bojach.

Krótko potem nadeszły dalsze siły brytyjskie i po dramatycznych walkach, połączyły się z garnizonem tobruckim. Wspólne nasze siły rozpoczęły pościg za nieprzyjacielem. Doszło do dużej bitwy między naszą brygadą a siłami niemiecko-włoskimi pod Gazelą. Dalszy pościg napotkał jednak na różne przeszkody i został zaprzestany po dotarciu do Tripolitanii. Stacjonowaliśmy w rejonie Cyrenajki przez kilka miesięcy. Przez ten czas Rommel, po otrzymaniu 2 nowych dywizji z Niemiec, zreorganizował swoje siły. Rozpoczął on nową ofensywę, zadał aliantom znowu olbrzymie straty w bitwie pancernej w trójkącie Masus - Antalat - Saunu na zachód od Tobruku. Nasza brygada wycofała się do Gazeli. Front ustabilizował się na kilka miesięcy. Nasz pułk artylerii został w międzyczasie skierowany do zdobycia twierdzy Bardia, w której pozostały siły niemiecko-włoskie po ostatniej ofensywie aliantów. Bardia dostała się w nasze ręce.

W końcu maja Rommel wznowił ofensywę, zadał kolejne straty aliantom, dotarł do sławnego El Alamein oddalonego o 110 km od Aleksandrii.

To ostatnie działo się już bez udziału naszej brygady, która w połowie marca została wreszcie zluzowana przez oddziały południowoafrykańskie i przeniesiona do Egiptu.

Nie jest moim zamiarem o posunięciach taktyczno-strategicznych tu rozprawiać. Zrobili to historycy w wielu wydaniach książkowych i artykułach prasowych. Zrobił to również w sposób amatorski mój kolega z sąsiedniej baterii, nieżyjący już Zbigniew Śmietana. Wydana przez niego w 1986 r. książka pt. „*Okruchy z tobruckiego chlebaka*”, to odtworzone wspomnienia z pamiętnika pisanego w dniach wojny. Walorem tej książki jest autentyczny zapis, o codzienności życia żołnierskiego, z jego utrapieniami, niebezpieczeństwami, odczuciami, ale również o dniach rozrywki. Moje życie żołnierskie na Bliskim Wschodzie i w Afryce biegło równoległe z życiem autora. Nazwisko moje wielokrotnie występuje w wierszach tej książki.

Znalazłem się w obozie w pobliżu Aleksandrii. Zostałem wybrany do Szkoły Oficerów Artylerii, /oczywiście Zbigniew również/ gdzie pozostałem w ciągu 8 miesięcy. Po pomyślnym zakończeniu szkoły, zostałem skierowany do nowo powstającego oddziału artylerii, który wchodził również do działań organizacyjnych przekształcających Samodzielną Brygadę Karpacką w dywizję, w czym dopomogła personalnie fala uchodźców przybyłych z Rosji. Dywizja, która stacjonowała już w tym czasie w Palestynie, wyruszyła przez Jordanię do Mosulu nad Tygrysem w północnym Iraku. Ten ruch dywizji miał na celu ewentualne przeciwdziałanie w próbie zajęcia przez Niemców pól naftowych w Zatoce Perskiej.

Pojawił się nowy, ważny problem. Do rejonu blisko-wschodniego przybyło ok. 130 000 Polaków, uwolnionych przez Stalina z różnych obozów przymusowej pracy. Zamiarem naszych władz na tę okoliczność, było sformowanie dodatkowej dywizji na tym terenie. Nie było to proste, gdyż przybysze ci prezentowali się bardzo źle, niedożywieni, chorzy, ogólnie mówiąc stan ich zdrowia był bardzo kiepski. Wymagali dużej opieki lekarskiej, by stać się ludźmi pełnosprawnymi. Rozpoczął się dla nich czas intensywnej rehabilitacji, zostali rozmieszczeni w różnych miejscach na terenach Bliskiego Wschodu, najwięcej ich znalazło się w Iraku.

Następne moje dni związane były z monotonną służbą w garnizonie, włączając w to szkolenie rekrutów, pogłębianie własnej wiedzy, manewry. Zostałem dowódcą posterunku obserwacyjnego Nr. 5 w II Oddziale Artylerii¹⁶, którym dowodził po-

16 5 batalion 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej z 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Jednostka stacjonowała wówczas w Khanqin w Iraku.

rucznik M. Nie był on przydatny do tego stanowiska. Prowadziło to do częstych konfliktów między nami, szczególnie w czasie szkolenia. Ja, choć młody wiekiem, ale ze świeżo nabytymi w szkole wiadomościami i mając za sobą doświadczenia wojenne wiedziałem, co robię! Mój dowódca nie czuł się pewnie.

Przy jednej szczególnej okazji w czasie dywizyjnych manewrów w pustyni, przybyło sporo oficerów wyższych stopni w celu przeprowadzenia inspekcji zajęć. Tak się złożyło, że mój posterunek obserwacyjny baterii znalazł się pod nadzorem kontrolujących oficerów. Jeden z nich zapytał mnie:

- *Gdzie jest pański dowódca?*

- *On jest gdzieś na tyłach naszej pozycji* - odpowiedziałem.

Ta odpowiedź nie usatysfakcjonowała go.

Inny oficer zapytał:

- *W takim razie, kto pan jest?*

Przedstawiłem się jako oficer obserwacyjny. Nastąpiły zwykłe podchwytliwe pytania na temat naszego zadania. Zostałem pouczony, że w czasie nieobecności mojego dowódcy, ja jestem jego zastępcą, a jako taki powinienem wiedzieć więcej. Jeden z kontrolujących oficerów powiedział na zakończenie, że żadna z moich odpowiedzi ich nie zadowala. Pozostałem rozwścieczony, ponieważ mogłem w ich oczach być uważany za bardzo nieporadnego oficera, niezdolnego do zastępowania dowódcy. Jego pierwszym obowiązkiem było być na miejscu. On po prostu umyślnie zniknął, nikt nie wiedział, gdzie on się znajduje. Postanowiłem ujawnić jego zachowanie.

Ten przypadek wpłynął ostatecznie na moją decyzję wydostania się z armii lądowej i próby wstąpienia do lotnictwa, gdzie powstało spore zapotrzebowanie na nowe kadry. Miałem dość aktualnej atmosfery, dość piasków, chamsinów, pcheł, upałów i innych codziennych „czarów” Bliskiego Wschodu. Mój dowódca patrzył na mnie wilkiem, chętnie pozbyłby się mnie, ale jak się okazało, nie było to takie proste.

Złożyłem podanie do dowództwa pułku z prośbą o przeniesienie. Zostałem w związku z tym zbadany przez lekarza pułku, który zakwalifikował mnie za niezdolnego do służby w lotnictwie. To orzeczenie zadziwiło mnie bardzo, wyglądało zabawnie, podejrzewałem, że nie jest ono zgodne z prawdą. Stawiłem się po raz dru-

gi u tego samego lekarza i wtedy powiedział, żebym mu nie zabierał czasu i radził mi pozostać w dotychczasowej służbie. Było dla mnie jasnym, że moje doświadczenie i wyszkolenie stanowią o mojej przydatności w artylerii. Były one też motywem do zamknięcia mi drogi w zamiarach przeniesienia się do lotnictwa, negatywne świadectwo lekarskie zamiary moje przekreślało.

Pozostałem jednak przy mojej decyzji, gdyż przerażała mnie myśl o współpracy z moim dowódcą, szczególnie, gdy nadejdzie czas akcji bojowych. Napięta atmosfera narastała również między mną a moim wyższym przełożonym. On właśnie rozkazał mi pewnego dnia wykonać określone zadanie. Odmówiłem. Wtedy zgłosił mnie do raportu u swego dowódcy. Przedstawiłem swoje racje i otwarcie wszcząłem z nim kłótnię. Nie miał on innego wyjścia, jak tylko zgłosić mnie do raportu wyżej. W rezultacie tego został zwołany sąd koleżeński, składający się z dowódców 3-ch baterii. Mój dowódca wydawał się nie rozumieć co się dzieje, próbował mnie uspokajać i przekonać, bym pozostał dalej na dotychczasowym miejscu. Dowódca pułku nie widział tej sprawy jak ja, zadawał mi szereg pytań¹⁷. Pytał np. o moje nazwisko, pochodzenie, narodowość, patriotyczny stosunek do kraju itp. Zadawał mi tyle pytań, że w końcu wybuchnąłem i oświadczyłem mu, że moje nazwisko było wystarczająco dobre przez 300 lat w Polsce i dotąd jest dobre, a jeśli chodzi o moje poglądy polityczne, to one nie mają nic wspólnego z armią. Powiedziałem też jemu grzecznie, że jego nazwisko również nie jest typowo polskie, co z kolei doprowadziło go do wściekłości. Wydał on naturalnie najwyższy przysługujący mi wymiar kary, tj. jeden miesiąc aresztu, lecz wyrok ten nigdy nie został wykonany. Prawie natychmiast zostałem zakwalifikowany do przeniesienia do lotnictwa, do Polskich Oddziałów przy Królewskich Siłach Powietrznych w Anglii. Zostałem powiadomiony, że moje dokumenty, włączając w nie również wyrok ostatniego sądu, będą przesłane do mojego nowego miejsca służby. Jak się okazało, zostały one przesłane statkiem, ale trafiony przez torpedę statek ten zatonął. Tak, więc dokumenty moje znalazły swój koniec na dnie morskim.

17 Dowódca 2 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej w okresie służby bomb. pchor. Gedeona Lorenca był mjr Józef Hildebrandt.

V. W POLSKIM LOTNICTWIE

Opuściłem wreszcie armię na Bliskim Wschodzie i z początkiem marca 1943 r. dostałem się na francuski statek „Ile de France”¹⁸, który wyruszył z Port Said. Płynęliśmy przez Kanał Sueski, Ocean Indyjski wzdłuż Madagaskaru do miasta Durban. Miasto to wydało się rajem. Mieliśmy zezwolenie na opuszczenie pokładu i wyjścia do miasta. Bawiliśmy tu ok. tygodnia.

W międzyczasie statek został zapełniony ludźmi, przeważnie cywilami z różnych stron Afryki tak, że w końcu liczba pasażerów wynosiła ok. 10.000! Ten największy pasażerski statek Francji wydawał się być pływającym miastem. Jego kapitan głowił się nad wybraniem bezpiecznej trasy, chodziło o uniknięcie wykrycia statku przez nieprzyjacielskie łodzie podwodne. Naszym następnym napotkanym portem był Cape Town, a stąd udaliśmy się w kierunku bieguna południowego. Wnet poczuliśmy chłód, zimno oraz zobaczyliśmy pewnego dnia pokład pokryty śniegiem! Nie posiadaliśmy żadnej eskorty, jedynym naszym uzbrojeniem było pojedyncze działo umieszczone na dziobie statku. Zmieniliśmy kurs, kierowaliśmy się na północ tracąc ślady lądu afrykańskiego. Statek wykonywał dużo manewrów kierunkowych, zygzakował. Pewnego dnia radio BBC podało wiadomość, że „Ile de France” został zaatakowany przez okręt podwodny, gdzieś w okolicach wybrzeży afrykańskich i zatopiony. Wiadomość ta była łatwa do zniesienia, byliśmy dotąd żywi, a statek cały!

Dalej skierowaliśmy się na zachód, dotarliśmy do Rio de Janeiro, spędziliśmy tu kilka dni, zwiedzaliśmy z podziwem to wspaniałe miasto. Stamtąd popłynęliśmy do Freetown, Sierra Leone, wróciliśmy na środkowy Atlantyk, zbliżaliśmy się do Azorów. Pewnego wieczoru, podczas głębokich ciemności, chodziłem po pokładzie paląc papierosa. W tym samym czasie ogłoszony został alarm, gdyż wykryto zbliżający się nierozpoznany statek. Nie wolno było na pokładzie mieć najmniejszych świateł, obowiązywało całkowite zaciemnienie. W ciągu kilku sekund zostałem

18 „Ile de France” był francuskim liniowcem zwodowanym w 1925 r. w Saint-Nazaire. Po wybuchu II wojny światowej służył do transportu wojsk francuskich a następnie brytyjskich. Pod koniec 1942 r. został przebudowany mogąc przewozić 9760 pasażerów (trafne były więc oceny Lorenc, że liczba pasażerów wynosiła ok. 10 tys.). Statek miał wyporność 35 tys. ton i osiągał prędkość 23 węzłów. Tak duża prędkość umożliwiała „Ile de France” samodzielne rejsy bez eskorty okrętów wojennych.

chwycony przez 2-ch silnych marynarzy, po czym zaciągnięty do kajuty oficera dyżurnego statku. Mój angielski był wtedy jeszcze bardzo ubogi, przesłuchanie wypadło dla mnie niekorzystnie, tak więc zamknięto mnie w areszcie i tam przebywałem ok. 20 minut. Ponownie zostałem zabrany na dalsze przesłuchanie, tym razem wśród oficerów łącznie z kapitanem statku. Znalazł się tam również cywil, którego z satysfakcją rozpoznałem - był to książę L., mój stary przyjaciel z Tobruku. Ujrawszy mnie zapytał: „Jakiego szaleństwa ty się dopuściłeś?”. Odpowiedziałem, że przecież nic strasznego się nie stało. On, władając doskonale językiem angielskim, wyjaśnił oficerom i kapitanowi statku, że zna mnie od długiego czasu, że walczył razem ze mną w Tobruku, że byliśmy w Szkole Oficerskiej, a po jej ukończeniu razem awansowaliśmy. Szczęśliwie dla mnie te wyjaśnienia księcia zostały przyjęte z aprobatą. Pomógł mi przypadek, bo akurat w czasie tego zajścia, książę spożywał obiad z kapitanem, był więc blisko niego. Ale w czasie dalszej podróży wydawało mi się, że jestem uważany za podejrzanego.

Dotarliśmy wreszcie do wschodniej Szkocji, zostaliśmy umieszczeni w obozie polskiej grupy, gdzie przebywaliśmy przez kilka tygodni. Ciągłe miałem wrażenie, że jestem obserwowany przez „anioła stróża”. Dalej ruszyliśmy do centralnej Anglii, gdzie wszyscy zostaliśmy poddani przesłuchaniu. Oficer wywiadu RAF-u wypytывał mnie ponad godzinę w poprawnym języku polskim. Znał on moje rodzinne miasto, również moją szkołę. Doszedłem do wniosku, że on wie o nich więcej, niż ja sam! W końcu musiałem go utwierdzić w przekonaniu, że nie mam niczego do ukrycia i w ten sposób zostałem uznany za kandydata do służby w lotnictwie.

Rozpocząłem szkolenie w specjalności nawigatora. Spotkałem w tym czasie Angielkę June W., córkę farmera¹⁹. Farma ta znajdowała się na stoku łańcucha górskiego Pennines za miastem Sheffield, panował tu błogi spokój. June była bardzo życzliwie ustosunkowana do Polaków, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi.

Byłem przerzucany z obozu do obozu, szkolenie moje trwało dalej. Spędziłem kilka miesięcy w Brighton, szkołę nawigacji ukończyłem na wysepce Isle of Man. Po dalszych 3 miesiącach otrzymałem 7 dni urlopu. Miałem wtedy zaoszczędzonych 36 funtów, pojechałem do Lincoln, gdzie zanocowałem w hotelu YMCA.

19 Dziewczyna nazywała się June Wingfield. Gospodarstwo jej rodziny znajdowało się w Stannington pod Sheffield.

Następnego dnia sięgnąłem po swój portfel, ale okazało się, że zniknął! Doszedłem do wniosku, że mój pokojowy w hotelu pozbawił mnie pieniędzy, dość znaczącej sumy w tym czasie. Zniknęły nawet moje drobne pieniądze z kieszeni. Byłem bardzo zdenerwowany, nie miałem nawet szylinga na śniadanie. Na szczęście właścicielka baru zlitowała się nade mną i dała mi śniadanie za darmo. Wezwano policję, która spisała moje dane, ale nie mogła mi pomóc, bo winowajca zniknął, a poszukiwania nie dały rezultatów. Zapytałem policjantów, co mam robić? Czekałem 3 miesiące, aby otrzymać 7 dni urlopu! Wyjaśniłem dodatkowo, że właśnie zamierzałem dostać się do pociągu w kierunku Sheffield, a nie mam żadnych pieniędzy. Wprawdzie miałem bilet, ale jak dalej można ruszać się bez pieniędzy? Policjanci oświadczyli, że nie są w stanie mi pomóc, ale jednocześnie poradzili, abym się udał do jednostki RAF ok. 12 mil na północ i tam szukał jakiejś pomocy. Łatwo im to było powiedzieć, ale jak mogłem bez pieniędzy się tam dostać, chcąc jechać autobusem? Poszedłem jednak na przystanek autobusowy, licząc na jakiś szczęśliwy traf. Na przystanku rozglądałem się wokoło, formowała się już długa kolejka pasażerów. Znajdowała się tam dziewczyna w mundurze WAAF²⁰. Zdobyłem się na odwagę, zbliżyłem się do niej i odezwałem się:

- *Bardzo przepraszam, ale zdarzyła mi się niezwykła historia, w którą może pani uwierzyć albo nie, ale potrzebuję małej pomocy!*

- *No dobrze, ale co to za historia?* – zapytała.

Opowiedziałem jej krótko, co mi się zdarzyło i, że potrzebuję się dostać do jednostki RAF po pieniądze do kasjera. Zaproponowałem jej, aby pojechała tam ze mną po to, bym zaraz mógł zwrócić jej wyłożone na bilet pieniądze. W czasie jazdy dała mi do zrozumienia, że moje zmartwienie to nic poważnego, nie chciała zwrotu pieniędzy, ale ja uparłem się i w końcu udałem się w jej towarzystwie do kasjera. Dał mi on 4 funty zaliczki na poczet pensji, nie było tego wiele. Podziękowałem dziewczynie, byłem jej bardzo wdzięczny.

Wróciłem do Lincoln, złapałem pociąg do Sheffield i uświadomiłem sobie, że muszę bardzo ostrożnie rozporządzać posiadanymi pieniędzmi.

20 Women's Auxiliary Air Force- żeńska służba pomocnicza w Royal Air Force. Jej polskim odpowiednikiem była Pomocnicza Lotnicza Służba Kobiet.

June i jej rodzice byli wyjątkowo gościnni, zatrzymali mnie na farmie przez kilka dni. Czułem się podle z powodu wydarzenia, którego padłem ofiarą. Początkowo bardzo mnie to gnębiło, nie byłem dobrym kompanem, ale stopniowo zły nastrój mijał.

Wojna dobiegała końca. Zdążyłem jeszcze uczestniczyć w lotach na Niemcy.

VI. PO WOJNIE

Robiłem starania, aby dostać się ochotniczo w ciągu najkrótszego czasu do oddziałów przeznaczonych do służby okupacyjnej w Niemczech. W ciągu 2 tygodni znalazłem się w północnej ich części, niedaleko Bremen. Zostałem skierowany do 131-ego Skrzydła Okupacyjnego Lotnictwa Brytyjskiego. Skrzydło to składało się z angielskich i polskich szwadronów, wykonujących służbę w brytyjskiej strefie okupacyjnej. Nie miałem zawodowej pracy i dlatego władze zdecydowały zatrudnić mnie czasowo w urzędzie pocztowym. Pracowałem w miejscowej poczcie w bardzo prymitywnych warunkach. Zajmowaliśmy baraki po niemieckich lotnikach. Nasza praca była bardzo ważna ze względu na rozwijający się czarny handel, w który zostały wciągnięte wojska okupacyjne i ludność miejscowa.

Zgłosiłem się na ochotnika do służby na terenie Niemiec z myślą odzyskania mojego brata, jeńca Oflagu Nr 7. Międzynarodowy Czerwony Krzyż poinformował mnie, że przebywał on ciągle w obozie gdzieś w Niemczech. Otrzymałem zezwolenie na udanie się do strefy amerykańskiej, ruszyłem w kierunku Bawarii, dowiedziałem się, gdzie jest położony Oflag 7. Znajdował się on ok.1000 km na północ od Monachium.

Krótko po upadku Niemiec, komunikacja w zasadzie tam nie istniała. Mosty przeważnie zniszczone, pociągi kursowały jedynie na krótkich odcinkach między tymi mostami. Znaczyło to, że najlepszym środkiem lokomocji był pojazd służbowy, lecz niestety, takiego nie posiadałem. W różny sposób radząc sobie, dotarłem do Kolonii, lecz tam byłem zmuszony zatrzymać się na kilka godzin, a potrzebowałem dostać się do Frankfurtu. W końcu po zachodzie słońca, zatrzymał się koło mnie samochód z kilkoma wojskowymi. Najstarszy z nich oficer zapytał mnie, dokąd się udaję? A słysząc, że do Frankfurtu, zaprosił mnie do samochodu. Okazało się, że jest on dowódcą amerykańskiej bazy lotniczej gdzieś na północ od Monachium.

W samochodzie było 3-ch mężczyzn: oficer w stopniu pułkownika, jego adiutant i kierowca. Jazda przez jakiś czas odbywała się w milczeniu, potem zadawali mi oni pytania na moje osobiste tematy. W końcu dotarliśmy do Frankfurtu i wtedy zaprosili mnie na wspólny posiłek. Byłem bardzo uszczęśliwiony tym zaproszeniem, bo cały mój majątek składał się z przepustki, różnych dokumentów i pistoletu. Posiłek miał miejsce w jadalni jakiejś jednostki amerykańskiej. W czasie posiłku powiedziałem pułkownikowi o moim zamiarze odnalezienia brata i ku mojemu zadowoleniu poinformował mnie, że oni jadą do Monachium i zaprosił mnie do dalszej wspólnej podróży. Było to dla mnie bardzo pomyślne. Jechaliśmy całą noc. Adiutant wyręczał kierowcę co jakiś czas tak, że wszyscy mogli się trochę zdrzemnąć. Ich podróż zaczęła się w Brukseli, byli bardzo zmęczeni. Dotarliśmy wreszcie do Monachium, udaliśmy się do amerykańskiej bazy lotniczej w porze śniadaniowej. Następnie, uprzejmy pułkownik polecił kierowcy odwieźć mnie do Oflagu 7. Byłem bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy, gorąco podziękowałem pułkownikowi. Kierowca przywiózł mnie do byłego obozu brata, rozpocząłem poszukiwanie.

Lecz od tego momentu szczęście zaczęło zawodzić. Dowiedziałem się, że brat opuścił obóz i nikt nie wiedział, dokąd się przeniósł. Ktoś w biurze informacyjnym skierował mnie z powrotem do obozu. Zostałem poinformowany, że brat powinien być w Mannheim na południu od Frankfurtu. Po przybyciu do Mannheim zobaczyłem, że połowa miasta jest zrujnowana i niesamowicie trudno było cokolwiek załatwić. Jedna kompania pełniła służbę w mieście i mój brat, jak wynikało z ogólnych informacji, powinien być przy tej kompanii. Kiedy dotarłem do wskazanego miejsca, zdziwiłem się, że tu jeszcze istnieją jakieś oznaki życia wśród tej pustyni ruin. Zorientowałem się, że piwnice zburzonych domów są w dużym stopniu wykorzystywane.

Spotkałem żołnierza w czarnym mundurze z polskim orłem. Zagadnąłem go mówiąc, że szukam mojego brata porucznika Lorenc. Wtedy właśnie powiedział, że porucznik Lorenc jest ich dowódcą. Spoglądał jednak na mnie podejrzliwie, być może pomyślał, że miałem coś wspólnego z niemiecką Luftwaffe, gdyż mój mundur RAF był bardzo podobny kolorem do niemieckich mundurów lotniczych. Opowiedziałem żołnierzowi o sobie szczegółowiej, kim jestem, skąd przychodzę, że niepokoiłem się o brata, że nie widziałem go od czasu wybuchu wojny i że nie

wiedziałem, czy żyje! Żołnierz nabrał przekonania do mnie, zaprowadził mnie do biura brata. Zaofiarował się odszukać go, a ja go poprosiłem, aby o mnie nic nie mówił, chciałem bratu zrobić niespodziankę. Zostałem więc w biurze i czekałem na przyjście brata. Drzwi się otworzyły, brat wszedł, podniosłem się z krzesła i wykrzyknąłem:

- *Halo Bolesław!*

On spojrzał na mnie i zapytał:

- *Kto pan jest?* - Nigdy nie przypuszczałem, że mój własny brat nie poznał mnie po 6-ciu latach. Oczywiście, ja wyglądałem inaczej niż dawniej.

- *Czy ty mnie nie poznajesz?* – zapytałem.

- *Czy ja powinienem?* - wahając się odpowiedział pytająco - *Pan mi kogoś przypomina, kogoś znanego mi, ale nie wiem dokładnie kogo?*

- *Ja jestem Gedeon Lorenc, twój mały brat!!!* - Przywitanie było bardzo wzruszające.

Pozostałem u brata 2 dni, dowiedziałem się, że jest komendantem straży obozowej, która pilnuje niemieckich jeńców zgromadzonych w obozie, a wśród nich znajduje się ok. 100 esesmanów. Jak to los się odwrócił!

Odwiździłem brata kilkakrotnie w ciągu następnych miesięcy, próbowałem w sposób oficjalny sprowadzić go do Anglii. Jednak, kiedy byłem już bliski sukcesu, po wielu moich wysiłkach, brat zrezygnował, mówiąc, że będzie służyć tutaj w strefie amerykańskiej przez jakiś czas, a potem prawdopodobnie wróci do Polski. I tak się stało, czego on później żałował do końca życia. Zmarł w Polsce w 1975 r. w wieku 67 lat.

W moich wypadach do Mannheim spotkałem młodą Niemkę, która pracowała w charakterze sekretarki w formującym się ministerstwie władz okupacyjnych, roztaczającym kontrolę nad Niemcami. Była bardzo sprawna, wykształcona, mówiła płynnie po angielsku. Zawarliśmy przyjaźń. Pewnego dnia zabrała mnie do Heidelbergu, starego niemieckiego, uniwersyteckiego miasta, które mnie bardzo zaciekawiło. Weszliśmy na pobliskie wzgórze, słychać było dzwony kościelne i wtedy skierowaliśmy naszą rozmowę na tematy religijne. Szybko spostrzegłem, że jest ona nastawiona negatywnie do religii, przyznała się, że była członkiem młodzieżowej organizacji Hitlerjugend, a szkoda, ponieważ rozmowa z nią była satysfakcją. Przedstawiłem ją bratu, lecz spotkanie to nie było bratu miłe, wzbudzała

w nim jakieś podejrzenia. Później zaproponowała, że pokaże mi coś szczególnego. Szliśmy po pagórkach ruin, ulice dopiero zaczęto oczyszczać z gruzów. Nagle zatrzymała i powiedziała:

- Ta kupa gruzów to dla mnie coś specjalnego, to był dom moich rodziców, oni zginęli pod jego gruzami. Ty nosisz na sobie mundur lotniczy i być może brałeś udział w bombardowaniu naszego miasta i przyczyniłeś się do śmierci moich rodziców!

Byłem tak zaszokowany tymi słowami, tą zmianą jej zachowania, że przez chwilę nie mogłem znaleźć słowa na odpowiedź. Powiedziałem jej po chwili:

- Popatrz, młoda kobieto, może i ja brałem udział w nalocie na wasze miasto, ale ty zapomniałaś, że wasz Hitler pierwszy zaatakował Warszawę, zabijając tysiące niewinnych mieszkańców zanim myśmy przystąpili do wojny obronnej, wyście ją rozpoczęli. I być może twój narzeczony bombardował Warszawę i inne miasta, zabijając moich krewnych!

I to był koniec naszej przyjaźni. Mojemu bratu lepiej ułożyły się stosunki towarzyskie. Poznał on pewną posiadaczkę ziemską, która miała stadninę koni i znalazła w bracie kompana do jazdy konnej. Zapraszała go do swego towarzystwa przy wielu okazjach. Brat był wielkim miłośnikiem koni, otrzymał wiele nagród w przedwojennych zawodach jeździeckich, tak więc ta znajomość bardzo mu odpowiadała.

Kontynuowałem moją służbę w urzędzie pocztowym, należącym do bazy sił lotniczych. Często przejeżdżałem dziennie ok. 30 km przede wszystkim do Oldenburga, aby zabrać pocztę, która dalej kierowana była do Anglii i w inne miejsca, oczywiście pod kontrolą wojskową.

Zdarzył mi się przypadek, na wspomnienie którego cierpień skóra. Spotkałem rodzinę niemiecką w Hamburgu, w której wyczuwało się coś niesamowitego. Rodzice i dwie dorosłe córki, mówiące płynnie po angielsku, mieszkali w ocalałym budynku, jakich było niewiele. Powodziło im się świetnie. Zacząłem podejrzewać, że ojciec działał jako szpieg dla Anglików. Przyjmowali mnie bardzo gościnnie. Pewnego wieczoru starsza siostra zaproponowała mi pójście do nowo powstałego klubu nocnego. Nie chciałem wierzyć, że klub taki mógł powstać w tak krótkim czasie po działaniach wojennych, ale dałem się namówić i poszedłem tam w towarzystwie siostr. Wprowadziły mnie do pomieszczenia w piwnicy, skąd dochodziły dźwięki

melodyjnej muzyki i przyjemny śpiew. Nie było tam nic szczególnego do picia, prócz napojów pochodzących z czarnego rynku. Większa część Hamburga leżała w gruzach, zniszczona przez naloty i może dlatego wyczuwało się dużą nienawiść do każdego noszącego mundur RAF. W pewnym momencie spostrzegłem, że w tym klubie tylko ja sam byłem ubrany w mundur, zrobiłem duży błąd. Dały się słyszeć szepty dochodzące z sąsiednich stolików i nagle starsza siostra oświadczyła spokojnie, ale stanowczo, że musimy opuścić to miejsce natychmiast. Zdziwiłem się bardzo, jej zachowanie wydawało mi się zbyt paniczne. Ponowiła swój apel dodając, że wyjaśni mi tę zagadkę później. Opuściliśmy więc klub i stało się to we właściwym momencie. Później dowiedziałem się, że mundurowi alianci znikają często bez śladu, po uprzednim ich zamordowaniu i obrabowaniu.

Moim dowódcą był polski kapitan, a jego adiutant, także Polak, był moim bezpośrednim przełożonym. Nasz polski kapelan miał stopień majora, a jego biuro i kwatera znajdowały się również w naszym małym budynku tak, że często spotykaliśmy się we wspólnym korytarzu. Wszystko układało się dobrze do czasu, kiedy kapelan zapragnął czerpać nieprawne korzyści z naszej bliskiej poczty. Nie chciał on uiszczać opłat za paczki, których wysyłał dużo, w końcu odmówiłem przyjmowania jego paczek. Stosunki między nami zaczęły się psuć. Wyjaśniałem kapelanowi, że jego postępowanie męczy mnie i że nie mam zamiaru płacić za jego przesyłki. Dodałem, że on łamie przepisy, które wymagają, aby przynoszone do nas paczki były otwarte i pakowane w naszej obecności dla skontrolowania ich zawartości. Powiedziałem jeszcze, że to nie tylko nasze prawo, ale przede wszystkim obowiązek! Kapelan był bardzo rozgniewany moją postawą, nie mógł znieść moich uwag wręcz nakazał mi, abym nie robił mu więcej uwag i wykonywał jego polecenia.

Wywiązała się burzliwa rozmowa między nami:

- *Jeśli nie będziesz wykonywał moich poleceń, to niedługo będziesz stąd wydalony!* - wykrzyknął.

- *Czy ojciec chce mnie straszyć?* - wybuchnąłem tracąc cierpliwość i nie czekając jego odpowiedzi dodałem:

- *Posłuchaj ojczy, czy ty wiesz, co się stało z ostatnim człowiekiem, który chciał mnie nastraszyć?*

- *No co się z nim stało?* - zapytał drwiąco.

- Kwiaty nie rosną na jego grobie, a szakale wyją na tym miejscu w zachodniej części pustyni, gdzie on został pochowany! - wyrecytowałem głośno.

W tej chwili kapelan wybuchnął, wybiegł z biura krzycząc i grożąc mi, że zostanę odesłany do Anglii i to natychmiast. Nikt z nas nie chciał opuszczać Niemiec, mieliśmy tu dużo swobody i status zwycięzców. Nie brałem poważnie jego pogroźek, lecz tu nie doceniłem jego wpływów. W ciągu godziny zadzwonił do mnie adiutant dowódcy z zapytaniem, dlaczego obraziłem kapelana. Opowiedziałem o tym zdarzeniu, powiedział, że zobaczy, co się da zrobić. Dwa dni później zadzwonił on znowu, że kapelan był u dowódcy, w rezultacie czego, moje nazwisko znajduje się na liście osób przeznaczonych do przerzutu do Anglii. Było to dla mnie trudne do uwierzenia, że duchowny miał tak dużo siły i wpływów nie tylko, jak należało mniemać w czasie wojny, ale i teraz w warunkach kruchego jeszcze pokoju! Starałem się zachować spokój, pozostałem jeszcze na moim dotychczasowym miejscu przez kilka miesięcy, po czym zostaliśmy odesłani do Anglii. Od czasu naszej kłótni kapelan chodził po przeciwnej stronie ulicy, zawsze unikając mnie. Nie przemówiliśmy już nigdy do siebie.

W Niemczech Zachodnich stacjonowały 2 polskie dywizje, pełniąc tam służbę okupacyjną. Była tam także duża ilość jeńców, którzy dostali się do niewoli po 63-dniowym powstaniu warszawskim. Wszyscy oni, wśród nich osoby cywilne, nosili na ramieniu opaski biało-czerwone. Opaski te oznaczały specjalne uprawnienia dla ich właścicieli jako bojowników. Dotyczyło to również kobiet w liczbie ok. 2000. Kiedy nadeszli alianci, kobiety te również brały udział w rozbrajaniu Niemców, przejęły od nich wyposażenie oraz pełniły służbę wartowniczą. Jedną z nich była siostrzenicą generała Komorowskiego, Dowódcy Powstania Warszawskiego, który przebywał w obozie jenieckim w Niemczech, a po wojnie udał się do Anglii.

Był wśród nas pewien Polak, dość ekscentryczny typ, który co jakiś czas zniknął na kilka tygodni i nikt nie wiedział, gdzie on się podziewa i co robi. W końcu wykryłem, że niektórzy Polacy w bazie nawiązywali z nim kontakty. Okazało się, że on po prostu nielegalnie przeprowadzał z Polski przez granice członków rodzin tych Polaków, do strefy brytyjskiej. Radziecka granica była ściśle strzeżona, trudna do przekroczenia na „zielono”, a o legalnym przedostaniu się na zachód nie było mowy

we wczesnym okresie powojennym. Nasz bohater za swoje usługi otrzymywał różne wynagrodzenie. Jego zasadnicza stawka wynosiła 100 funtów od osoby, a była to stosunkowo niska stawka, biorąc pod uwagę ryzyko procederu. Kiedy go spotkałem, miał już za sobą 12 wypadów. Ten ostatni nie był całkowicie udany, zamierzał już zrezygnować z dalszych, przeczuwał niepowodzenie. Przeprowadzał przez granicę zwykle 12 - 18 ludzi, było to sporo, jak na tego rodzaju przedsięwzięcie. Po pewnej przerwie, został on, po usilnych prośbach zainteresowanych namówiony na jeszcze jeden wypad, tym razem tylko po 7 osób. Miał on utarte znajomości w Berlinie, również wśród komunistów, płacił łapówki, obdarowywał diamentami, walutą obcą, złotem. Ostatnia jego wyprawa, zgodnie z przecuciem, nie udała się. Jego graniczne kontakty urwały się, znalazł obcych ludzi, został złapany. W momencie aresztowania miał przy sobie rewolwer, został osadzony w więzieniu i oczekiwał na wyrok sądowy, który mógł zwiastować rozstrzelanie. Jego mała grupka ludzi, w tym również dzieci, została także aresztowana. Obawiał się, że zostanie postawiony przed sądem jako zdrajca Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

W czasie przebywania w więzieniu, zdecydował się na podjęcie ucieczki i ona mu się udała! Strażnicy jednak otworzyli ogień z karabinów i pistoletów i został on poważnie zraniony w nogę. Doczłgał się mimo rany, do najbliższej wsi, gdzie mieszkańcy zaopiekowali się nim do czasu zadowalającego stanu zdrowia, co trwało kilka tygodni. Podążył potem w kierunku granicy, udało mu się ją przekroczyć i wrócił do najbliższej bazy. Tu jednak spotkało go rozczarowanie, gdyż nasza jednostka wróciła już do Anglii - jego nieobecność trwała już 2 miesiące. Nasz dowódca, choć bardzo wyrozumiały człowiek, musiał już uprzednio uznać jego nieobecność jako akt dezercji. Złożył raport o tym do właściwych władz, żandarmeria wojskowa wszczęła już poszukiwania, był już wciągnięty na specjalną listę dezertów. Kiedy wrócił do dawnego miejsca naszej bazy, nie miał innego wyjścia, jak tylko zgłosić się do najbliższych władz wojskowych. Zaraz potem został aresztowany jako dezert, przewieziony do Anglii, postawiony przed sądem wojskowym - tam go znowu spotkałem. Bardzo kulał, musiał podpierać się laską przy chodzeniu. Dowódca nasz znalazł się w składzie sądu. Wyrok dla tego człowieka był bardzo łagodny, skończyło się na naganie i uwolnieniu.

Po powrocie do Anglii zostałem przez jakiś czas zatrudniony w biurze, gdzie

mogłem jednocześnie pogłębiać swoją wiedzę z księgowości. W tym czasie byliśmy dość zagubieni, nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Polskie Siły Zbrojne zostały zdemobilizowane, wśród nas było wielu bez dokumentów osobistych. Nieliczni z nas decydowali się wrócić do Polski. Warszawski rząd został uznany przez Anglię i inne kraje zachodnie, a istniejący na uchodźstwie rząd z siedzibą w Londynie, uchylił się od tego. Warszawa ogłosiła deklarację, w której wzywała wszystkich polskich obywateli do powrotu do Polski w określonym terminie zaznaczając, że będą w Polsce mile widziani. Myśmy jednak nie uznawali rządu warszawskiego za prawdziwie własny. Nie było przecież wyborów, ministrowie i naczelni funkcjonariusze zostali mianowani jedynie przez partię komunistyczną, w rzeczywistości byli oni marionetkami dyktatorskiego rządu stalinowskiego w Moskwie. W momencie zakończenia wojny Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie liczyły łącznie ok. 250.000 ludzi. Znajdowaliśmy się wprawdzie pod władzą naszego tutejszego rządu polskiego, ale dla rządu brytyjskiego stanowiliśmy duży kłopot. Nikt nas tu dalej nie potrzebował, bo wojna była skończona.

Polacy walczyli dzielnie, wierni zawartemu sojuszowi alianckiemu, mieliśmy prawo oczekiwać Polski wolnej, niepodległej i demokratycznej. Niestety, Churchill, Roosevelt i Stalin sprzeniewierzyli się zawartemu przed wojną paktowi sojuszniczemu między Polską, Anglią i Francją.

Churchill proponował Polakom obywatelstwo brytyjskie, ale wychowani w duchu patriotycznym, czując się dotknięci tą ofertą, nie korzystaliśmy z niej. Pozostawał właściwie jeden wybór - powrót do Polski i niewolnicza egzystencja w totalitarnym systemie.

W międzyczasie prosiłem o zwolnienie z lotnictwa w nadziei znalezienia cywilnego zatrudnienia. Nie posiadałem jednak odpowiednich kwalifikacji, nie było to łatwe. Zostałem w końcu przyjęty do pracy przy urządzaniu dekoracji teatralnych. Moim szefem był inżynier, specjalista w tym zawodzie, tworzył nawet własne spektakle. Po 7-miu miesiącach dał mi nawet świadectwo, które uprawniało mnie do podjęcia dobrze płatnej pracy w charakterze projektanta w jakimś prowincjonalnym mieście. Jeszcze nie zacząłem pracy, a już miejscowy urząd zatrudnienia odmówił mi zezwolenia na jej podjęcie. Znalazł się jednak młody angielski fachowiec, któremu tę pracę, o którą się wystarałem, zaoferowano. Zrobiło to na mnie bardzo negatywne wrażenie.

Zdecydowałem się pracę w charakterze listonosza, miałem spore doświadczenie po sześciomiesięcznym zatrudnieniu na poczcie, ale znowu nie dostałem zezwolenia, nawet w charakterze pracownika na etacie dla młodszych, ponieważ nagle byłem obcokrajowcem. Myślałem sobie, że może zrobiłem błąd nie przyjmując oferowanego obywatelstwa brytyjskiego, ale z drugiej strony, byłem Polakiem i posiadałem swoją dumę!

Ale po jakimś czasie zaświtało szczęście. Otrzymałem pracę i tym razem bez trudu. Zaoferowano mi stanowisko asystenta kierownika migracyjnego hostelu /odp. hotelu robotniczego/. Praca ta nie przedstawiała żadnych trudności, a moja znajomość języków była bardzo pomocna.

Kierownikiem hostelu był sympatyczny Kanadyjczyk. Po pewnym czasie powstał jednak problem mieszkaniowy, który przesądził o konieczności przeniesienia mnie do innego miejsca z ofertą objęcia stanowiska kierownika hostelu. Był to obóz wojskowy, zamieniony na hotel dla emigrantów. Do pomocy miałem 2-ch Anglików. Krótco po rozpoczęciu pracy, została skierowana do mnie duża grupa Łotyszów, rolników z zawodu.

Prowadziłem hostel z dużym zaangażowaniem własnym, byłem bardzo aktywny, dobrze płatny. Trwało to ok. 2-ch miesięcy, kiedy to został na moje miejsce skierowany zdemobilizowany oficer. Przybył on z żoną i synkiem, urządzili się, a pracy miał bardzo mało, gdyż w rzeczywistości ja załatwiałem wszystkie sprawy, miałem pełne rozeznanie i wiele doświadczenia. Ciągłe miałem kłopotliwe problemy mieszkaniowe. W ostatnim hostelu miał miejsce cały szereg nielegalnych zatrudnień robotników przez miejscowych farmerów, w rezultacie czego, dużo takich spraw trafiało do sądów. Mieszkańcy obecnego hostelu, zwracali się do mnie z różnymi swoimi bolączkami. Ludzie ci nie byli zadowoleni z otrzymywanych posiłków, były złej jakości i niewystarczającej ilości. Zainteresowałem się tymi skargami i wkrótce wykryłem winowajcę - był to nasz kucharz! Został natychmiast zwolniony.

Pod koniec każdego tygodnia pojawiał się ciągle ten sam kłopot między mną a moim szefem. Polegał on na tym, że trudno nam było ustalać, kto powinien mieć dyżur w hostelu w czasie danego weekendu. Mój przełożony patrzył inaczej na tę sprawę niż ja i to prowadziło do zadrażnień między nami. Wkrótce, mimo że był on zadowolony z tej pracy, to jednak złożył prośbę o zatrudnienie go w innym hostelu.

Ja dalej prowadziłem hostel na własną rękę, aż pewnego dnia otrzymałem zawiadomienie z mojego biura, że przybył nowy kierownik. Przy spotkaniu z nim natychmiast skrzyżowaliśmy szpady.

- *Czy pańskie nazwisko brzmi Lorenc?* – zapytał szorstko.

- *Tak, ja jestem Lorenc. Co mogę dla pana zrobić?* - zapytałem spokojnie.

- *Ja jestem pułkownik H., ja wiem, że pan jest Polakiem!*

- *Tak, jestem istotnie Polakiem* - potwierdziłem z ukrytym zdziwieniem.

- *No dobrze, chcę panu powiedzieć, że ja nie lubię Polaków!*

Byłem tak zaskoczony tym nieuzasadnionym atakiem, że straciłem na chwilę pewność siebie, lecz zdobyłem się na powiedzenie:

- *To możliwe, wojna już się przecież skończyła.*

- *Tak - powiedział - lecz pan musi mnie tytułować pułkownik H.!*

- *Bardzo dobrze, panie pułkowniku, jeżeli pan żąda tytułowania siebie pułkownikiem i dalej chce się pan bawić w wojnę, to ja nie mam innego wyboru jak tylko żądać, aby pan mnie tytułował porucznik Lorenc!*

- *Porucznik jest zbyt niskim stopniem na tytułowanie* - powiedział drwiąco.

W ten sposób rozpoczęła się nasza zimna wojna. Nie znosił on mojej obecności.

Pułkownik, mimo wzajemnej antypatii, wyszukał wymyślny sposób szykanowania mnie i podgrzewania i tak już gorącej atmosfery między nami. Musiałem jadać z nim obiad każdego wieczoru w jadalni - taki był zwyczaj, że zawsze ktoś z personelu hostelowego towarzyszył szefowi przy obiedzie. Obiady z pułkownikiem spożywaliśmy w kompletnej ciszy. Był to dziwny człowiek! Wstąpił do armii w wieku 17-tu lat, większą część swej kariery wojskowej odbył w Indiach. Był typowym zawodowym oficerem. Przy każdej okazji opowiadał o swoim życiu w Indiach i nietrudno było się zorientować, że był człowiekiem zimnym, okrutnym, pozbawionym wyższych ludzkich uczuć.

Pewnego dnia zauważyłem, że jeden z naszych samochodów ciężarowych znika od czasu do czasu. Było to zagadkowe, podążyłem więc za nim i wykryłem, że kierowca w pustej szopie przygotowuje jakieś elementy budowlane.

- *Co ty tu robisz?* - zapytałem.

- *To jest robota dla pułkownika* - odpowiedział.

- *Co to jest za robota?* - nalegałem.

- Ja wykonuję tę robotę dla pułkownika i ona zostanie zabrana stąd, kiedy będzie zakończona.

Ponieważ to działo się za wiedzą pułkownika, dalej już się do tej sprawy nie wtrącałem. Kierowca oczywiście doniósł pułkownikowi o tej rozmowie. Zapytał on mnie:

- Rozumiem, że pan się zainteresował tą robotą, którą kierowca wykonuje dla mnie?

- Tak, to jest prawda - odpowiedziałem.

- Kierowca pracował za moją wiedzą, niech pan to przyjmie do wiadomości! - wykrzyknął.

I to był koniec naszej rozmowy. Jej konsekwencje nadeszły niebawem. Odszedł dyrektor naszej centrali, a na jego miejsce zjawił się zdemobilizowany brygadier armii indyjskiej. Ogarnęło mnie dziwne przeczucie, że ci dwaj wysokiej rangi oficerowie nie będą mi przyjaźni. Długo nie potrzebowałem czekać na skutki takiego układu. Oto nadszedł z naszej centrali list informujący mnie, że moja służba jest już niepożądana. Nie było to dla mnie zaskoczeniem i wiadomość tę przyjąłem ze spokojem.

Musiałem szukać nowej pracy, ale było to bardzo trudne, ze względu na ogólny brak ofert zatrudnienia. Zdecydowałem się wreszcie szukać pracy w przemyśle górniczym, zdawałem sobie sprawę z mojej ciągłej degradacji! Po miesiącu poszukiwań, zostałem zaangażowany do kopalni węgla blisko Pontypridd w Południowej Walii. Wykonywałem tu różne prace przy przedniej ścianie. Moja kwatery znajdowała się w pobliskim hostelu, gdzie zamieszkiwało ok. 400 osób, przeważnie górniczy. Wyżywienie było tu bardzo kiepskie i stąd wiele skarg. Po jakimś czasie jeden z mieszkańców dowiedział się, że ja posiadam doświadczenie w kierowaniu hostelem. Na zorganizowanym przez mieszkańców hostelu zebraniu, zostałem wybrany na przedstawiciela ich interesów, w szczególności sprawy tych marnych posiłków.

Do dyskusji jednak nie doszło, ponieważ kierownictwo hostelu odmówiło wzięcia w niej udziału. W czasie następnego zebrania mieszkańców, mogłem już działać bardziej zdecydowanie, miałem poparcie ludzi, postawiłem kierownictwu ultimatum: albo zgodzi się ono na dyskusję na temat wyżywienia, albo rozpoczynamy strajk głodowy! Doszło wreszcie do dyskusji, zostaliśmy dopuszczeni do kontrolowania

kuchni. To pomogło, posiłki stały się lepsze ku zadowoleniu konsumentów.

Pewnego dnia zbliżył się do mnie górnik, pełniący funkcję starszego sekcji, w której również byłem zatrudniony. Nazywał się Jim. Zapytał mnie:

- *Prawda, że ty masz na imię Gedeon?*

- *Tak, to jest prawda* - odpowiedziałem.

- *Chodź i siadaj tutaj, chcę z tobą porozmawiać* - zaproponował.

Poszedłem za nim, on obdarzając mnie życzliwym spojrzeniem, zapytał:

- *Dlaczego ty podjąłeś pracę pod ziemią?*

- *Bo chcę zostać górnikiem* - odrzekłem.

- *Ty nie wyglądasz na górnika* - stwierdził.

- *Nie ma się czemu dziwić, bo ja dopiero się uczę.*

- *Ty jednak nie jesteś stworzony, aby pracować jako górnik, więc powiedz, co cię tu sprowadziło?* - nalegał.

To wypytywanie stanowiło zbyt wiele dla mnie, aż wpadła mi do głowy pewna myśl i wykorzystałem ją, mówiąc do niego:

- *No dobrze Jim, ja nie jestem typem górnika, ale mam powód, dla którego tu jestem. To jest mój sekret i nie mogę ci o nim powiedzieć!*

To tylko pobudziło jego ciekawość i zwiększyło naleganie o zwierzenie się mu z mojego sekretu. W końcu oświadczyłem, że powiem mu pod warunkiem zachowania tajemnicy. Przyrzekł tak postąpić i z niecierpliwością oczekiwał moich słów.

- *Ja nie przyszedłem tutaj do pracy, aby zostać górnikiem, ale przybyłem z myślą napisania książki o szkockim górnictwie* - wyrecytowałem.

Jim był bardzo zdziwiony, słysząc moje wyjaśnienie.

- *Czy ty naprawdę zamierzasz napisać książkę o górnictwie?* - zapytał z lekkim niedowierzaniem.

- *Tak, chcę to zrobić* - upewniłem go.

Mój zamiar zrobił na nim ogromne wrażenie. Zaprosił mnie na obiad do swego domu.

Było to pierwsze takie zaproszenie przez osobę z mojego otoczenia w pracy. Jego żona dobrze gotowała. Córka była miłą dziewczyną, ale zbyt spokojną. Wiele razy bywałem u tej rodziny, mile spędzaliśmy wieczory, w czasie których prowadziliśmy przyjacielskie rozmowy.

Przy jednej okazji Jim odezwał się do mnie przymilnym głosem:

- *Czy mógłbyś mi wyświadczyć pewną przyjemność, kiedy będziesz pisał książkę?*

- *O tak, a co to ma być za przyjemność?* - zapytałem.

- *Czy mógłbyś umieścić moje nazwisko w tej książce?* - poprosił.

Było widocznym, jak bardzo jest on uwrażliwiony na temat książek. Oczywiście zapewniłem go, że nie zapomnę o nim i jego nazwisku w przyszłej książce, a on poczuł się uszczęśliwiony.

Trudno mi było być zadowolonym z obecnej pracy pod ziemią. Zacząłem znowu poszukiwać innej pracy, ale dowiedziałem się, że rząd umieścił kopalnie na specjalnej liście podstawowych gałęzi przemysłowych, co czyniło prawie niemożliwym odejście od tej pracy. Dowiedziałem się jednocześnie, że można otrzymać pozwolenie na emigrację i to odkrycie nasunęło mi wspomnienia z minionych dni. Australijscy żołnierze opowiadali mi cudowne historie o ich ojczyźnie, w czasie krótkich, wolnych chwil w Tobruku. Namawiali mnie wtedy, aby osiąść w Australii po wojnie. Do tej pory nie myślałem o tym, ale teraz zacząłem poważnie zastanawiać się nad tą możliwością.

Ukazały się ogłoszenia w gazetach, zawiadamiające Polaków o możliwości podjęcia pracy w kopalniach skałki roponośnej w Nowej Południowej Walii. Złożyłem podanie, wezwano mnie na rozmowę, po której zostałem przyjęty. Skałka roponośna wydobywana była w ten sam sposób jak węgiel, po tym była przerabiana na benzynę i oleje.

Moja książka o szkockich kopalniach musiała być odłożona na półkę!

50-ciu Polaków stanowiło grupę kandydatów do pracy w Australii, część z nas miała jednak poważną przeszkodę przed sobą - nie posiadaliśmy paszportów! Nie byliśmy obywatelami angielskimi, a więc paszportów angielskich nie mogliśmy otrzymać. Rząd w Warszawie pozbawił nas możliwości otrzymania paszportów polskich. Po różnych staraniach tutejszy Urząd Paszportowy zgodził się na wystawienie nam dokumentów osobistych, podobnych do paszportów z danymi i fotografią, lecz bez obywatelstwa, byliśmy bezpaństwowi! Ja byłem do tej pory formalnie związany jeszcze z Siłami Zbrojnymi i ich urzędnicy paszportowi uzgodnili z Urzędem Paszportowym, że otrzymam paszport, który wystawi Ministerstwo Lotnictwa.

Znalazłem się w grupie kolegów - lotników na dworcu Victoria, gdzie

powiadomiono nas, aby czekać na przedstawiciela Ministerstwa Lotnictwa, który dostarczy nam paszporty. Wsiedliśmy do pociągu w kierunku Southampton, gdzie mieliśmy zostać zaokrętowani na statek „Asturias”, który miał nas zawieźć do Australii. Rozpoczęło się niecierpliwe oczekiwanie, mijał czas a żadnego znaku o przedstawicielu ministerstwa nie było. Chodziłem po peronie tam i z powrotem, moja desperacja zwiększała się. W pierwszych chwilach nie zwróciłem nawet uwagi na jednego z członków naszej grupy Polaka - pilota, siedzącego na ławce nonszalancko, czytającego gazetę. Był to pilot bombowy, chłodny, odpychający typ, obojętny zupełnie wobec denerwującej sytuacji. Zagadnąłem go, jak znosi tę niepewność wokół naszych paszportów. Oświadczył tylko, że jeśli władze to organizują, to niech się one troszczą, poradził mi odprężyć się. Ja jednak nie mogłem zdobyć się na spokój. Dołączyłem do grupy bardziej wrażliwych emigrantów, zadzwoniliśmy do Ministerstwa. Było już po godzinach pracy i oczywiście niczego nie mogliśmy się dowiedzieć. Jedynie oficer dyżurny wysłał do nas swego pomocnika. Ten nic nie wiedział o naszej sytuacji paszportowej, ale był bardzo uprzejmy i mocno przejęty naszym zmartwieniem. Poradził nam pojechać do władz portowych, bo być mogło, że paszporty zostały tam złożone. Nie było ich tam, więc przedstawiliśmy naszą sprawę w nadziei, że może otrzymamy pozwolenie wejścia na statek i tam oczekiwać na dokumenty. Spotkało to się oczywiście ze sprzeciwem oficerów marynarki, nie wolno im było przyjąć na statek pasażerów bez dokumentów!

Byliśmy, więc już tak blisko celu, a ciągle w niesamowitym napięciu, bo statek musiał opuścić port w dniu następnym o godz. 9-tej. Prosiliśmy oficerów o interwencję w naszej sprawie, ale oni, mimo wysiłków, nie osiągnęli żadnych rezultatów. W końcu, późnym wieczorem, zlitowali się nad nami i pozwolili nam wejść na statek, aby przenocować pod warunkiem opuszczenia statku następnego rana, o ile paszporty nie nadejdą.

Tak więc dostaliśmy się na statek, dołączyliśmy do części naszej grupy, tej, która już się na statku ulokowała, bo posiadała paszporty. Zacząłem interesować się nowo powstałą sytuacją. Spora ilość z tych mężczyzn służyła w Armii Polskiej. Wśród nich było 3-ch oficerów, w tym jeden starszy wiekiem, zawodowy w stopniu

kapitana, o nazwisku N.²¹ Ku naszemu zdziwieniu wykryliśmy, że on ma nasze paszporty i był całkowicie obojętny na nasze krańcowe zdenerwowanie! Byłem straszliwie wzburzony, straciłem panowanie nad sobą, już się zamierzyłem na niego, chciałem go uderzyć! W ten sposób niewiarygodna sytuacja wyjaśniła się i mogliśmy odpłynąć następnego dnia.

VII. WITAJ AUSTRALIO!

Po drodze zabraliśmy dodatkowo pewną grupę emigrantów z Malty. Przepłynęliśmy Kanał Sueski, dotarliśmy do portu Fremantle w Zachodniej Australii. Podróż trwała ok. 5-ciu tygodni, na statku znajdowało się ok. 1500 pasażerów, w przeważającej ilości byli to Anglicy, dołączający do swoich rodzin w Australii.

Podróż przebiegała spokojnie, choć miał miejsce szczególnie przypadek przed dopłynięciem do Fremantle. Stwierdziliśmy, że stan osobowy pasażerów zwiększył się o jedną osobę! Był to młody człowiek, znający zaledwie kilka słów po polsku, co wskazywało, że nie jest on Polakiem. Unikał pytań, ale ja nalegałem, aby mi o sobie opowiedział z zachowaniem dyskrecji, w cztery oczy, na co zgodził się.

Powiedział, że jest Irlandczykiem, miał dwadzieścia kilka lat, a w czasie wojny służył na brytyjskim okręcie wojennym. Kiedy wojna miała się ku końcowi, zdecydował się opuścić okręt w porcie Sydney, zaczął się ukrywać w pewnym małym mieście w Nowej Południowej Walii, okręt odpłynął a on stał się dezerterem. Tak się złożyło, że miejscowa dziewczyna bardzo się do niego przywiązała, zostali bliskimi przyjaciółmi. Narzeczony tej dziewczyny był policjantem! Sytuacja stała się gorąca, narzeczony próbował zdecydowanie odprawić rywala, a miał ku temu ważne argumenty. Nie tylko wykrył, że Irlandczyk jest nielegalnym emigrantem,

21 Najstarszy stopniem w grupie polskich żołnierzy był kpt. Tadeusz Nowakowski. Poza Gedeonem Lorencem wśród emigrujących do Australii wojskowych można odnaleźć również innych byłych członków personelu Polskich Sił Powietrznych. Warto przytoczyć chociaż podstawowe dane na ich temat (porządek alfabetyczny): Józef Filończuk – kpr. elektryk z 305 Dywizjonu, Witold Gąsiewski – st. sierż. mechanik z 301 oraz 318 Dywizjonu, Bronisław Jaroszewicz – kpr. kierowca z 304 Dywizjonu, Jan Kraczkowski – plut. mech. z 307 Dywizjonu, Marian Kurman – sierż. mech. pokładowy z 300 Dywizjonu Bombowego, Edward Leśniak – kpr. rusznikarz z 304 i 317 Dywizjonu, Czesław Łojko – plut. radionawigator z 307 Dywizjonu, Franciszek Milewski – kpr. elektryk z 307 Dywizjonu, Wacław Pawłowicz – por. pilot z 301 Dywizjonu, Michał Sasiadek – plut. mech. z 307 Dywizjonu, Wiktor Sikora – majster z 316 Dywizjonu oraz Jan Waśniewski – plut. rusznikarz z 303 Dywizjonu.

ale również dezterem. Z pełną satysfakcją aresztował go. Jako więzień został przetransportowany w kajdankach z powrotem do Anglii, postawiony przed sądem wojskowym, a wyrok wynosił 4 miesiące więzienia. Miał dużo szczęścia, bo gdyby to się działo w czasie wojny, byłby niechybnie rozstrzelany. Po odbyciu tej kary zdecydował się wrócić do swej wybranej dziewczyny do Australii. Nie było to łatwe, nie miał paszportu ani wizy, nie miał również wystarczającej ilości pieniędzy. Domówił się jednak z marynarzem naszego statku, który za 10 funtów wyrzucił linę z pokładu i przy jej pomocy Irlandczyk znalazł się w wodzie i dopłynął do brzegu. Nigdy więcej o nim nie słyszałem.

Dobiliśmy do Sydney i zesłiliśmy na ląd. Zabrały nas dwa autobusy wojskowe i powiozły do jednego z przedmieść. Zostaliśmy umieszczeni w barakach w dzielnicy Paddington. Po spożyciu posiłku, wysłuchaliśmy pouczeń, udzielonych nam przez dwóch oficerów armii australijskiej. Następnie pojechaliśmy autobusami do miasteczka Bathurst w N.P.W. Umieszczeni zostaliśmy w barakach wojskowych, które teraz były przeznaczone dla potrzeb emigrantów. Do tej pory byliśmy traktowani jako żołnierze wojsk lotniczych, ale po przybyciu do Sydney oświadczono nam, że od tej pory stajemy się zdemobilizowanymi cywilami.

Do naszego obozu przybyły dwie panie, przekazały nam sporo książek zawierających porady odnośnie sposobu życia w Australii, w tym także o tematyce kulturalnej. Pokazano nam miasto, wstąpiliśmy nawet do jednego z tutejszych lokali. Usiedliśmy przy stolikach i czekaliśmy na kelnerkę, ale ona dziwnie unikała nas. W końcu przywołałem ją. Zbliżyła się i zapytała, czy jesteśmy z obozu emigrantów? Kiedy otrzymała odpowiedź twierdzącą, grzecznie przeprosiła nas, oświadczając, że nie ma pozwolenia na obsługiwanie emigrantów. Takie było powitanie nas w australijskim lokalu. /Na przekór tej rzeczywistości, zostanę po latach właścicielem lokalu położonego w pobliżu, ale dużo większego./

Dwa tygodnie później nadjechał autobus z Glen Davis z dwoma mężczyznami. Byli to Jim H., urzędnik z działu personalnego kopalni skałki roponośnej i Clem N., przedstawiciel kierownictwa kopalni. Po zapoznaniu się, wsiedliśmy do autobusu, zabierając rzeczy osobiste i udaliśmy się w kierunku Glen Davis. Przejeżdżaliśmy przez bardzo atrakcyjne okolice, szkoda tylko, że trawa nabrała koloru brązowego po ostatniej długotrwałej suszy. W tym czasie mój angielski wystarczał już na

prorowadzenie długich rozmów i dyskusji z przedstawicielami kopalni. Dowiedziałem się wiele o kopalni i o ogólnych warunkach życia w Australii. Byli bardzo przyjaźnie ustosunkowani do nas, bez rezerwy, mimo że zajmowali wysokie pozycje w życiu towarzyskim i w interesach. To ich zachowanie wzbudziło mój najwyższy podziw.

Miasteczko Glen Davis zostało zbudowane po wojnie, liczyło ok. 2000 mieszkańców. Zostaliśmy umieszczeni w hostelu, po dwie osoby w pokoju. Hostel był całkiem dobrze wyposażony w urządzenia, w tym w natryski i w pralnię. Wyżywienie bez zarzutu, urozmaicone, zawierało dużo jarzyn. Nieco gorzej było ze sztuką gotowania, a może to był tylko brak przyzwyczajenia?

Po krótkim odpoczynku byliśmy gotowi do podjęcia pracy. Zostaliśmy jednak poinformowani przez kierownictwo, że nie możemy zaczynać, gdyż powstał pewien problem formalny. Spółka odmówiła uznania nas za członków, co znaczyło, że nie możemy być dopuszczeni do pracy i nasza sprawa stała na martwym punkcie. Kierownictwo prowadziło pertraktacje ze spółką, podczas gdy my przebywaliśmy w hostelu i czekaliśmy na rezultat uzgodnień przez kilka tygodni. Szybko zorientowaliśmy się, że spółka kontroluje całe życie w okolicy, uważa się za twórcę raju robotniczego, realizuje w pełni zasady demokracji. Dla mnie ich postępowanie miało raczej posmak systemu totalitarnego.

Spółka była bardzo podejrzliwa w stosunku do napływowych robotników. Była przekonana, że będą oni domagać się swoich praw i przywilejów wywalczonych po I-ej wojnie światowej. Australijscy robotnicy cieszyli się tu wspaniałymi warunkami pracy, wysokimi zarobkami i nie godzili się z napływem obcej siły roboczej. My zostaliśmy sprowadzeni do Australii na kontrakt rządowy na 2 lata, co znaczyło, że gdybyśmy nawet zostali uznani za członków spółki, będziemy tylko kontrolowani przez rząd a nie spółkę. To była bardzo istotna sprawa. W końcu rząd przystał na pewien kompromis: zostaliśmy uznani za członków nowo powstałych trzech spółek. Stopniowo byliśmy zatrudniani przy różnych pracach. Rodzaj mojej pracy stwarzał odpowiednie warunki do tego, by zostać przedstawicielem interesów współkolegów. Jako taki miałem obowiązek rozstrzygania nie tylko sporów, ale także przeciwdziałać ich powstawaniu. Wkrótce stałem się dobrze znanym we wszystkich oddziałach kopalni i również w kierownictwie.

Kopalnia Glen Davis zajmowała się wydobywaniem skałki roponośnej, która

po wydobyciu i skruszeniu, była poddawana procesowi prażenia, w wyniku czego powstawał gaz, następnie po schłodzeniu otrzymywano półprodukt płynny, ten poddawany był jeszcze rafinacji, by w końcu otrzymać użytkową postać paliwa. Do kopalni należała elektrownia, laboratorium chemiczne, sklep z maszynami i inne małe obiekty pomocnicze.

Przez jakiś czas byłem bardzo zadowolony z mojej szczególnej pozycji zwłaszcza wtedy, kiedy mogłem dopomóc rodakom w znalezieniu dobrze płatnej pracy. Miałem dużo satysfakcji z tych działań. Nie trwało to jednak długo! Kilku z moich ziomków zazdrościło mi uprzywilejowanej pozycji, zaczęli rozpowszechniać różne pomówienia na temat mojego pochodzenia. Szeptane pytania „kto to jest Gedeon Lorenc?” dotarły do menagera Ch. Zostałem wezwany do niego, zadawał mi kłopotliwe pytania. Zaczął również od tego utartego „kto to jest Gedeon Lorenc?”.

Czułem się dotknięty tak zwyczajnym zapytaniem, miałem jednak dla niego dużo respektu, ze względu na jego wykształcenie - miał za sobą trzy fakultety uniwersyteckie. Postanowiłem odpowiedzieć na, jego pytanie. Zwróciłem się do niego wpierw z zapytaniem, co życzy sobie wiedzieć o mnie? Poprosił, abym opowiedział o sobie wszystko od początku.

Krążyło o mnie wiele plotek, uchodziłem za człowieka zamkniętego, tajemniczego, ale w rzeczywistości nikt o mnie niczego nie wiedział.

- *Panie C. - zacząłem - Gedeon Lorenc jest dumnym Polakiem. Został aresztowany w Polsce w 1940 r., przetransportowany i więziony w Niemczech przez trzy miesiące. Uciekł stamtąd, udał się na Bliski Wschód, dołączył do niezależnej Polskiej Brygady Karpackiej, walczył w Afryce, łącznie z obroną Tobruku, a później został przeniesiony do polskich oddziałów przy Królewskich Siłach Lotniczych, gdzie uczyłem się nawigacji.*

Przerwałem na chwilę, po czym dodałem:

- *Ja jestem dumny z moich osiągnięć wojennych, nie mam się czego wstydzić. Polacy stanowią tutaj problem, nie są łatwi do zgody i kierowania. Teraz, kiedy już opowiedziałem o sobie, zwracam się do pana z prośbą o zwolnienie mnie z dotychczasowej pracy i przydzielenie mi innej!*

C. spoglądał na mnie przez dłuższą chwilę, potem zapytał:

- *Jaki rodzaj pracy panu odpowiada? Może pan wybierać!*

- *Nie, ja dziękuję, chcę zaczynać pracę na dole z łopatką w ręku* - odpowiedziałem.

I tak się stało. Poszedłem pracować pod ziemią, jako rębacz. Była to praca ciężka, brudna, brzydka.

Po tym zająciu próbowałem izolować się od kolegów i żyć własnym, spokojnym życiem. Kupiłem chatkę w buszu za 75 funtów, było to sporo pieniędzy wtedy /równowartość pensji/. Byłem rozgniewany na ludzi, zamierzałem żyć samotnie, ale po opadnięciu wzburzenia, nie mogłem jednak zdecydować się na opuszczenie hostelu, na wyrzeczenie się kontaktów towarzyskich.

W tej sytuacji dopomógł mi przypadek. Pewien młody górnik, Polak, słyszał o mnie i zwrócił się o pomoc. Mieszkał w jednym z hosteli wraz z żoną i synkiem, nie były to znośne warunki życia. Wchodząc w ich położenie, zaproponowałem im zamieszkanie w mojej nowo kupionej chacie, z opłatą jednego funta tygodniowo. Był tam ogród owocowy i warzywny, rodzina mogła żyć stosunkowo tanio. Skorzystali bez namysłu z mojej oferty, sprowadzili się i żyli tam przez wiele lat. Przyszło drugie dziecko na świat, a ja zostałem jego ojcem chrzestnym.

Mieszkałem dalej w hostelu. Pewnego dnia dotarła do nas pocieszająca wiadomość. Rząd Federalny zaproponował nam przyjęcie obywatelstwa w myśl nowej ustawy. Stało to się dzięki temu, że rozpoznano naszą postawę i zasługi w czasie ostatniej wojny. Wszyscy przyjęli ofertę, czuliśmy się wyróżnieni takim gestem.

Wieczory spędzałem często w domu Freda J., gdzie byłem zapraszany i mile widziany. Był managerem miejscowej kopalni. Prowadząca jego dom, przyjaciółka Vera B. była z zawodu pianistką. Dawała nam świetne koncerty wspaniale umilając nam wieczory. Proponowali, abym również przyprowadzał do nich swoją przyjaciółkę. Kiedyś Vera zapytała Freda, dlaczego nie zatrudnia mnie w kopalni, którą kieruje? Fred przyznał jej rację i zaproponował:

- *Gedeon, chodź i zobacz, czy tobie będzie się podobać praca w naszej kopalni?*

- *Nie, dziękuję Fred, nie chcę pracować pod ziemią, nie lubię takiej pracy* – powiedziałem.

- *Dlaczego nie?* - zapytał.

- *Jest bardzo ciemno w tych tunelach!*

- *To dobra praca i dobrze płatna!* - nalegał Fred.

- *Nie, bardzo dziękuję* - odpowiedziałem – *chyba, że wstawisz okna do waszej kopalni, to wtedy przyjdę chętnie do ciebie pracować.*

Vera poznała się na tym żarcie, ale Fred przyjął kwaśno moje słowa. Później syn jego prosił mnie, abym go uczył polskiego. Był bardzo zdolnym, robił szybko postępy.

Moja wcześniejsza reputacja aktywnego działacza stała się znowu znana i różni ludzie przychodzili do mnie, prosząc o radę. Dowiedzieli się, że kupiłem jakąś nieruchomość, prosili mnie nawet o pożyczkę pieniężną na wpłacenie wkładu pod ich przyszłe domy.

Miałem kilku dobrych przyjaciół w Glen Davis, włączając do tego grona mojego współtowarzysza mieszkania Stana M. i Dona R.

Ryszard T. był człowiekiem wnikliwym, ostrożnie zawierał bliższe znajomości. Moim sukcesem mogę nazwać zbliżenie się do niego tak, że zostaliśmy oddanymi przyjaciółmi. Był zatrudniony jako inżynier-elektryk w miejscowej kopalni. Pewnego dnia powiedział mi, że w jego kopalni powstał vacat na stanowisku mechanika-elektryka i zaproponował mi rozmowę z jego menagerem. Zorientowałem się, że Ryszard utorował mi już drogę. Menager nie żądał ode mnie żadnych świadectw, zapytał tylko, czy posiadam dostateczną wiedzę z elektrotechniki. Potwierdziłem, że ją posiadam, że pracowałem na dole w Albion Colliery blisko Pontypridd. A kiedy dowiedział się, że menagerem był tam jego kolega ze szkoły górniczej, stał się jeszcze bardziej przyjaźnie ustosunkowany do mnie. Po rozmowie na tematy górnicze, zostałem przyjęty, zacząłem pracę.

Od tego momentu moja sytuacja materialna i samopoczucie poprawiły się bardzo. Początkowo obawiałem się tej pracy, ale Ryszard w sposób ciągły otaczał mnie opieką fachową, towarzyszył mi, doradzał przy różnych pojawiających się problemach. Wiele nauczyłem się od niego, zwłaszcza kiedy pracowałem z nim przy utrzymywaniu w ruchu maszyn kopalnianych. Z chwilą, kiedy już mogłem pracować jako dyżurny zmianowy, moje pobory wzrosły prawie dwukrotnie.

Spółka Glen Davis powstała przed wojną, ale później została przekształcona w przedsiębiorstwo państwowe, jako że produkty naftowe stanowiły jeden z podstawowych materiałów dla potrzeb wojennych. Było tam zatrudnionych ok. 2000 mężczyzn. W Glen Davis mieszkało bardzo mało kobiet. Mężczyźni pochodzili

z różnych stron Australii, ale wielu przybyło z różnych, dalekich nawet krajów. Populacja męska składała się z wielu ras, na ogół stanowili oni typ ludzi silnych, twardych z pewnym odsetkiem kryminalistów.

Porządku publicznego pilnował unikalny sierżant policji, spełniał on swoje zadanie na celująco. Nazywał się Bob B., a wierzył bardziej w skuteczność cielesnego wymiaru kary, niż pozbawienia wolności. Skupiał w swoim ręku wiele ról. Nie tylko pełnił podstawową rolę stróża porządku publicznego, ale zmuszał do przestrzegania prawa, aresztował, sądził, wydawał wyroki, wykonywał je /także przy pomocy swej ogromnej pięści/. Robił to wszystko bardzo szybko! Jego sposób pełnienia służby był bardzo skuteczny. Byłem od czasu do czasu świadkiem jego działań w różnych zajęciach - przypominał zręcznego bohatera z okresu Dzikiego Zachodu. Cieszył się dużym respektem, ja również go podziwiałem i starałem się zostać jego przyjacielem. Uznałem, że lepiej być razem u nim, niż mieć go przeciwko sobie. I faktycznie, staliśmy się dobrymi przyjaciółmi, korzystał nawet z moich rad w podejmowaniu decyzji. Zdarzyło się kiedyś, że miałem zaszczyt zastępować go, gdy zniknął na dwa dni ze swoją narzeczoną!

Mieliśmy także lekarza - oryginała, zwał się Howard B., pilot z czasu wojny. Był to latający holender. Słynął z żartobliwego stosunku do pacjentów, którzy udawali chorych, lub miewali urojenia chorobowe. Silni, zdrowi mężczyźni próbowali często wyłudzać od niego zwolnienia chorobowe z pracy, obawiali się jednak jego, choć niekiedy szedł im na rękę. Był też taki przypadek, że jeden z robotników, szczególnie natrętny w uzyskiwaniu zwolnień otrzymał je pewnego dnia i przedstawił je w biurze. Urzędnik otworzył kopertę, przeczytał powód zwolnienia z wielkim rozbawieniem, gdyż w pozycji o rodzaju choroby, lekarz napisał żartobliwe rozpoznanie dotyczące męskich zachcianek. Specyficzny humor tego lekarza nie miał granic!

Nasz lekarz był również człowiekiem nieustraszoną. Kiedyś miała miejsce wielka powódź, woda unosiła nie tylko drobne przedmioty, ale także szczątki zabudowań, most na naszej rzece Caperte został również zniesiony. W tym czasie lekarz został właśnie wezwany do chorego, znajdującego się po drugiej stronie wzburzonej rzeki. Nie namyślając się długo, lekarz wskoczył do swego samochodu i ruszył z dużą szybkością w stronę rzeki. Mimo naszych nawoływań

lekarz wjechał w nurt rzeki i oczywiście daleko nie ujechał, stanął w środku rzeki, samochód znalazł się prawie całkowicie pod powierzchnią rwącej wody. Wtedy nasz lekarz po prostu otworzył okno, wyostał się na zewnątrz samochodu i stylem „pieskim” popłynął do brzegu, nie czyniąc z tego wydarzenia żadnej sensacji. Wyciągnęliśmy samochód z tej błotnistej mazi, ale nie mogliśmy go oczywiście uruchomić. Lekarz tym się nie przejął, powiedział, że natura robi swoje, słońce go wysuszy i poszedł do chorego.

Mieliśmy w mieście polskiego dentystę-chirurga, ale będąc obcokrajowcem, nie miał pozwolenia na uprawianie swego zawodu, mimo że legitymował się uniwersyteckim dyplomem z Francji. Był on naszym jedynym dentystą. Ja również ubiegałem się u władz w Sydney w jego sprawie, ale bez efektów. Najbliższy uprawniony dentysta znajdował się w odległości ok. 60 mil stąd, jako jedyny, stał się on nieoficjalnym dentystą w naszym mieście. Uprawiał nielegalnie swój zawód i wszyscy o tym wiedzieli. Jego gabinet znajdował się w piwnicy domu, w którym mieszkalem. Tak się jednak, niestety stało, że na skutek jakichś nieporozumień domowych, popełnił później samobójstwo.

Innym ciekawym typem był niejaki C., kierownik miejscowej elektrowni. Miał kilka córek, każda z nich była pięknoscią w swoim rodzaju, prawdziwe gwiazdy filmowe. Nazywaliśmy tę rodzinę miejscowym Hollywood.

Pewnego dnia pracowałem na mojej popołudniowej zmianie w kopalni, kiedy zawiadomiono mnie, że zepsuł się wózek kopalniany w jednym z tuneli. Znalazłem ten wózek załadowany urobkiem, blisko przedniej ściany. Kierowca siedział obok.

- *Co się stało z twoim wózkiem?* - zapytałem.

- *Ty jesteś mechanikiem, znajdź błąd i zaradz coś!* - odburknął.

- *Bardzo dobrze, na pewno wykryję błąd* - odpowiedziałem.

Kierowca nie wykazywał żadnej ochoty do współpracy, czy pomocy. Musiałem liczyć tylko na własne siły. Straciłem wiele czasu na szukanie przyczyny awarii, wszędzie kontrolowałem, niczego złego nie znalazłem, a wózek nadal nie chciał ruszyć! Kierowca spoglądał na moje wysiłki z kompletną obojętnością, a może nawet z wewnętrzną satysfakcją. Kiedy już nadszedł czas połowy zmiany, powiedziałem kierowcy, żeby sobie gdzieś poszedł. Później dowiedziałem się, że zamiast mi pomóc, popijał piwo w barze!

Ta awaria stanowiła dla mnie prawdziwą zagadkę. Zacząłem sprawdzać wszystko od początku i wreszcie znalazłem kawałeczek brązowego papieru wetkniętego między styki elektromagnetyczne i papierek ten działał jako izolator, przerywając obwód prądu. Styki i papierek były tego samego koloru i dlatego straciłem tyle czasu na wykrycie tego wyczynu kierowcy. Był to rodzaj małego sabotażu. Byłem bardzo zdenerwowany tym wykryciem i gotów byłbym pobić kierowcę, gdyby on znalazł się w tej chwili przy swoim wózku.

Pod koniec zmiany miałem obowiązek napisać raport o stanie maszynierii kopalnianej, który doręczałem do inżyniera dyżurnego. Oczywiście, dokładnie opisałem, co się wydarzyło. Inżynier przedstawił mój raport kierownikowi kopalni. Ten nie miał wątpliwości, że to sprawka kierowcy, zaczęło się dochodzenie. Kierowca wniósł odwołanie do dyrektora spółki, oburzając się na takie posądzenie. Były różne spotkania, niepokoje spowodowane wmieszaniem się górników, którzy ujęli się za kolegą, gdyż groziło mu zwolnienie z pracy.

Stała produkcja, sytuacja stała się krytyczna, ponieważ nie było już zapasów do retort i nie zanosilo się na kontynuowanie produkcji. Wkrótce menager wezwał mnie do swego biura i zapytał mnie, czy byłem pewny swego, czy być może nie zrobiłem błędu w moim raporcie. Oświadczyłem, że jestem całkiem pewny. Wtedy nalegał, abym zmienił raport. Odmówiłem. Menagerowi nie wolno było pozwolić na zatrzymanie produkcji z powodu tego zajścia, poszedł na kompromis - kierowca nie poniósł konsekwencji swego czynu, pracował dalej. Był to typowy przykład podejścia do spraw żywotnych kopalń ze strony niektórych dyrektorów spółek.

Ten przypadek z kierowcą sprawił, że stałem się człowiekiem niemiłe widzianym w kopalni wśród kolegów z pracy, jak również przez osoby z kierownictwa, z których wiele było przekonanych komunistycznych. Nie było łatwo pracować w takiej atmosferze i kiedy nadszedł czas zamknięcia kopalni, nie byłem tym zmartwiony. Nasza kopalnia nie wytrzymywała ekonomicznie, produkowała paliwo zbyt drogie i Rząd Federalny zdecydował o jej zamknięciu. Glen Davis stało się miastem wymarłym.

Był rok 1952, w którym Australia wpadła w kryzys. Rozszerzyło się bezrobocie, więc i ja miałem spore trudności w znalezieniu nowej pracy. Po kilku tygodniach udałem się do kopalni North Coast, około 150 mil na północ od Sydney i tam

napotkałem na korzystne dla mnie okoliczności. Kopalnia była wyposażona w nowe maszyny amerykańskie, a niewiele osób znało się na ich obsłudze. Na szczęście miałem doświadczenie w tym zakresie. Zostałem przyjęty do pracy i była to praca ułatwiona, gdyż nowe maszyny nie sprawiały kłopotów. Mieszkalem w pobliskim hotelu, kupiłem sobie Renault i zacząłem urządzać przejażdżki, weekendy często spędzałem w Sydney. Towarzystwo w kopalni było raczej nieprzystępne, unikało kontaktów z obcymi. Nie mogłem narzekać na złe traktowanie mnie przez nich, wyczuwałem jednak, że chęć zbliżenia się do nich byłaby widziana jako niepożądana.

Jeździłem coraz dalej, czasem zaglądałem do Glen Davis, gdzie jeszcze pozostali nieliczni. Dowiedziałem się, że Clem N. został awansowany na dyrektora generalnego. Poznałem jego sekretarkę Joan Ellis i zakochaliśmy się wkrótce ze wzajemnością. Zaczęliśmy się często spotykać, czasem w Sydney, gdzie mieszkali jej rodzice. W końcu zdecydowaliśmy się pobrać i przedstawiliśmy nasz zamiar rodzicom. Ojciec przyjął tę wiadomość z godnym spokojem, ale jej matka była przerażona na myśl, że jej córka ma poślubić obcokrajowca. Do tego trzeba dodać, że moja praca w kopalni dobiegała końca i czekało mnie znowu poszukiwanie nowej pracy. Mimo wszystko wzięliśmy ślub w lipcu 1953 roku. Ceremonia ślubna i przyjęcie weselne były wspaniałe, a nasz miesiąc miodowy spędziliśmy w Górach Niebieskich.

VIII. SUKCESY

Małżeństwo było dla mnie punktem zwrotnym w życiu. Obojgu nam zaczęło się lepiej powodzić. Zamieszkaliśmy w Newcastle i tam założyliśmy sklep o charakterze ogólnotowarowym z przewagą artykułów pierwszej potrzeby. Początkowo trzeba było walczyć o utrzymanie sklepu, o zapewnienie jego opłacalności. Zdobyliśmy wiele doświadczeń, wiele nauczyliśmy się. Na szczęście mieliśmy w pobliżu kilku dobrych przyjaciół - Polaków, którzy byli w stanie nam pomagać.

W tym czasie stałem się uczestnikiem wypadku drogowego. Nastąpił karambol - zderzyły się dwa samochody ciężarowe z dwoma samochodami osobowymi. Zostałem na krótko zabrany do szpitala. Dobrze, że na tym się zakończyło, był to groźny wypadek.

Jednej nocy, w czasie naszego głębokiego snu, wybuchł pożar w sąsiednim sklepie chemicznym, szczęśliwie dla nas przejeżdżający motocyklista wszczął alarm. Wyszliśmy z tego bez szwanku, ale straciliśmy prawie cały nasz towar, a tylko część jego była ubezpieczona. Z trudem zdołaliśmy odbudować sklep i rozpoczęliśmy na nowo działalność i osiągać zyski.

Sporo naszych klientów było młodymi ludźmi. Wśród nich wyróżniała się młoda dziewczyna o aktorskich skłonnościach, z którą lubiłem się przekomarzać, a czasem postraszyć ją. Obiecałem jej, że będzie sprzedana Cyganom. Tak się złożyło, że Cyganie rozłożyli w pobliżu obóz. Kiedy dziewczyna w najlepszym nastroju wyczyniała swój pokaz aktorski, wepchnąłem ją do samochodu i udałem się w kierunku obozu cygańskiego. Widocznie uwierzyła tym razem w spełnienie mojego zamiaru, bo tak bardzo przestraszyła się, że musiałem ją uspokajać i zawróciłem.

Pewnego dnia jakaś grupa awanturników zdjęła nam szyld sklepowy i zawiesiła go wysoko na drzewie!

Miałem stałą klientkę, ładną młodą kobietę, która poświęcała sporo czasu na pogawędki ze mną. Powstała raz komiczna sytuacja, mogąca stworzyć podejrzenie, że zachowuję się niegrzecznie wobec niej. Po prostu poczuła łaskotanie na nodze, spojrzała na mnie wymownie z cieniem obrazy, będąc przekonana, że sobie za dużo pozwalałam. Okazało się w samą porę, że winowajcą nie byłem ja, ale mój ulubiony kotek!

Prowadziliśmy sklep przez trzy i pół roku, po czym zdecydowaliśmy się go sprzedać. Interes nasz bardzo się rozwinął w ciągu minionego okresu i udało nam się sprzedać sklep za prawie podwójną cenę. Kupiłem dużego Forda z przyczepą kampingową i następnych 8 miesięcy spędziliśmy podróżując po wschodnim wybrzeżu Australii. Dotarliśmy aż do Cairns na północy stanu Queensland. Była to podróż w pełni udana, spotkaliśmy sporo przyjemnych ludzi po drodze.

Zacząłem się przyglądać hotelom i w końcu kupiłem hotel w Mittagong. Posiadał 25 pokoi, był bardzo ładny.

Miasto pamiętało czasy pionierów, posiadało wiele obiektów tradycyjnych. Nasz poziom życia poprawiał się, mieliśmy dużo wpływowych przyjaciół. Otrzymałem nawet propozycję udziału w życiu politycznym, ale nie skorzystałem z niej.

Zorganizowaliśmy mały zwierzyńiec, włączając w grono naszej fauny także kangura nazwanego Tammy, który cieszył się ogromną sympatią dzieci.

Cztery lata później kupiliśmy Woollara-Hotel w Sydney. Naszymi gośćmi byli ludzie wysoko sytuowani: lekarze, prawnicy, właściciele fabryk, przedstawiciele miejscowych władz, również sędziowie. Prowadziliśmy wiele interesujących dyskusji.

Inaczej tu było niż w Mittagong, gdzie miejscowy ksiądz jadał i pił za darmo, pochłaniając część naszych dochodów. W końcu przebrał miarę, a stało to się wtedy, kiedy wcisnął nam pewnego wędrowca, oczywiście z myślą, że zapewnimy mu pełne utrzymanie. Ostrzegłem księdza, żeby coś takiego więcej już się nie powtórzyło. Miałem więc od tej pory nową przeszkodę na mojej drodze - kościół. Ksiądz jednak nauczył się płacić za posiłki a zjawiał się już rzadziej niż dawniej. Powodowała nim jednak jakaś złośliwość niegodna duchownego, bo odmówił swego udziału w pogrzebie katolickiego Żyda. W tej sytuacji moi przyjaciele pośpieszyli z pomocą i ofiarowali się ze swoimi różnymi usługami zrozpaczonej rodzinie. Jakie zasady religijne prezentował ten ksiądz? Długo się na tym zastanawiałem.

Jednego wieczoru spokój w Woollara został zakłócony przez liczną 30-to osobową grupę Chorwatów, znanych jako notorycznych pijaków. Byli moimi stałymi klientami, mieszkali niedaleko w dużym budynku położonym na rozległym obszarze. Jak zawsze ciekawy, zagrałem kiedyś kierowcę bagażówki i dostarczyłem im różne trunki, o które prosili, a właściwie chodziło mi o zorientowanie się w sposobie ich tajemniczego bytowania. Zastaliśmy jednak to miejsce mocno strzeżone i w dalszym ciągu musiały pozostać tylko domysły.

Chorwaci pili nieustannie w naszym barze, niekiedy wpadali w białą gorączkę, bili się z sobą. Musiałem często występować w roli rozjemcy i w sposób bardzo oględny panować nad sytuacją. Bitwy były częste, przybierały niebezpieczne rozmiary, bo i bojownicy przedstawiali osobników o silnych i rubasznym charakterach.

Prawie nagle Chorwaci zniknęli, a ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, nadeszła wiadomość radiowa, że 9-ciu Chorwatów w Jugosławii zostało aresztowanych za usiłowanie zabójstwa marszałka Tito. To oczywiście stworzyło szczególną atmosferę wokół emigrantów jugosłowiańskich, a szczególnie wokół opuszczonego domu i śladów bytowania niedawnych jego mieszkańców.

Po wydarzeniu odetchnęliśmy, nastał czas spokoju. Zamierzaliśmy tu pozostać na dłuższy czas, staliśmy się znani w okolicy. Ale zjawił się zamożny busi-

nessman i oferował nam korzystną sumę za naszą posiadłość. Nie mogliśmy się odnieść negatywnie do tak korzystnej oferty. Po załatwieniu transakcji, wybraliśmy się na kilkumiesięczny pobyt do Bondi Beach. Bardzo potrzebowaliśmy już wypoczynku.

Myślałem o poszukiwaniu jakiejś pracy, lecz wtedy miałem już 45 lat, a wiek taki nie jest odpowiedni do rozpoczynania kariery pracowniczej. W tych chwilach rozterki moja szczęśliwa gwiazda błysnęła jaśniej - nadarzyła się okazja, rzadka okazja, kupna hotelu i to dużego hotelu, za połowę ceny. Był to okres ogólnego braku pieniędzy i dlatego na kupno tego hotelu nie było chętnych.

Tak więc staliśmy się właścicielami hotelu na 600 miejsc, z lokalem nocnym z orkiestrą, śpiewakami, występami artystów, osobistościami z telewizji itd. Nosił nazwę Bexley North Hotel i w tym czasie, w 1965 r., był najbardziej nowoczesnym hotelem w Sydney. Przedsięwzięcie to wymagało dużych nakładów, lecz widoki na przyszłość przedstawiały się zachęcająco. W hotelu tym znajdowała się również sala barowa na 200 osób i dodatkowo dwie spore sale przeznaczone do sprzedaży na wynos. Obsługa liczyła 70 osób.

Interes początkowo pochłoniął wiele pieniędzy, lecz po pewnych nielicznych usprawnieniach polegających na przeróbkach budowlanych, mechanizacji itp., zaczął przynosić zyski. Pracowaliśmy z żoną ciężko, należało wszystkiego osobiście dopilnować. Hotel narażony był na grabież, złodziejstwo, rozboje. Musieliśmy być w każdej chwili gotowi do spełniania roli gospodarzy, podejmować gości i towarzyszyć im, interweniować w przypadkach złych zachowań podpitych bywalców itd. Nocą robiliśmy oboje remanenty rzeczowe i kasowe, kładliśmy się spać z reguły o trzeciej nad ranem. Utrzymywałem przyjazne stosunki z policją, często była potrzebna ich pomoc. Niekiedy musiałem wzywać nocne patrole do ścigania rozbójników.

Ale zanim kupiłem hotel Bexley, odwiedziłem Polskę. Podróż samolotem z Australii do Europy trwała wtedy 5 dni, była podzielona na kilka etapów, odmiennie niż dzisiaj, kiedy na pokonanie tej trasy wystarcza tylko jedna doba.

Udałem się najpierw do brata, który założył rodzinę i zamieszkał w Szczecinie. Skierowaliśmy się z nim w towarzystwie jego bliskich pociągiem do Zduńskiej Woli, gdyż wówczas nie dysponowałem jeszcze samochodem na tym terenie. Ojciec

nasz nie żył, zmarł pod koniec wojny, a my, jego synowie, znajdowaliśmy się za nieprzebytą barierą.

W naszym rodzinnym domu znajdowało się państwowe przedszkole, zamieszkała w nim opiekunka przedszkola z rodziną. Tak się składało, że nie mogliśmy się dostać do własnego domu, ciągle był on zamknięty, wyglądało to dość podejrzanie. Odnalazłem w okolicy wielu jeszcze starszych krewnych i znajomych, poznałem sporo młodych krewnych, których zobaczyłem po raz pierwszy.

Udałem się do domu Zygmunta. Jego matka, o dziwo, poznała mnie! Dowiedziałem się, że mieszka on z żoną Zofią w Łodzi. Pośpieszyłem w towarzystwie kuzynki odwiedzić ich. Spoglądaliśmy na siebie z dystansu ćwierćwiecza – nie byliśmy już młodzieńcami. Opowiadaniom nie było końca. Zygmunt nie pochwalił mnie za 20-letnie milczenie. Dużo refleksji nastreczyły przechowane przez niego listy i karty z odległych już czasów. Były to karty z mojej ucieczki pisane w Jugosławii, listy mojego brata z obozu jenieckiego, listy z mojego pobytu w hostelach angielskich. Szczególnie wzruszający był jeden z listów brata, w którym powątpiewał on w moje istnienie wśród żywych. Wiedział bowiem, że jestem w wojsku w Afryce i niewątpliwie biorę udział w walkach. Zabawny był natomiast mój powojenny list z Anglii, w którym skarżyłem się, że jestem eksploatowany przez miejscowe blondynki, które między innymi, określały nas Polaków jako „very romantic nation”. Zygmunt przekazał mi te listy, stanowiły one po powrocie do Australii niemałą rewelację w gronie moich tamtejszych przyjaciół.

Dowiedziałem się, że nasz trzeci kompan z lat młodzieńczych, Kazik założył rodzinę i mieszka na terenach zachodnich.

W Zduńskiej Woli odnalazłem Kazimierza G. uczestnika naszej ucieczki z Trofaiach, jedyny, który przeżył wojnę z czwórki złapanych.

Mój pierwszy pobyt w Polsce wzbudził wiele uczuć, refleksji często sprzecznych. Wśród tych ostatnich dominowało odczucie, że nie jest to już ten kraj, jaki pozostał w mej pamięci z lat przedwojennych. Niestety!

W roku 1968 wziąłem z żoną udział w spotkaniu międzynarodowej grupy hotelarzy. Zwiedziliśmy wiele hoteli i moteli. Byliśmy pod silnym wrażeniem hoteli nowojorskich a szczególnie hotelu „Americana”, którego pokoje mogły pomieścić 4000 osób, a ponadto taka sama ilość gości mogła być ulokowana w różnych

pomieszczeniach, załoga liczyła 2000 ludzi, co dawało łącznie 10000 osób pod jednym dachem!

Podróż ta stworzyła nam wiele okazji turystycznych, z których w pełni korzystaliśmy. Zwiedziliśmy najważniejsze obiekty w krajach zachodniej Europy, choćby wymienić takie jak: Riviera, Monte Carlo, Alpy itp. A trzeba powiedzieć, że żona po raz pierwszy znalazła się w Europie. Wynająłem w Berlinie samochód i dysponując już niezależnym środkiem lokomocji, wyruszyliśmy do Polski.

W pierwszej kolejności zawitaliśmy do brata w Szczecinie, gdzie nastąpiło wreszcie wzajemne poznanie żony z bratem i jego rodziną. Zetknięcie żony z otoczeniem miejscowym wskazało, jak ważna jest znajomość języków obcych. Nie znała polskiego, a angielski był w Polsce wtedy jeszcze mało rozpowszechniony. Pojechaliśmy następnie do Zduńskiej Woli, pokazałem żonie mój dom rodzinny, w którym ciągle jeszcze mieściło się przedszkole. /Po niedługim już czasie, dzięki mojej interwencji u władz, przedszkole zostało przeniesione do innego budynku/.

Żona była zachwycona krajobrazem polskim, w szczególności polską złotą jesienią, nadającą naszym lasom tę niezapomnianą mozaikę barw. Żona miała również okazję obejrzeć cmentarz zduńskowski w Dniu Wszystkich Świętych, kiedy tonął on w powodzi kwiatów i ogni świec, a nad nim wisiała daleko widoczna łuna. Rozmiar tego obrzędu, obok szczególnej dbałości o cmentarze, stanowią jeden z elementów polskiego folkloru, wprawiającego w podziw niejednego obcokrajowca. Tak też to odebrała żona.

Zatrzymaliśmy się też w Grand Hotelu w Łodzi. Późnym wieczorem zawitałem do, udających się już na spoczynek, Zygmuntów i zaprosiłem ich do hotelu. Była to dla nich tak wielka niespodzianka, że poderwali się szybko, jak gdyby na alarm wojskowy. Powitanie z Joan było niezatartym przeżyciem - otwarte ramiona, podniesione głosy, atmosfera pełna szczerości. Dobrze, że oni znali trochę angielskiego. Joan zapytała ich, kiedy oni odwiedzą Australię. Na to Zygmunt odpowiedział, że jest to tak bardzo daleko, ale wtedy Joan, z właściwym jej optymizmem zauważyła, że podróż trwa tylko 5 dni! Po paru kieliszkach whisky, byliśmy wszyscy w cudownych humorach, nie mogliśmy się rozstać. Po wyjściu z hotelu Zygmunt zaczął podśpiewywać

angielskie piosenki, w tym bodaj również akordy hymnu angielskiego. Ja, po kilku kieliszkach, uparłem się, by ich koniecznie odwieźć samochodem do domu /pół kilometra!/. Żony nasze nie godziły się na to. Zaczęło się więc piesze odprowadzanie tam i z powrotem. Byliśmy obserwowani przez stróży porządku publicznego, ale zostawiali nas w spokoju. Następnego dnia Zygmunt i Zosia nie poszli do pracy, poprosili o jednodniowy urlop! Smak whisky czuli jeszcze przez kilka dni - pili ją bez wody! Po tym spotkaniu nasza przyjaźń zacieśniła się, rozwinęła się dość bogata korespondencja między nami, w czym celowała Joan, a Zygmuntów zmobilizowała do pogłębienia znajomości angielskiego.

Wróciliśmy do Australii, do naszego Bexley-u z głowami pełnymi przeróżnych pomysłów. Po drodze zwiedziliśmy co ciekawsze miasta w Stanach Zjednoczonych, wstąpiliśmy również na Hawaje.

Zdecydowaliśmy się jednak sprzedać Bexley-a. Pożegnanie zamieniło się w wielką ucztę ze szczególnym wkładem organizacyjnym policji, z jej inspektorem na czele. Były to dla nas bardzo wzruszające chwile.

Następnie zakupiliśmy motel w mieście Wollogong liczącym 250.000 mieszkańców. Nazywał się Cabbage Tree Hotel-Motel. Posiadał 40 pokoi, była tu możliwość urządzania przyjęć weselnych, wystaw i innych imprez, którymi prawie wyłącznie zajmowała się żona. Była tu także restauracja.

Ponieśliśmy jednak szkody - zostaliśmy okradzeni i to nawet 4-ro krotnie. W związku z tym byliśmy prezentowani kilka razy w wiadomościach telewizyjnych. Przybyli do nas przedstawiciele Urzędu Emigracyjnego i zaoferowali nam główne role w stosownym filmie, który mieli zamiar nakręcić. Uniesiony fantazją pozwoliłem sobie na marzenie, że mógłbym z czasem być zaproszony do Hollywoodu! Nigdy to jednak nie nastąpiło.

Zorganizowałem Polski Klub. Mój bliski przyjaciel Ryszard T. objął przewodnictwo klubu, ja pełniłem funkcję jego zastępcy przez 2 lata. Wtedy po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Australii, zacząłem tu mówić po polsku i zdziwiłem się, że posługiwanie się językiem polskim, językiem ojczystym, sprawia mi spore trudności. Zauważyłem to już dawniej, w czasie pobytu w kraju.

Hotel Cabbage Tree prosperował dobrze. Stopniowo rozszerzałem nasz stan posiadania. Nabyłem dalsze obiekty hotelowe w Kingswodd, Sydney

i na południe od Follogong tak, że posiadaliśmy łącznie 3 hotele i 2 motele. W tym momencie zaprzestaliśmy bezpośrednio prowadzić te obiekty i postanowiliśmy je wydzierżawiać.

Nabyliśmy dom mieszkalny o wysokim standardzie, położony na przyjemnym przedmieściu Sydney, zwanym Sylvania Waters. Szereg domów, podobnych do naszego, tworzy atrakcyjną zabudowę nad brzegiem pięknej zatoki. Pogłębiony brzeg pozwala na dopływanie łodzi morskich pod same domy. Można by rzec, że dysponuję własnym portem morskim! Jesteśmy z żoną zadowoleni z naszego wygodnego domu i cieszymy się mogąc swobodnie podejmować gości przybyłych niekiedy z odległych stron, w tym również z Polski.

Miałem dużą satysfakcję, kiedy zaczęły rozpisywać się o mnie sydney'skie gazety. Opisywano mój skomplikowany życiorys, wieloletnią walkę o godny byt. Wskazywano, jak to dobrze jest żyć w Australii, że nawet obcokrajowiec może tu nieźle się urządzić dzięki wytrwałości i solidnej, żmudnej pracy. Stałem się więc obiektem dobrze rozumianej propagandy.

W latach 1974 i 1978 wybraliśmy się znowu z żoną do Europy, tym razem prywatnie. Zwiedziliśmy dalsze interesujące strony na zachodzie i oczywiście Polskę. Jeździliśmy dużo samochodem po kraju. Krąg krewnych i przyjaciół rozszerzał się. Moi bliscy Polacy z Australii obdarowywali mnie szeregiem zleceń dotyczących ich rodzin w Polsce i na odwrót.

Bardzo zabawne zdarzenie miało miejsce przy spotkaniu z moim kolegą z dzieciennych i młodzieńczych lat, Kazikiem. Otóż dowiedziałem się, że przyjechał on do swoich rodziców, którzy, jak już wspomniałem, posiadali domek w bliskim sąsiedztwie mojego. Zajechałem tam i poznałem go, choć nie było to łatwe - dzielił nas 25-letni okres rozłąki! Kazik nie poznał mnie, nie miał pojęcia, kto ja jestem? Na pewno potraktował mnie za intruza. Wywiązała się następująca rozmowa:

- *Kim pan jest i o co panu chodzi?* - zapytał Kazik.
 - *Ja pana znam i mam do pana sprawę* - odpowiedziałem.
 - *Ale ja pana nie znam!* - powiedział już poirytowany.
 - *A jednak pan powinien mnie znać!* - nalegałem.
 - *Niech pan mówi o co chodzi? Albo proszę opuścić nasz dom!* - wybuchnął mocniej.
- Nie mogłem już dalej go irytować.

- *Taki to pan teraz ważny, a nie pamięta pan jak to się grało w karty i powtarzał pan ciągle „karta wymaga”?* - zapytałem spokojnie.

Kazik zdębiał i tak trwał chwilę. Spojrzał na mnie badawczo, wreszcie wykrzyknął:

- *Gedeon, to Ty?*

Długo trwały nocne kolegów rozmowy. Żał mi było żony, którą pozostawiłem w hotelu i nic dziwnego, że była mocno zaniepokojona moją długą nieobecnością. Nie byłem jednak w stanie powiadomić ją o przedłużeniu się tak szczególnego spotkania.

Pod koniec lat siedemdziesiątych mój stan zdrowia pogorszył się. Wystąpiły dolegliwości sercowe, nasze rodzinne utrapienie. Bliska, znajoma lekarka kardiolog w Polsce, po wielu badaniach, doradziła mi operację serca. Była to operacja ciężka, ale skuteczna. Poczułem się dużo lepiej, jednak po ja- [...] ²²

Skoro tylko podstawowe dolegliwości moje minęły niespokojna natura popchnęła mnie do dalszych działań, tym razem w kierunku odszukania osób, sprzed wielu dziesiątek lat, które odegrały szczególną rolę w moim życiu.

Postanowiłem odnaleźć moją angielską przyjaciółkę z okresu wojny June W. Dzięki niespotykanej uprzejmości londyńskiej policji, dowiedziałem się o jej adres, mimo zmiany nazwiska. A co ciekawsze, stało to się na odległość, po prostu drogą korespondencyjną. Spotkaliśmy się na londyńskim lotnisku Heathrow, nie mieliśmy trudności w poznaniu się. June mieszka w Londynie, a jej mąż Tiger J. ²³ jest emerytowanym oficerem, wielokrotnie odznaczony za zasługi poniesione w czasie wojny, bardzo szczęśliwy, że przeżył. Spędziłem czas jakiś w ich towarzystwie w Chelsea i Wiltshire. Skorzystali z mojego zaproszenia, przybyli do Sydney i po raz pierwszy zobaczyli się z Joan. Urządziliśmy wspólną wycieczkę po Nowej Południowej Walii, która wspaniale się udała. Na zakończenie June zaproponowała mi, abym opisał

22 W trakcie opracowania wspomnień Gedeona Lorenc mieliśmy do dyspozycji kopię tekstu w tłumaczeniu Zygmunta Grzybowskiego. Niestety maszynopis posiada uszkodzenie na stronie nr 124. Po słowach „Poczułem się dużo lepiej, jednak po ja- [...]” zdanie jest ucięte, a kolejnej linijki tekstu brakuje. Miejsce przechowywania oryginalnej transkrypcji taśm ze wspomnieniami G. Lorenc wytworzonej w języku angielskim nie jest znane. W związku z tym nie mieliśmy możliwości odtworzyć wspomnianego brakującego fragmentu.

23 June Wingfield wzięła ślub z Johnem Anthonym Jessopem.

historię mojego ciekawego życia. Ta propozycja stała się początkiem powstania niniejszej opowieści.

Drugim ważnym osiągnięciem poszukiwawczym było odnalezienie mojej szkolnej przyjaciółki z Chełma Marii S. Mieszka w Londynie. Odnowiliśmy naszą przyjaźń, opowiadania nasze przynosiły nam wiele przyjemnych wspomnień, trwały zazwyczaj do wczesnych godzin rannych.

Od wielu już lat urlopy spędzamy oddzielnie, gdyż jedno z nas musi pozostawać w domu. Żona z bliską przyjaciółką wybiera się na dalekie międzykontynentalne wycieczki. Dwukrotnie trasa ich wycieczek wiodła przez Polskę.

Ja z reguły spędzam urlopy w Polsce, przy czym w roku 1985 dodatkowo urozmaiciłem urlop, włączając się do wycieczki, która obejmowała Rosję, Skandynawię, Europę Zachodnią, Amerykę Północną.

Wielotygodniowa rozłaka urlopową wpływa doskonale na małżeństwo, odradza je, zakwita wzniosłym uczuciem wyrosłym na podłożu tęsknoty!

W dalszym ciągu odwiedzam krewnych i przyjaciół, załatwiam zlecenia bliskich mi rodaków i tu i tam. Często przebywam w Łodzi, zatrzymując się u mojej kuzynki Zosi, spotykam się również z Zygmuntem.

W roku 1990 spotkała mnie nadzwyczaj miła niespodzianka - otrzymałem w Sydney zaproszenie na Zjazd Absolwentów Szkoły Technicznej w Chełmie Lubelskim. Przyjechałem, a „com czuł i widział” umieściłem w oddzielnym, załączonym do niniejszego, dodatku. Zrobiłem to na skutek obietnicy, którą dałem Dyrektorowi Szkoły, jako początek więzi korespondencyjnej, którą pragniemy kontynuować.

A kiedy już mam trochę przerwy w moim ruchliwym życiu urlopowym, odpoczywam w rodzinnym domu w Janiszewicach, pełen sentymentalnych odczuć, w domu, w którym się urodziłem.

IX. DODATEK

ODPIS

Sydney, Australia 25.01.1991
49 Hawkesbury Espl.
Sylvania Waters, NSW 2224

Dyrektor
Zespołu Szkół Technicznych
22-110 Chełm Lubelski
Polska

Szanowny Panie Dyrektorze!

W dowód pamięci i mile spędzonych chwil podczas Zjazdu Absolwentów Szkoły, przesyłam Panu słów parę o moim życiu, z nadzieją na utrzymanie dalszych kontaktów.

Łączę serdeczne pozdrowienia
/-/ Gedeon Lorence

ODPIS

SKZIC

moich wspomnień i wrażeń na okoliczność uczestnictwa w V-tym Zjeździe Absolwentów Szkoły Technicznej w Chełmie Lubelskim w dniach 15-16 czerwca 1990 roku.

Dzień, w którym tu, w dalekiej Australii, otrzymałem zaproszenie na zjazd, był dla mnie dniem szczególnej radości wyrażającej się napływem tak ożywczych sił, jakie dają wspomnienia z lat młodości, jakie przynosi uczucie pamięci i więzi ze strony osób z ojczystego kraju. Tym wszystkim, którzy przyczynili się do zaproszenia mnie, a przede wszystkim Dyrektorowi Szkoły, składaam tą drogą serdeczne podziękowanie i gorące wyrazy wdzięczności.

Decyzję o wyjeździe do Polski, w celu skorzystania z zaproszenia, podjąłem natychmiast i po zwykłych przygotowaniach i dobrze odbytej podróży, znalazłem się w kraju, a następnie stanąłem przed drzwiami mej ulubionej szkoły. I tutaj czas mój cofnął się o z górą pół wieku.

W szkole znalazłem się na kilka lat przed wojną w wyniku decyzji mojego jedyne go, starszego o kilkanaście lat brata Bolesława, oficera zawodowego artylerii, stacjonującego właśnie w Chełmie Lubelskim. Do podjęcia tej decyzji skłoniły brata warunki, w jakich pozostawałem, będąc chłopcem, w domu rodzicielskim. Matkę, o wspa niałym, gorącym sercu, straciłem w wieku kilku lat. Ojciec, oficer artylerii carskiej, wrócił z I Wojny Światowej, po odniesionych ranach i niewoli, z mocno nadwyrężonym zdrowiem i nie mógł mi zapewnić dostatnich warunków nie tylko materialnych, ale również wymogów wychowawczych z uwagi na silne, a ujemne oddziaływanie otoczenia. Z tych względów funkcję ojcowską przejął całkowicie brat.

Zostałem umieszczony w internacie, rozpocząłem naukę pod stałym nadzorem brata, otoczony niemal dyscypliną wojskową. Jakkolwiek początkowo mi było zapomnieć o swawolach domowych, bo jednak w krótkim czasie przekonałem się, że wszedłem na właściwą drogę, stałem się młodzieńcem o szerokich ambicjach, zdałem sobie sprawę, że oddziaływanie brata i wpływ szkoły stanowią mocny

fundament pod moje przyszłe życie, które, jak się potem okazało, obfitowało w ponure cienie, ale też w promienne blaski.

Wspaniały mój brat, wzór sprawiedliwości, wpajał we mnie poczucie samodzielności, interesował się postępami w nauce, udzielał wszelkiej pomocy, wymagał jednocześnie wysokiej dyscypliny.

Odczuwałem jego zadowolenie z zachodzących we mnie zmianach na korzyść, ze zdobywania wiedzy, rozumowania i zachowania. A nauka pochłaniała mnie mocno ze względu na zakres przedmiotów, poczynając od znajomości pojazdów mechanicznych, elektrotechniki, maszynoznawstwa, a skończywszy na maszynopisanu, księgowości, przysposobieniu wojskowym. Mogę stwierdzić, że program mojej szkoły był w całej rozciągłości nastawiony na pełne zastosowanie zdobytych wiadomości w praktyce, pragnę dodać, że wszystkie one, dziwnym zbiegiem okoliczności, zostały przeze mnie, wcześniej czy później, całkowicie wykorzystane. Mogę powiedzieć inaczej - szkoła wyposażała mnie w podstawowe narzędzia do podjęcia startu życiowego i samodzielnej egzystencji. Oprócz tych wartości zawodowych szkoła chełmska wywarła na swoich podopiecznych znakomity wpływ moralny, a w szczególności wychowywała młodzież na prawych ludzi i wartościowych obywateli, co miało już wkrótce zaowocować, była prawdziwą kuźnią charakterów młodych ludzi.

Życie w internacie było, pod względem wychowawczym, przedłużonym ramieniem szkoły. Szczególnym autorytetem cieszył się nasz wychowawca, prof. Pilarski, człowiek wielkiej szlachetności, człowiek bez skazy, dlatego zwany „białym człowiekiem”, zginął w Oświęcimiu²⁴. Mile wspominam pobyt w internacie, do czego przyczyniła się duża życzliwość i zgodność współżycia ze strony kolegów pochodzących głównie z kresów wschodnich i tu, muszę podkreślić, znakomite cechy charakteru ludności z tych stron, które dały o sobie znać również w czasie zjazdu.

Letnie wakacje spędzałem w domu rodzinnym, położonym na przedmieściu miasta Zduńska Wola, również w roku 1939, nie przypuszczając, że będą to moje ostatnie wakacje.

24 Marian Pilarski (1914-1943), musiał być dla Gedeona wyjątkową postacią. To właśnie on odpowiadał za panującą w szkolnej bursie atmosferę, ale także formowanie podopiecznych. Pilarski był pedagogiem oraz drużynowym szkolnej I Drużyny Harcerskiej. W październiku 1939 r. powołał Tajną Organizację Harcerską, która weszła w skład Szarych Szeregów. Posługiwał się pseudonimem „Maryśka”. Aresztowany w 1942 r. przez gestapo. Stracił życie 26 września 1942 r. w KL Auschwitz.

Krótko po działaniach wojennych zawędrowałem do Chełma po to, by doznać pierwszego w życiu swoistego szoku. Wicher wojny zmiotł wszystko, co stanowiło jakąkolwiek wartość - szkoła zdewastowana, internat ograbiony, pozbawiony zostałem rzeczy osobistych, pamiątek. Brat, jak się później okazało, przebywał w niewoli niemieckiej.

W tym miejscu pragnę się zwrócić do młodzieży, uczącej się w mojej dawnej szkole z życzeniem, aby nigdy nie doznała tak strasznych doświadczeń, a jednocześnie doceniła obecne możliwości zdobywania wiedzy zawodowej, z zachowaniem pełnego szacunku dla tych, którzy jej to zapewнили i zapewniają, którzy troszczą się o rozwój szkoły w osiąganiu aktualnych wymogów nauki.

Znalazłem się z ojcem, pod własnym wprowadzie dachem, ale bez środków do życia, z walizką zawierającą tylko letnią odzież, a przed nami nadciągała ciężka zima i ponura noc okupacji. Tę wegetację dzieliłem również z zaprzyjaźnionymi dwoma kolegami z sąsiedztwa, szukając wyjścia z sytuacji, rozmyślając o sposobach ucieczki z okupowanego kraju.

Rozwiązanie nadeszło samo. Wiosną 1940 r. zostałem aresztowany i wywieziony licznym transportem do obozu pracy w Austrii.

Warunki obozowe spotęgowały we mnie uczucie buntu, nie mogłem pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Postanowiłem podjąć próbę ucieczki, zdając sobie sprawę z zagrożenia życia w przypadku niepowodzenia. Ucieczkę podjęliśmy w grupie 5-cio osobowej, z której tylko ja przedostałem się do Jugosławii, a jedynie drugi z naszej grupy przeżył wojnę.

Dalsze moje życie potoczyło się wartko, a różnych przygód starczyłoby na dużą opowieść. W Polskiej Misji Wojskowej, zarejestrowany jako ochotnik, zostałem przerzucony już w grupie poprzez Bułgarię, Turcję do formującej się Samodzielnej Brygady Karpackiej w Syrii. Dalsze moje losy związane były z tą jednostką, a więc była potem Palestyna, Egipt, Libia, w tym czteromiesięczna epopeja tobrucka. Wiele dzieł wydano o oblężeniu Tobruku, wspomnę jedynie od siebie, że prócz prowadzonych walk, dały mi się we znaki takie dolegliwości jak: słona woda pitna, krwiożercze falangi pcheł pustynnych, brud, burze piaskowe, prymitywne wyżywienie itp., choć zdarzało się czasem skosztować zdobycznego, wspaniałego włoskiego wina i rumu. Kampanię afrykańską odbyłem jako kierowca ciągnika artyleryjskiego,

(wówczas funkcja eksponowana), a to dzięki nabytym umiejętnościom w Chełmie.

Po wycofaniu SBK z Tobruku przechodziłem szkolenie, zostałem oficerem ze specjalnością artyleryjską. Ale miałem już dość uroków Afryki i Bliskiego Wschodu. Dodatkowo wystąpiły przykre stosunki personalne, co skłoniło mnie do zainicjowania zmian, postanowiłem dalszą służbę wojskową pełnić w lotnictwie, w czym jednak natrafiłem na zdecydowany opór przełożonych. Posunąłem się do drastycznych, sprzecznych z regulaminem, zachowań. Spór udało mi się wygrać i w połowie lipca 1943 r. zaokrętowany na olbrzymi statek francuski z tysiącami pasażerów, opłynąłem Afrykę i drogą wzdłuż Ameryki Południowej, przez Atlantyk znalazłem się w Anglii.

Tutaj - szkolenie specjalistyczne, pogłębianie znajomości języka angielskiego, wreszcie zostałem nawigatorem na bombowcu, zdążyłem jeszcze przed zakończeniem wojny odbyć loty nad Niemcami.

Kiedy już umilkły strzały, doznałem niezapomnianej przygody - odnalazłem brata w Bawarii, który z jeńca wojennego stał się komendantem obozu jeńców esesmańskich. Na mój widok zapytał: „*Kim Pan jest?...*”

Już pierwszy okres pokoju stworzył nowe problemy. Rozterka wśród walczących na Zachodzie Polaków, brak motywacji na powrót do kraju, staliśmy się niepotrzebnymi ludźmi. Znając podstawy pracy biurowo-księgowej, zostałem wprowadzić zatrudniony na pocztę polowej, następnie kierowałem hotelem robotniczym, ale stopniowo stanowiska te przejmowane były przez Anglików tak, że wylądowałem wreszcie w kopalni węgla.

Moja buntownicza natura nie mogła znieść takiej degradacji na dłuższą metę. Stworzone jeszcze przez Australijczyków miraż o ich ojczyźnie, poparte aktualnymi, zachęcającymi reklamami, skłoniły mnie do wyjazdu z liczną grupą do Australii. Tam również nie oczekiwała nas „ziemia obiecana”. Znowu praca w kopalni, tym razem w kopalni skałki roponośnej. Pomogła mi jednak płynna już znajomość języka angielskiego. Awansowałem, zostałem wybrany przez załogę na przedstawiciela obrony jej interesów. Zajmowałem się konserwacją sprzętu kopalnianego, praca nieźle płatna, interesująca, gdzie znowu moja znajomość elektrotechniki okazała się tak potrzebna. Jednak zawiść ludzka, w tym niestety części moich rodaków, święciła triumf - zrezygnowałem z tej dobrej pracy, przez pewien czas prowadziłem życie w izolacji.

W roku 1953 ożeniłem się z rodowitą Angielką i od tej pory zaczęło mi szczęście sprzyjać. Prowadziliśmy z żoną sklep, który mimo potknięć, przynosił coraz większe dochody tak, że po 4-ch latach byliśmy w stanie kupić hotel-motel. Z czasem, kupując okazynie i sprzedając korzystnie, nabyliśmy dalsze obiekty hotelowe, a ukoronowaniem tej działalności było posiadanie jednego z największych hoteli w Sydney. Przejściowo byłem właścicielem aż kilku hoteli. W roku 1968 odbyliśmy z żoną okrężną podróż, związaną ze spotkaniem światowych przedstawicieli hotelarstwa, m.in. spotkanie takie miało również miejsce w Warszawie. W roku 1975 zmarł mój brat. Jego powrót do kraju okazał się całkiem niefortunny.

Z biegiem czasu, ze względów oczywistych, ograniczyliśmy z żoną zakres naszych działań. Osiągnęliśmy już wysoki standard życiowy, postanowiliśmy zaznać zasłużonego, czynnego wypoczynku w formie turystyki o zasięgu światowym. Żona zwiedziła już wszystkie kontynenty, nie omijając wielokrotnie Polski, ja często odwiedzam swój kraj rodzinny, darząc szczególnym sentymentem mój dom rodzinny, utrzymuję kontakty z krewnymi i przyjaciółmi.

Czas przygniata ludzkie istnienia, czyni nieodwracalne zmiany w ich życiu, każe pamiętać o brzemieniu przemijania. Na zjeździe nie spotkałem nikogo z rówieśników z ławy szkolnej, a z całego grona przedwojennych absolwentów znalazło się jedynie kilkanaście osób.

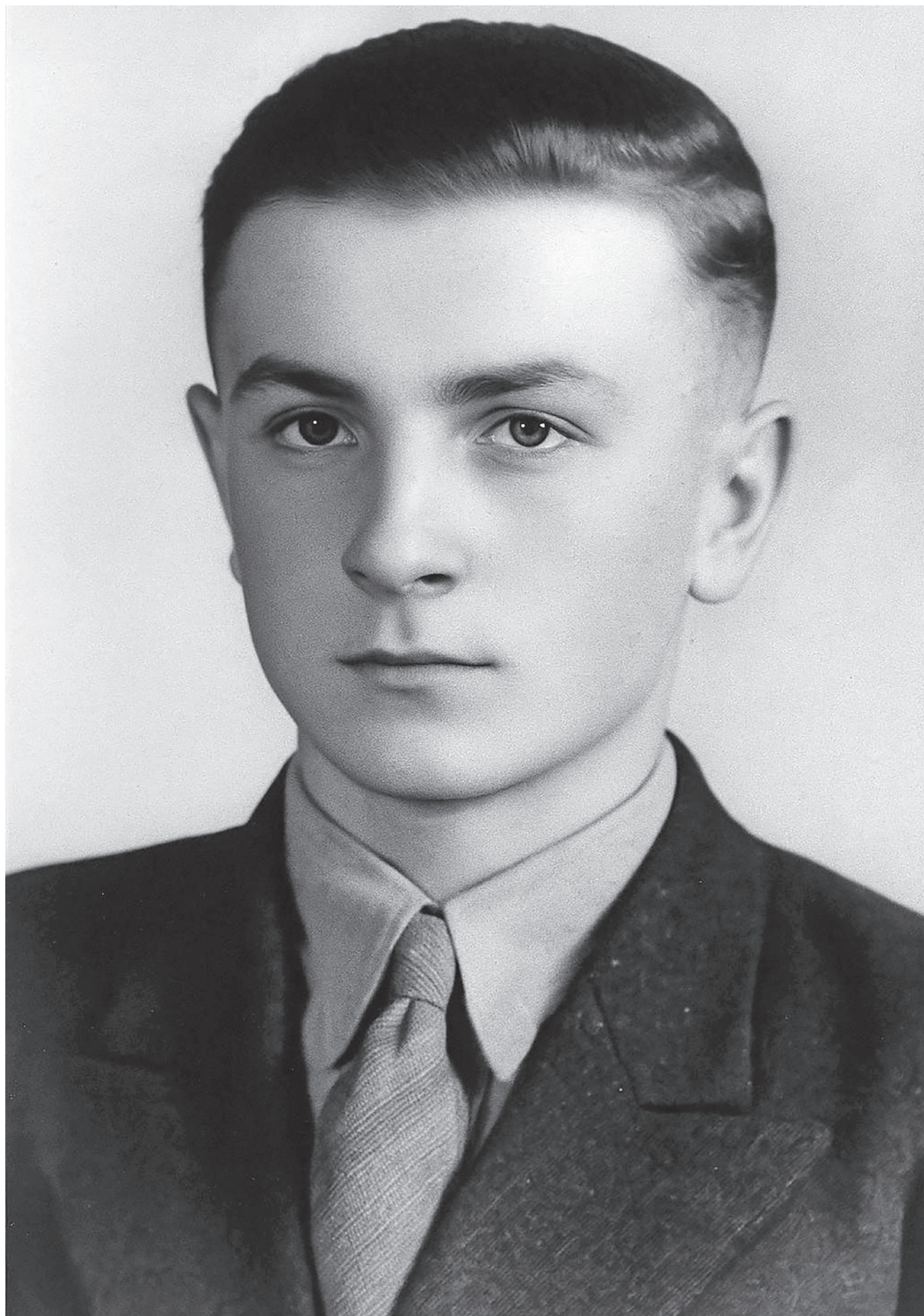
Ożywczym akcentem w tej pełnej refleksji atmosferze, była obecność 83-letniego prof. Tymeckiego, tym bardziej, że zostałem przez niego rozpoznany. Profesor znał również mojego brata.

Ale, jak pisał wieszcz, „niech żywi nie tracą nadziei” i ja będę żył nadzieją i oczekiwał na następne zaproszenie zjazdowe, by wspólnie móc cieszyć się czarem dawnych wspomnień.

Ilustracje



1. Dom, w którym dorastał Gedeon Lorenc, wybudowany przy wydatnym zaangażowaniu jego matki Józefy. Zdjęcie pochodzi z okresu powojennego, gdy mieściło się tam Państwowe Przedszkole w Janiszewicach. Obecnie budynek znajduje się w granicach Ochraniewa i posiada numer 53. (zbiory B. Jegiera)

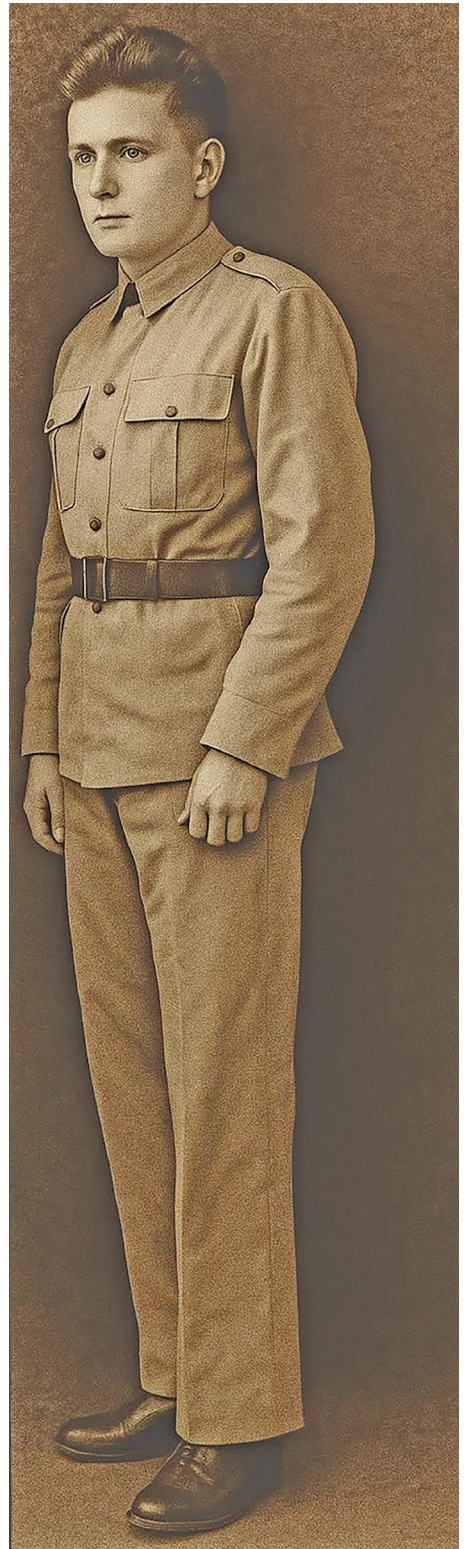


2. Gedeon Lorenc na fotografii z legitymacji szkoły powszechnej w 1932 r.
(kopia ze zbiorów A. Klimaszewskiej)



-
3. Państwowa Szkoła Rzemieślnicza w Chełmie Lubelskim, do której od 1936 r. uczęszczał Gedeon Lorenc. Karta pocztowa pochodzi z początku XX w. (polona.pl)

4. Fotografia Gedeona Lorenca prawdopodobnie w mundurze Przysposobienia Wojskowego w końcu lat trzydziestych. Zdjęcie zostało wykonane w chełmskim zakładzie „Venus” prowadzonym przez Jakuba Wajntrauba.
(kopia ze zbiorów A. Klimaszewskiej)





-
5. Statek pasażerski SS „Warszawa” podczas rejsu w okresie międzywojennym. Jesienią 1940 r. na jego pokładzie Gedeon Lorenc przedostał się z Turcji do Palestyny. Niestety jednostka została zatopiona 26 grudnia 1941 r. u wybrzeży Libii przez okręt podwodny U-559. Autorem kadru jest Roman Morawski. (Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 1-G-5184)



6. Żołnierze Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich podczas działań na Pustyni Libijskiej w grudniu 1941 r.
(zbiory D. Buszyńskiego)



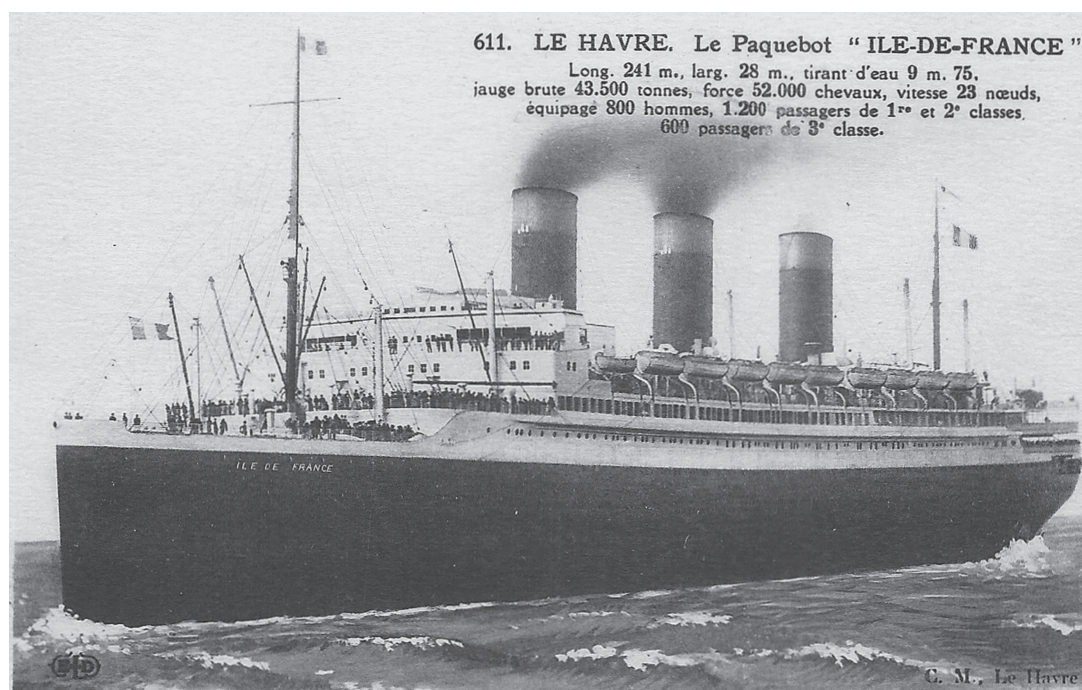
-
7. Porzucone włoskie czołgi Carro Armato M13/40. Zdjęcie zostało wykonane podczas działań manewrowych Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich na Pustyni Libijskiej, przełom 1941 oraz 1942 r.
(zbiory D. Buszyńskiego)

ZBIGNIEW ŚMIETANA

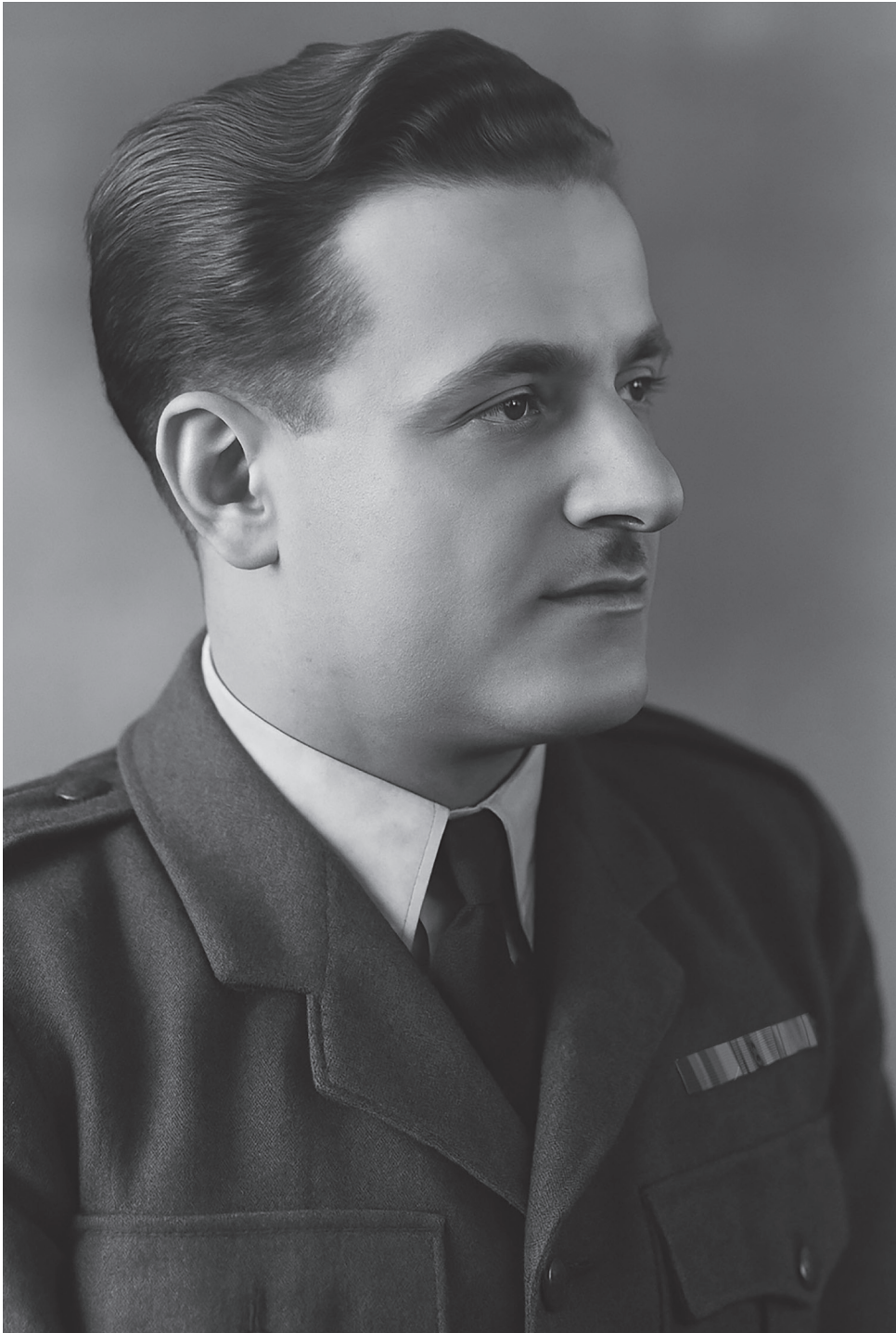
Okruchy z tobruckiego chlebaka



-
8. Okładka wspomnień Zbigniewa Śmietany pod tytułem *Okruchy z tobruckiego chlebaka* (1986). Gedeon Lorenc jest wymieniany kilkakrotnie na kartach tej książki. (zbiory D. Buszyńskiego)



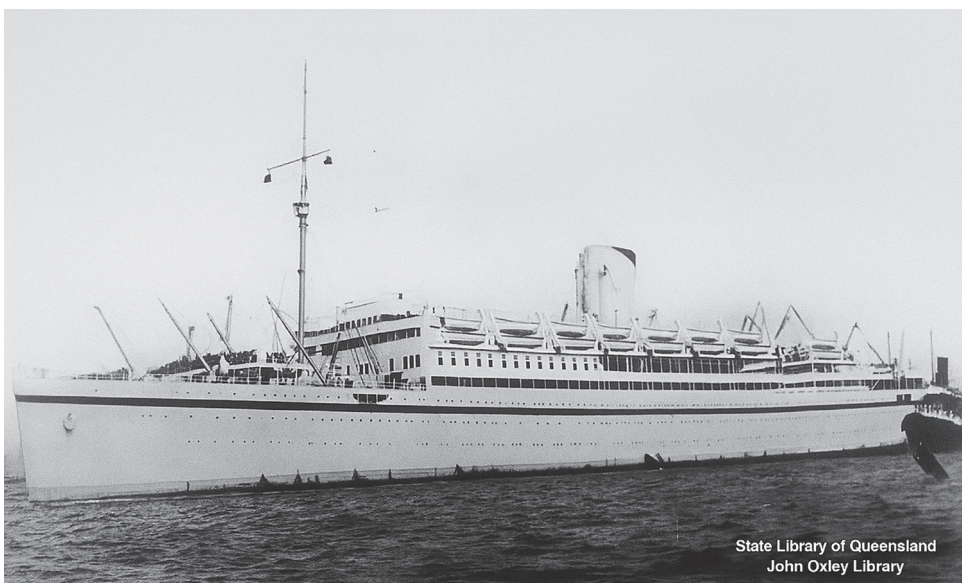
9. Statek transportowy H.M.T. „Ile-de-France” na karcie pocztowej z lat trzydziestych. Na jego pokładzie w maju 1943 r. Gedeon Lorenc odbył podróż z Port Said w Egipcie do Gourock w Szkocji. W jej trakcie opłynął kontynent afrykański oraz dotarł do Ameryki Południowej. (éditions E.L.D. à Paris & C.M. Le Havre)



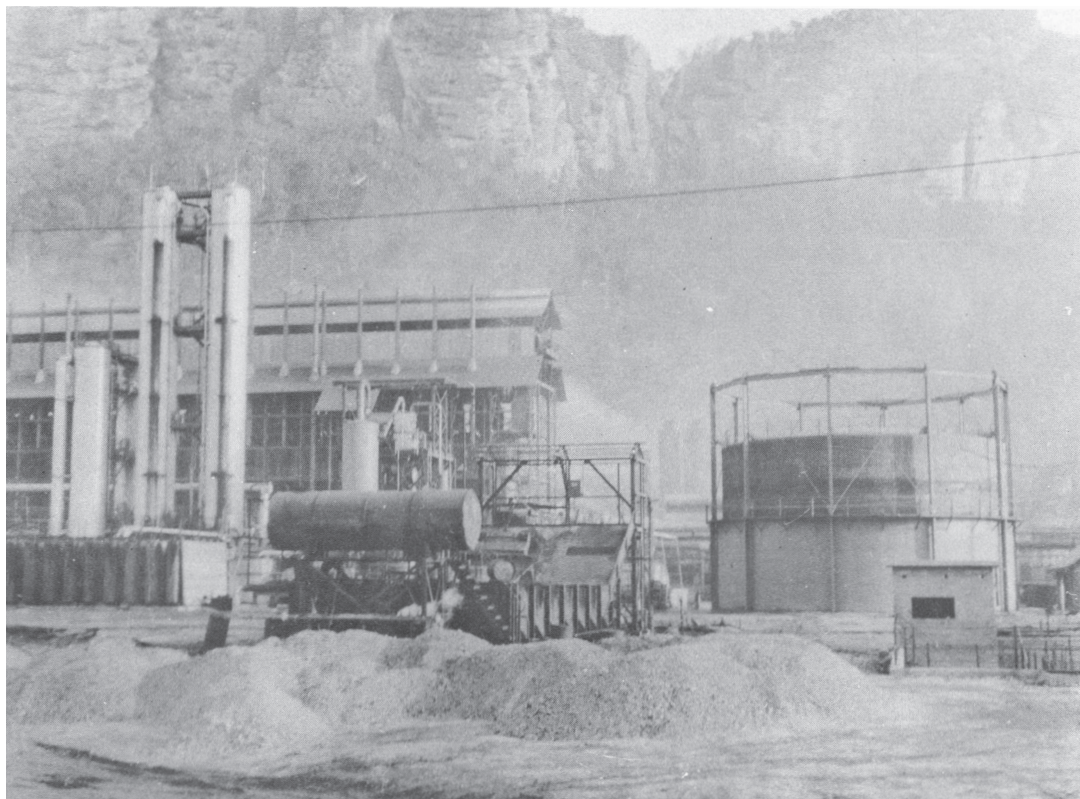
10. Kapral podchorąży Gedeon Lorenc w mundurze Polskich Sił Powietrznych. Zwracają uwagę baretki odznaczeń, wśród których widzimy Africa Star (z oznaczeniem pamiątkowym 8 Armii Brytyjskiej), 1939-1945 Star oraz Defence Medal.
(zbiory M. Owczarek)



11. Kapral podchorąży Gedeon Lorenc w mundurze Polskich Sił Powietrznych, 1944 r.
Zwraca uwagę naszywka z napisem „Poland”.
(kopia ze zbiorów A. Klimaszewskiej)



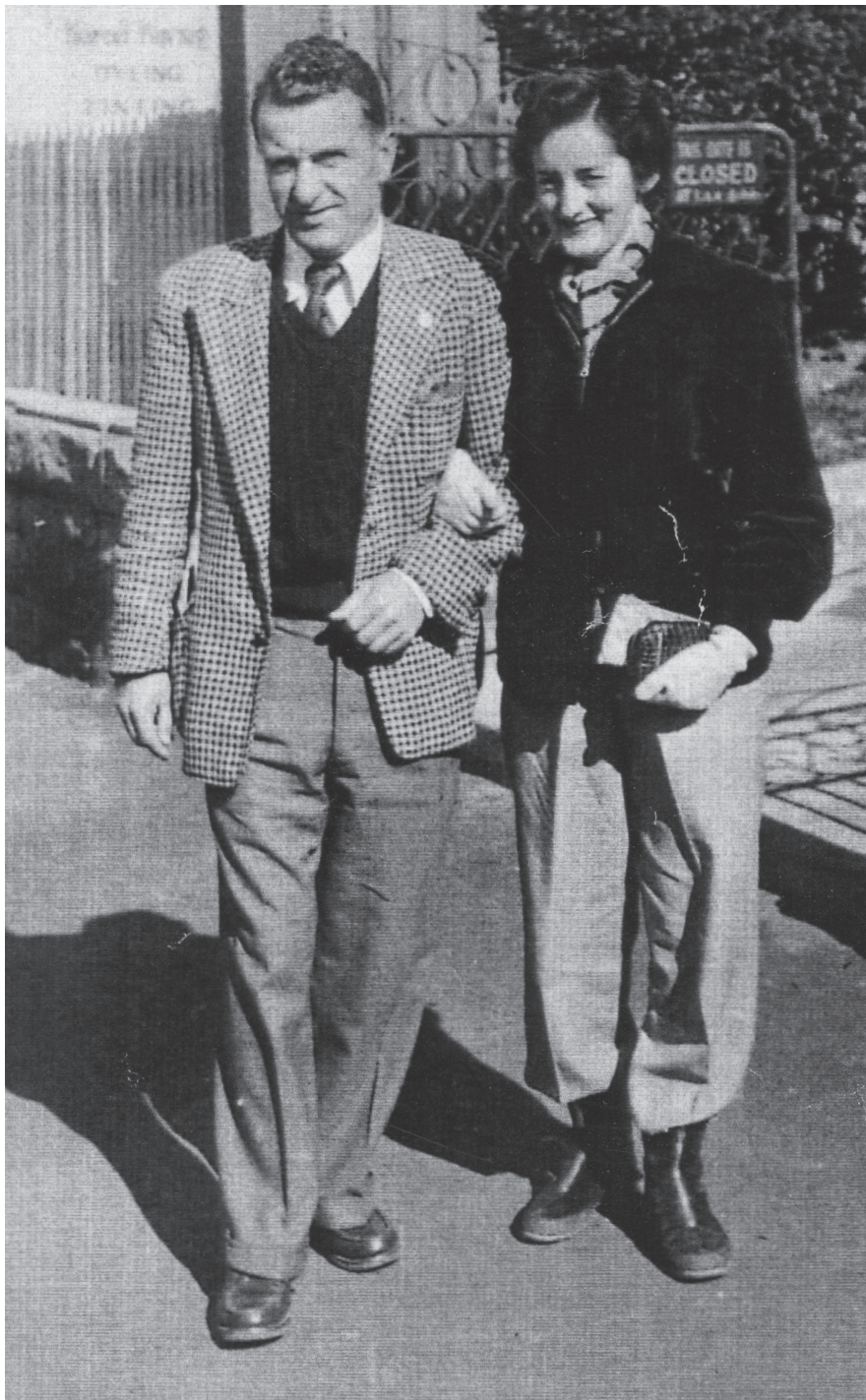
-
12. Statek transportowy H.M.T. „Asturias” na fotografii z lat 1954-1957.
Na jego pokładzie pomiędzy 8 lipca a 9 sierpnia 1948 r.
Gedeon Lorenc odbył podróż z Southampton do Sydney.
(*State Library of Queensland*, numer negatywu: 128486)



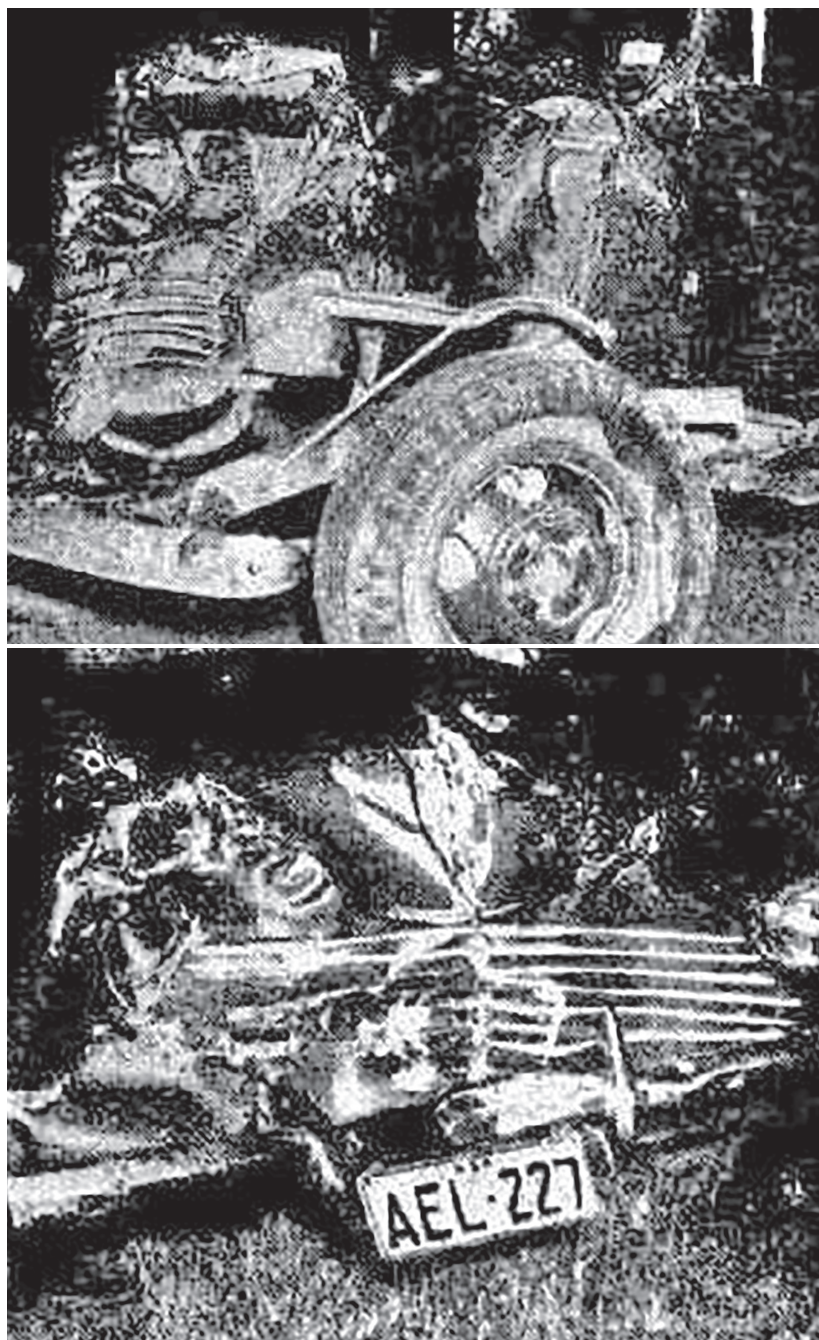
13. Fotografia przedstawiająca instalacje naftowe w Glen Davis. Na zdjęciu widoczne m.in. wymienniki ciepła oraz sprzęt do oczyszczania osadu. Zdjęcie z 1947 r. (A. Kraemer, H. Thorne, *Oil-shale operations in New South Wales Australia*, Waszyngton 1951, s. 23)



14. Ruiny zabudowań Glen Davis Shale Oil Company na fotografii ze stycznia 2005 r.
(*Wikimedia Commons*)



15. Gedeon Lorenc po zawarciu małżeństwa z Joan Constance Ellis (1924-2010), lipiec 1953 r.
(zbiory M. Owczarek)



16. Zdjęcia rozbitych pojazdów w wypadku samochodowym, w którym Gedeon Lorenc uczestniczył nocą z 7 na 8 października 1953 r. (*Four vehicles in collision*, „Newcastle Morning Herald and Miners' Advocate”, 8 października 1953 r., s. 1.)



17. Gedeon wraz z żoną Joan w dniu ślubu swoich przyjaciół – Davida Absolona oraz pochodzącej spod Łowicza Elżbiety Socha. Zdjęcie wykonane w latach sześćdziesiątych.
(zbiory M. Owczarek)



18. Gedeon Lorenc wraz z Apolonią Maniewską
przed kościołem parafialnym pw. św. Katarzyny i Anny w Korczewie w 1963 r.
(zbiory M. Owczarek)



19. Fotografia z wizyty Gedeona Lorenca w Polsce latem 1963 r. Zgodnie z opisem na odwrocie, została wykonana na podwórzu Państwowego Przedszkola w Janiszewicach, które pierwotnie było domem Gedeona Lorenca. Widać na nim państwa Grzybowskich z Łodzi a także Bolesława i Krystynę Lorenców oraz Leszka Maniewskiego.
(zbiory M. Owczarek)



20. Fotografia z wizyty Gedeona Lorenca w Polsce latem 1963 r.
Zgodnie z opisem na odwrocie, oprócz Gedeona widać na nim także Marylę Rygiert
oraz Andrzeja, Stanisława oraz Sławomira Lorenców.
(zbiory M. Owczarek)



POLEAXE

JUNE JESSOP

An adventure story

'A sharply written and entertaining enigma. It intrigued me.'

Laurie Lee

21. Okładka powieści Poleaxe (1993) autorstwa June Jessop, której fabuła jest inspirowana losami Gedeona Lorenca. Autorem ilustracji na okładce przedstawiającej biegnącego mężczyznę jest brytyjski artysta plastyk Carel Weight (1908-1997).
(zbiory D. Buszyńskiego)



22. Maria Owczarek oraz Joan Lorenc podczas obiadu w Sydney, 1991 r.
(zbiory M. Owczarek)



23. Gedeon Lorenc przy basenie na terenie swojego domu
w dzielnicy Sydney Sylvania Waters, 1991 r.
(kopia ze zbiorów A. Klimaszewskiej)



24. Maria Owczarek podczas uroczystości związanych z pięćdziesiątą rocznicą rozpoczęcia oblężenia Tobruku, kwiecień 1991 r. Zwraca uwagę ozdobna tabliczka z emblematem Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich.
(zbiory M. Owczarek)



25. Defilada podczas uroczystości pięćdziesięciolecia rozpoczęcia oblężenia Tobruku.
Zwraca uwagę sztandar stowarzyszenia kombatanckiego Rats of Tobruk.
(zbiory M. Owczarek)



26. Gedeon Lorenc prawdopodobnie na początku lat dziewięćdziesiątych.
Zwraca uwagę odznaka stowarzyszenia kombatanckiego
Rats of Tobruk w klapie marynarki.
(kopia ze zbiorów A. Klimaszewskiej)



27. Budowa kościoła pw. Matki Bożej Miłosierdzia w Janiszewicach odbyła się przy wydatnym wsparciu Gedeona i Joan Lorenców, a formą uhonorowania hojności małżeństwa jest dzwon, na którym utrwalono imiona wspomnianych darczyńców.
(fot. A. Woźnicki)



28. W 1996 r. wewnątrz nowo wybudowanego kościoła pw. Matki Bożej Miłosierdzia w Janiszewicach została umieszczona tablica pamiątkowa poświęcona Gedeonowi oraz Joan Lorencom, donatorom świątyni. Zwraca uwagę spolszczone imię żony Gedeona.
 (fot. R. Walocho)



29. Gedeon Lorenc na ulicy Sydney pod koniec lat dziewięćdziesiątych.
Niestety w ostatnich latach życia stan jego zdrowia raptownie się pogorszył,
doznał on udaru mózgu i musiał korzystać z wózka inwalidzkiego.
(zbiory M. Owczarek)



30. Uroczystości pogrzebowe Gedeona Lorenca na starym cmentarzu przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli, 1 kwietnia 2001 r.
Urnę z prochami trzyma Sławomir Lorenc – bratanek Gedeona, obok niego jego żona Barbara.
Między nimi widoczny Lucjan Kent, przedstawiciel rodziny Lorenców z Australii.
(zbiory M. Owczarek)



31. Modlitwa nad grobem Gedeona Lorenca. Widoczni księża: Mirosław Skoczylas – pierwszy proboszcz parafii pw. Matki Bożej Miłosierdzia w Janiszewicach oraz Leopold Kuźnik – proboszcz pełniący posługę w 2001 r. (zbiory M. Owczarek)



32. Lucjan Kent przedstawiciel rodziny Lorenców z Australii nad grobem Gedeona,
1 kwietnia 2001 r.
(zbiory M. Owczarek)

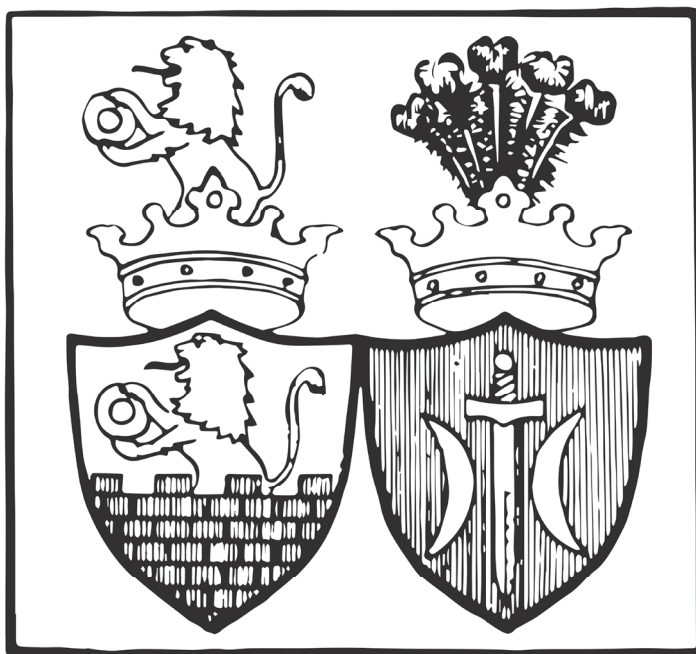


33. Moment złożenia urny z prochami Gedeona Lorenca do grobu rodzinnego na starym cmentarzu przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli.
(zbiory M. Owczarek)



34. Obecny wygląd grobu rodziny Lorenców na starym cmentarzu przy ul. Łaskiej w Zduńskiej Woli.
(fot. J. Stulczewski)

EX LIBRIS



TOWARZYSTWA
PRZYJACIÓŁ
ZDUŃSKIEJ WOLI